

nr 7, maj 2018 ISSN 2299-4874

5 · **Octaman** Joanna Oparek 13 · **Laboratorium** Paulina Wilk  
21 · **Bezgwieżdny wieczór** Krisztina Tóth 29 · **Sonnenberg**  
Krzysztof Varga 35 · **Za Alpami** David Zábbranský 43 · **Kuglarze**  
Daniel Odija 51 · **Wody godowe** Wojciech Kuczok 59 · **Ładne**  
**dziecko** Dimitri Verhulst 67 · **Koncert jubileuszowy** János Háý  
73 · **Zew galasów** Ivana Myšková 81 · **Lwy na pustkowi**  
Daniel Wisser 89 · **Początek zimy** Kim Ae-ran 99 · **Prozy**  
Arantxa Iturbe 107 · **Pokój 112** Marek Vadas 115 · **Pod nogami**  
**i nad głową** Vanda Rozenbergová 123 · **Koziołek** Maciek Bielawski  
129 · **Ja i mój wróg** Marcin Hamkało

# OPO WIA DA NIE



WYDAWNICTWO  
IGLOO



# OPO WIA DA NIE

nr 7, maj 2018

Międzynarodowy Festiwal Opowiadania  
Towarzystwo Aktywnej Komunikacji | Wrocław 2018

## SPIS TREŚCI



- 5 **Octaman**  
Joanna Oparek
- 13 **Laboratorium**  
Paulina Wilk
- 21 **Bezgwiazdny wieczór,  
Połączenie wychodzące,  
W końcu wciąż jest lato**  
Krisztina Tóth
- 29 **Sonnenberg**  
Krzysztof Varga
- 35 **Za Alpami**  
David Záborský
- 43 **Kuglarze**  
Daniel Odija
- 51 **Wody godowe**  
Wojciech Kuczok
- 59 **Ładne dziecko**  
Dimitri Verhulst
- 67 **Koncert jubileuszowy**  
János Házy
- 73 **Zew galasów**  
Ivana Myšková
- 81 **Lwy na pustkowiu**  
Daniel Wisser
- 89 **Początek zimy**  
Kim Ae-ran
- 99 **Prozy**  
Arantxa Iturbe
- 107 **Pokój 112**  
Marek Vadas
- 115 **Pod nogami i nad głową**  
Vanda Rozenbergová
- 123 **Koziółek**  
Maciek Bielawski
- 129 **Ja i mój wróg**  
Marcin Hamkało





layout  
Bruno Szenk  
ilustracje  
Karolina Pierchała

*Joanna Oparek*  
*Octaman*







JOANNA OPAREK

OCTAMAN

6



**W** poniedziałkowe poranki Artur nie czuł się jak pisarz – sprzątał po dzieciach i czuł się prawie normalnie, zwykle czynności go uspokajały, a przynajmniej odwracały uwagę od objawów nerwicy: mózg opuszczał jelita i żołądek i przesuwał się w górę, tam, gdzie jego miejsce, serce biło równo, myśli płynęły spokojnym strumieniem i oczy cieszyły się zielenią boisk – do sprzątnięcia włączał sobie zwykle Eurosport.

Odkąd mieszkał samotnie, nie mógł już narzekać, że natłok spraw odciąga go od pracy, której chciał poświęcać każdą minutę, mniejsza o to, że minuty łączyły się w bezproduktywne godziny, a godziny układały się w bezproduktywne dni i tak dalej. Teraz miał inny problem: mógł poświęcać pracy cały swój czas i jeszcze więcej minut łączyło się w jeszcze więcej godzin – CAŁY czas przypominał rozlazłą, słynącą galarete.

– Naprawdę nie wiem – powiedział z obezwładniającym uśmiechem – czemu zgodziłem się na tę wizytę. To moja żona ma kłopot, ja właściwie nie mam żadnych problemów, które nie byłyby fikcyjne... ponieważ zajmuję się fikcją. Być może prowokuję u siebie pewne stany, żeby móc je opisać, to kwestia warsztatu, tak, chodzi o warsztat, miewam na nim rozmaite rzeczy, biorę... może mniejsza o to. Zapewniam panią, że charakter moich zaburzeń jest czysto literacki. Dla pisarza nerwica jest fortuną, podręcznym sezamem. I trzeba się o nią postarać, nie pojawia się tak bez powodu.

– No i wychodzi to panu? – zapytała obojętnie.

– Co konkretnie?

– Pańska książka. Czy jest tego warta?

– No cóż – odchrząknął i zwiotczał. – Tak mi się wydaje. Oczywiście to długotrwały proces i czasami... Zresztą kryteria ocen, opinie... Wie pani, co powiedział Kierkegaard: „Ludzie rozumieją mnie tak słabo, że nie rozumieją nawet moich narzekań na to, że mnie nie rozumieją”. Rozumiemy się? – usiłował do niej mrugnąć kilka razy i musiało wyglądać, że ma jakiś tik.

Przez chwilę obserwowała go z chłodnym uśmiechem i rozkładała jakieś podejrzone kartki.

– Czy ktoś w rodzinie leczył się psychiatrycznie?

– Proszę?

– Ma pan problemy ze słuchem? Jakies świsły, trzaski, jakies głosy?

– Nie – obraził się. – Nie mam. Od czasu do czasu słyszę głos rozsądku, ale da się z tym żyć, wciąż próbuję.

– W takim razie proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Chodzi pani o moich rodziców? Nie, nie leczyli się psychiatrycznie, trochę szkoda. Uważam, że moi rodzice zaniedbali terapię, cierpieli jednak na zwykłą, mieszczańską paranoję, moja matka nie kazała się opuszczać do grobu, nie takiego.

– Opuszczać do grobu? – Uniosła swoją elegancką twarz i domagała się rozwinięcia.

– Chodzi mi o to, że gdyby szalerństwo rodziców było jakieś bardziej zwarowane, moja twórczość tylko by na tym zyskała, to chyba jasne. A tak do wszystkiego muszę dochodzić sam. To zajmuje trochę czasu, wie pani, strasznie dużo. Gdyby moja matka kazała opuszczać się do grobu, jak matka Rimbauda, to może zrobiłbym oszałamiającą karierę w wieku lat szesnaśtu. Ale moja matka tylko kupiła sobie miejsce na cmentarzu, nie próbowała kłaść się pośród trumien.

– Czy ma pan problem z alkoholem?

– Nie! – Wkurzył się jak cholera. – No nie! – Wkurzył się okropnie, naprawdę nie było to uprzejme, w końcu nie przyszedł tu, by go upokarzano i wytykano mu jego alkoholizm, bez przesady!

– Nie mam kłopotów z alkoholem, na razie jeszcze stać mnie na alkohol, jest w porządku. Jeśli zamierza mi pani wciskać te pierdoły... Ja nie wierzę, że alkohol rozwiąże moje problemy, nic z tych rzeczy. Po prostu wątpię, żeby dało się je rozwiązać w jakikolwiek inny sposób. Czy to dziwne, że z wachlarza rozwiązań nieskutecznych wybieram te najprzyjemniejsze, czy to panią zaskakuje?

– Czy jest pan uzależniony od leków? Narkotyków?

– Nie jestem uzależniony, po prostu od czasu do czasu zażyvam jakąś tabletkę albo dwie. Zwyczajną uspokajającą tabletkę dla normalnych, odczuwających normalny niepokój ludzi. Po prostu biorę sobie coś z szuflady. Chyba słyszała pani o szufladzie pisarza, prawda?

– Obawiam się, że w innym znaczeniu.

– No cóż. Te znaczenia się zmieniają, podobnie jak funkcje. Widzi pani, funkcja pisarza w społeczeństwie jest już jakby trochę inna. Straszy się nim dzieci, które nie chcą studiować prawa i ekonomii. Więc owszem, zażyvam tabletki, czasem, tak. Ale niech pani nie myśli, że pozwolę pani wcisnąć sobie jakieś podstępne gówno, ja odmawiam z góry, nie wierzę w te cudowne prozaki, nie ma mowy!

– Jest wiele środków nowej generacji, których działanie przeciwłękowe...

– Wszystko jedno! – przerwał. – Nie jestem zainteresowany tymi superśrodkami, które zmieniają osobowość, tak się składa, że ja uwielbiam swoją osobowość! Mogę być pijany albo przymulony, pijany i przymulony naraz, ale wtedy to nadal ja. Jeśli chodzi o leki, jestem strasznym konserwatystą, uważam, że barbiturany, szczególnie w połączeniu z alkoholem, sprawdzały się po prostu świetnie, niech pani spojrzy na historię Hollywood. Problem z tym, że dzisiaj nembital dość można jedynie od weterynarza. Słyszałem, że produkowali go także australijscy emeryci, ale policja zamknęła im fabryczkę. Tak że jestem skazany na te benzodiazepiny, no co robić, nie są takie złe. Wystarczy regularnie zwiększać dawki i w końcu osiągniemy ten poziom wysycenia, prawda?

– Aha – powiedziała zachęcająco. – Jaki poziom wysycenia zamierza pan osiągnąć?

– Taki! – przypierzył jej. – Gwarantuję miłą, tradycyjną śmierć w wygodnej hotelowej wannie. Czy pani zdaniem istnieje lepszy, bardziej właściwy dla artysty sposób na pozbycie się tych wszystkich lęków raz na zawsze?

– No dobrze. – Odłożyła długopis i poskładała na kupę wszystkie swoje kartki, jej twarz przybrała jakiś kumpelski wyraz. Nagle przestała epatować profesjonalizmem i zrozumiał, że olała go kompletnie.

– Nie wydaje mi się – powiedziała, zerkając na komórkę, gdzie zapewne był zegar. – Nie sądzę, żeby była tu absolutna konieczność stosowania antydepresantów. Łagodne środki w pańskim przypadku mogą się okazać wystarczające.

Kurwa, pomyślał. Nie jestem przekonujący jako potencjalny pacjent, więc jako pacjent także nie, a to już źle.

– Jakie to łagodne środki? – zapytał z ośniewającą kpiną. – Co dokładnie myśli pani o moim przypadku?

– Przypuszczam tylko – odparła z przekąsem – że pisze pan dowcipne książki. Ale ten dowcip może być trudny do przyjęcia. Hydroksyzyna! – przybiła pieczątkę i podała mu receptę. – Podaje się to nawet dzieciom. To środek antyhistaminowy, wykazuje działanie uspokajające i nasenne.

– Antyhistaminowy?! – przerwał. – Czy ja cierpię na świąd?! Czy ja się drapię?! Czy całą moją nerwicę chce pani sprowadzić do ugryzienia zasranego komara? Naprawdę uważa pani, że pomoże mi zasrana hydroksyzyna dla niemowląt z wysypką!?

– No cóż – powiedziała mściwie. – Pańska nerwica jest częścią pańskiej osobowości. Skoro nie chcemy jej zmieniać, hydroksyzyna będzie doskonała. Ma pan zabawny umysł, panie Fraus.

– Nie chciała pani czasem powiedzieć: niebezpieczny?

– Zawsze mówię dokładnie to, co chcę.

– Fantaśtycznie. Zazdroszczę, jako autor. Bardzo chciałbym posiadać tę cudowną umiejętność.

– Tylko wtedy pewnie nie pisałby pan książek.

Miała rację, pomyślał jakiś czas później. Skrót to jest skrót, to nigdy nie jest podróż, trzeba zwalczyć tę pokusę, by wyrażać się krótko i zrozumiale. Komfortowo i bez fetygi można polecieć sobie na Hawaje, ale raczej nie zwiedzi się ten sposób Azji. I właśnie dlatego opis frustracji to nie może być byle co, takiego tematu nie wypada tylko zasygnalizować, jedynie prześlizgnąć się po nim – wykluczone. To nie może być kilka nudnych, jednostrajnych zdań, tu potrzebny jest cały ocean nudy, wielotygodniowa samotna żegluga, bolesna śmierć z nudów na pokrytej sinymi glonami tratwie, językowe drewno, mowa-trawa, wielkie lanie wody, kołysanie. Opis frustracji, żeby można było uznać go za wiarygodny, musi doprowadzić do tego stanu czytelnika,

inaczej na co to wszystko, po co wam ta podróż, skoro nie chcecie niczego zobaczyć ani poczuć?

Podobne rozważania Artur zazwyczaj odbywał, siedząc przy biurku i wpatrując się w horyzont – no, powiedzmy. Uznajmy za horyzont linię, gdzie lekko przybrudzona biała ściana słyka się z oparciem kanapy, mniej więcej tam, gdzieś tam, zmierzają zwykle jego myśli i na ogół chodziło o popołudniową drzemkę, symulowaną półgodzinną śmierć. Teraz jednak było inaczej, teraz wcale nie czuł senności, był pobudzony. Czas wegetacji kończył się nieodwołalnie i wskazywały na to fizyczne parametry: serce Artura Frausa biło znacznie szybciej, jego organizm znów produkował hormony, synapsy przewodziły informacje, a nerki filtrowały płyn. Jeśli chciał wiarygodnie opisać frustrację, to musiał się trochę pośpieszyć, tak... Eksplozja zdrowia i witalności groziła mu lada moment i nie, nie była to zasługa żadnego psychiatry, absolutnie. Przemiana rozpoczęła się jakieś dwie godziny po tamtej sesji, czyli istniała przerwa czasowa, jak najbardziej. Niech pani nie przypisuje sobie zasług, pani doktor. Zabawny umysł, no, czekaj, zobaczymy.

Siedział wkurzony w kawiarni i pił drugie piwo, co zdaje się normalną aktywnością mężczyzny i tak dalej. Szczególnie gdy kobieta, która nie jest jego żoną, da mu do myślenia, drugie piwo pozwala zebrać pieprzone wnioski, a trzecie i czwarte trochę je uporządkować. Artur pił, palił i myślał o swojej frustracji, a chwilę później o swojej erekcji, o tym, jak rzadko, w gruncie rzeczy, jej doświadcza. Zastanawiał się, czy unikalność tego doświadczenia nie czyni go przeżyciem wręcz miśtycznym. Próbował zliczyć swoje erekcje w ciągu, powiedzmy, ostatnich dwóch lat, uwzględniając poranki. Myślał, co takiego stało się z jego erekcjami, czy może to być wymyk na przykład choroby – mimo wszystko wolałby chorobę niż starość. Palił jednego za drugim, jak opętany, i nie godził się ze starością, manifestował przeciwko niej seriami gruźliczego kaszlu, świściem w płucach. Poczł parcie na pęcherz, poszedł do toalety i ujrzał się w lustrze, zupełnie nagle, całkiem bez przygotowania. Ogromne, oprawione w tani plastik lustro, na prostopadłej do pisuarów ścianie, ukazujące go z profilu. Wredne, przepojone nienawiścią lustro, które następowało zaraz po wizycie u psychiatry, zastępowało urologa i radziło udać się do dietetyka.

– Obiecywałem sobie – jęknął głośno. – Mówiłem, że zacznę biegać, przecież wiem.

– Akurat – odpowiedziało lustro i się skrzywiło. – Już to widzę!

Spuścił wodę i dokładnie umył ręce, żeby chociaż tym sposobem ocalić godność i okazać wyższość człowieka nad jego ludzkim wizerunkiem. Zrobię to, pomyślał z determinacją. Właśnie że tak. Jeszcze pobieram się do kupy, pokażę im...

– To samo? – zapytała barmanka, farbowana prorokini, odruchowo chwytając szklanekę, gdy tylko wychynął z toalety, zanim zdążył zamknąć za sobą drzwi.

– Nie – odparł wyniośle. – Dziękuję bardzo.

Zostawił jej obraźliwie wysoki napiwek i wyszedł, nie oglądając się za siebie. Tego samego popołudnia kupił w sklepie sportowym pełen zestaw: dwie pary majtek, które, ponieważ mają logo, stają się szortami, pochłaniające pot koszulki, buty i krótkie skarpetki (taka moda, proszę pana, nie, nie mamy zwykłych), a nawet mały frotowy ręczniczek, w komplecie z dużym – nie był pewien, co właściwie powinien sobie nim wycierać, nigdy wcześniej nie miał do czynienia z małymi ręczniczkami, jakoś nie. Przepychając się między regałami, wieszakami i tajemniczymi maszynami, dzwigał swoje zakupy w obu rękach, ponieważ nie wpadł na to, by przy wejściu zabrać ze sobą koszyk. Co parę kroków upuszczał majtki lub koszulkę i nadeptywał na nie niechętny, zostawiając ślad buta na białej bawełnie. Na koniec upchał to wszystko w sportowej torbie, która kosztowała tyle, że nie zostało mu już nawet na chleb. Tym samym rezygnacja z białego pieczywa nie będzie trudna – pomyślał ubawiony i podzielił się tą refleksją z kasjerką. Obrzuciła go obojętnym spojrzeniem i odznaczyła na ścianie kreskę czerwonym długopisem. Prawdopodobnie każdy facet koło czterdzieśki kupujący zestaw sportowy zostawiał oznaczony taką kreską, w ten sposób pewnie odliczała dni do końca tej roboty – Robinsonka w załoczonem outlecie. Mimo wszystko – pomyślał – miałem tego dnia do czynienia z trzema kobietami, to naprawdę czyni go wyjątkowym. Wyprosił się i z torbą sportową na ramieniu wyszedł na ulicę. Jego chód jakoś tak automatycznie siał się spreżył, pośladki się spięły, ściągnął łopatki i głowa się uniosła, całkiem sama. Lekceważąc czerwone światło, przeszedł na drugą stronę, spojrzął pod nogi, zobaczył swój cień na asfalcie i zatrzymał się, zachwycony. Ani krawężnik, ani żadna nierówność chodnikowych płyt nie psuły tego widoku, asfalt był idealny, szwarzał dla cienia doskonałe tło, połykujące subtelnie ziarna sprasowanego piasku wzmacniały efekt. Artur zamarł w bezruchu i kontemplował obraz, otwierał szeroko oczy, a potem nieco je przymykał, granice cienia migotały, jego niewiarogodny obrys drżał leciutko, jakby również doznawał ekscytacji. Był to cień wysokiego, szczupłego i przede wszystkim młodego mężczyzny – piktogram młodości. I przemiana Artura Frausa rozpoczęła się właśnie w tym momencie. Od tej to chwili, nawet pisząc o frustracji, miał czuć się świetnie, kasować dowcipem, lekką ręką wyrzucać zgrabne i świeżutkie zdanka. Tylko jego profesjonalizm pozwalał żeglować przez ocean nudy – tak, teraz była to decyzja. Ciągnął ten dołujący opis, ale czuł, że jego proza dostaje kopa, jakby przechodziła na zdrową, oczyszczającą dietę. I wierzył, że już wkrótce zaczną na nią lecieć wszystkie laski – na prozę i na twórcę, i na pewno. Sprzedawczyni, barmanki i przemądrzałe psychiatryce zobaczą w nim mężczyznę, żywy symbol. Z wielkim, zdecydowanym penisem, budzącym grozę, którym przepędzi kochanka swojej żony – z wielką pałą. Trzymał ją w pogotowiu i przez kilka godzin pisał jak maszyna, wyprodukował dwie i pół strony, co było bardzo okej, całkiem w normie.

Następnego ranka miał zamiar przymierzyć szorty i wybiec w nich na miasto, już cieszył się tą myślą, motywowała go, pchała przez kolejne wersy, ze strony na stronę. Jego umysł hulał i opis frustracji był naprawdę miśtrzewski. Wcale nie powiełał zgranego kawałka o kryzysie wieku, unikał tematu twórczej blokady wprost – poszedł w metaforę. „Pisarz jest ośmiornicą, a każde z jego ramion jest ramieniem zemsty” – powiedział bohater powieści, planując podbój rynku, czyli szykowała się jakaś akcja, brawo, stary! Artur Fraus był niezwykle zadowolony z tego zdania i kochał, dosłownie kochał swojego bohatera za to, że w końcu zechciał otworzyć usta, Bogu dzięki. Teoria Ośmiornicy wydała mu się niesamowicie oryginalna, zamierzał ją rozwinąć i w tym celu sięgnął do wyszukiwarki. Po wpisaniu w Gogola hasła „ośmiornica” zgłosiła się Wikipedia i Artur ucieszył się, że Wikipedia wciąż istnieje, zatarł ręce. Nie wyobrażał sobie życia bez niej, nie ruszało go, czy Wikipedia kłamie. Co z tego, skoro korzystają z niej tylko dzieci i pisarze, kogo to obchodzi. „Ośmiornica – przeczytał – w swoim workowatym ciele kryje dobrze rozwinięty mózg i system nerwowy, to zadziwiająco inteligentne zwierzę. Jej skóra jest światłoczuła i może dostosowywać się do otoczenia, zwierzę denne mieszka w płytkich wodach lub szczelinach skalnych. Przemieszcza się, pływając lub pełzając. Za dnia ukrywa się, obserwując otoczenie. Je właściwie wszystko, co w zasięgu” – no popatrzcie!

Artur przepisał tę informację słowo po słowie i była to najlepsza definicja zawodu pisarza, jaką można stworzyć. Konieczność dopasowywania się do otoczenia to przecież zмога numer jeden – pomyślał – to życiowa konieczność dla autora, nawet martwi muszą się jakoś dopasować, nawet Anna Karenina jest ostatecznie powieścią o rozwódce użerającej się z komornikami, nawet Flaubert, kiedy upchał go w miękką okładkę... Dopasowujemy się, za życia i po śmierci!

Nie wytrzymując z podniecenia, zadzwonił do jedynej osoby, do jakiej mógł zadzwonić o tej porze, czyli do Agaty Lisek, nie-dobrej koleżanki redaktorki. Obudził ją, ale nie był to przecież pierwszy raz.

– Zwariowałeś? Tym razem już na dobre?

– Nie, kochana, nie, przeciwnie, akurat nie, wyobraź sobie, że właśnie odzyskałem rozum, wykończę tę cholerną książkę i zaczynam biegać, wiesz?

– Tak po nocy? – zapytała i ziewnęła. – Czekaj, naleję sobie kieliszek wina, jak już muszę z tobą gadać, poczekaj chwilę.

– Dobra – powiedział. – Ja też sobie naleję, fajnie.

Po dwóch minutach, brzęcząc kieliszkami, powrócili do rozmowy, która kleiła się jak mało kiedy. Picie przez telefon jest naprawdę super, ponieważ możesz obcować z kobietą, a jednocześnie nie musisz z nią obcować, jesteś na luzie.

– Czekaj jeszcze moment – powiedziała. – Tylko narzucę coś na siebie... Słuchaj, a ty nie rozważałeś jakiegoś zaangażowanej literatury może, no wiesz... o czymś? I w ogóle po coś?





– Jesteś naga? – szybko zmienił temat.

– Taaak – odpowiedziała. – Taaak.

Być może wypychała właśnie głowę w polar, który zamierzała włożyć na wyciągnięty dres, ale żadne z nich nie zamierzało zepsuć tej iluzji: oto mężczyzna i kobieta piją wino w środku nocy i robią chociażby te aluzje do seksu, choćby to. Dawne urazy idą w niepamięć i pojawiają się nowe nadzieje – nie można być w końcu abstynentem wszystkich potrzeb. Po tej wspierającej pogawędce Artur zapadł w spokojny, głęboki sen. Był wielką ośmiornicą, sunął przez ciepłe wody Karaibów, mijając wraki hiszpańskich galeonów, wysypiska diamentów, stosy złotych sztab grzęznące w granatowym mule. Pokryte drobnymi ży-

jątkami szkielety marynarzy machały do niego z oddali, jakiś zmurszały korsarz szczyrzył zęby i grzecznie prosił go o fajkę. Ukołysany winem Artur Fraus śnił o zębatych rafach, które były placem dziecinnych zabaw w porównaniu z niebezpieczeństwem, jakie czyhało gdzieś tam, na powierzchni, w prawdziwym życiu. Czy żarłacze ludojady umywały się do branży literackiej? Czy wściekłe barakudy były choćby w połowie tak groźne jak koledzy i koleżanki? Ogromna przewaga środowiska wodnego nad literackim polega na tym, że zaskorupiałe masy jednak wędrują, są przesuwane, jednak poddają się fali, która rozrywa i przegrupowuje, i ostatecznie uwalnia, płucze, rozpirza całe to towarzysstwo na tysiące kilometrów, żeby miotać się samotnie.

JOANNA OPAREK

OCTAMAN

10







Koterie natomiast są nieporuszone. Woda nie zwilża martwego oka tego stworza, żadna łza nie rzeźbi sobie ścieżki w głazie tej nobliwej twarzy.

Malcolm Lowry wiedział wszystko o literackich klikach, on także chronił się przed dyktaturą opiniowania, uciekał w kanał, bujał się po morzach. Artur Fraus nie miał tak fajnie, nie było go śtać na żaden rejs dalekowschodni, nieśtety, nie był ani Malcolmem, ani Lowrym. Dlatego musiał znaleźć sobie jakąś lepszą kryjówkę – gorsze miejsce. Musiał zanurzyć się w sobie, wpełznąć do szczeliny na dnie. I lypiąc wielkim okiem, siedząc tak, płazem, pod głazem, czekać na obiecaną nieśmiertelność, całą wieczność. Patrzeć na migotliwe światła, obserwować, jak

puchną morskie gąbki, czujnie przyglądać się, wysysać z małych muszelek wiedzę, którą inni mieli w małej pletwie.

Wolno przewrócił się na bok i podkurczył swoje osiem ramion. Był Krakenem, legendą i postrachem, wątpliwą atrakcją niedoinwestowanego bestiariów w wymarłym kurorcie. Pieprzonym mitem, pieśnią przeszłości, przerośniętą ośmiornicą lub monstrualnym kalmarem – macał rękami twarz w poszukiwaniu chitynowego dzioba. Głęboki i spokojny sen przerodził się w koszmar, bo właśnie tak sypiają artyści i pijacy, te strugi potu, oto wody, w których nurzać się będziecie aż do śmierci.

Artur Fraus usiadł na przepoconym, a jednak lodowato zimnym łóżku, zadrzał, zarzucił sobie koldrę na ramiona i owinął

się nią jak zebrać derką. Walcząc z opornym ciałem, zwałłk się z barłogu, wyszukał śląpą filcowy galgan i użył go jako pantofla, potem powtórzył tę czynność, na drugą nóżkę. Zapalił światło w kuchni i upewnił się, że nikt jej nie posprzątał, cały syf pozostał w nietknięty, bogaćtwo lepkiego brudu, ślerty nieopróżnionych z resztek zepsutych pokarmów misek i garnków, do jego własnej, wyłącznej dyspozycji. Zrobił sobie ohydnej antyrakowej zielonej herbaty i siadł tam, gdzie siadywał na okrągło. Najwyraźniej przyplływ entuzjazmu nie da mi usnąć tej nocy – pomyślał i nacisnął guzik, małe czarne kółeczko w lewym górnym rogu. Gogol powiedział mu, że poty nocne i drętwienie rąk są objawami śwardnienia rozsianego oraz że Architeuthis monachus może osiągać długość 30 metrów i masę 20 ton, o ja cię pieprze! Dowiedział się również, że Pliniusz Starszy w HiStorii naturalnej opisuje atak wielkiej ośmiornicy na ślawy rybne w hiszpańskim mieście Carteia. Ten napad hiSterii wydarzył się ponoć w 77 roku naszej ery i „zwierzę to używało swoich wielkich macek jak maczug”. Oślatnia informacja wydała się Arturowi niezwykle inspirująca, więc kontynuował research. Ludowe podania o jednookich potworach zatapiających okręty z załogami znacznie poprawiły mu humor, szukał dalej. W HiStorii naturalnej Norwegii biskup Bergen opisywał Krakena „o półtorej mili długości, z grzbietem wystającym jak wyspa i mackami zdolnymi omotać każdy statek”. Podobieństwo pomiędzy tą długą i słotą a pisarzem było szczególnie – uznał Artur – ponieważ potwór wydzielal dziwny, cuchnący plyn, który mącił wodę, pomyślcie tylko, mącił wodę. Do tego najnowsze badania dowodziły, że wszystkie ośmiornice, bez wyjątku, są jadowite!

„W 2002 roku – kontynuował Gogol – znaleziono na brzegu Tasmanii fragment kałamarnicy olbrzymiej. Sprawę badał biolog David Pemberton, który po obejrzeniu znalezionej fragmentu stwierdził, że macki potwora musiały mieć 15 metrów”.

– No proszę – prychnął Artur. – Jak to łatwo jest oceniać po fragmentach!

Rozdygotany, czy to za sprawą podniecenia, czy gorączki, zaczął robić notatki na receptach, potem pobiegł do pokoju dzieci i przetrząsnął go w poszukiwaniu czegoś – znalazł zupełnie nowy zeszyt i zapisał w nim kilka punktów, do rozwinięcia:

Pisarz:

Mięczak lądowy, inteligentny bezkręgowiec.

Pełza po dnie, czasami unosi się z prądem wody, wykonując paniczne ruchy odrzutowe, jak telefony do wydawcy z pytaniem, dlaczego nie promuje jego książek.

Bezszykieletowe ciało pisarza pozwala mu wciskać się w szczeliny – nieobecny w głównym nurcie pisarz szuka sobie rynkowych nisz, uczestniczy w offowych projektach, ucieka się do publikacji internetowych.

Nie toleruje innych pisarzy, żywi się rybkami drobniejszymi od siebie, rozszarpując ich ciała zakrzywionym dziobem, za pięćdziesiąt złotych od recenzji.

Po kopulacji zwykle umiera, na szczęście kopulacja zdarza mu się rzadko.

Jeśli przeżyje, skończy jako pokarm dla kaszalotów.

Artur wykonał jeszcze kilka zabawnych rysunekzków z dymkami, a potem odłożył zeszytik w bezpieczne miejsce i zamyslił się nad alternatywą. Bo przecież istniała alternatywa – literatura popularna, jej płytkie i przejrzyste wody umożliwiały egzystencję, minimalizowały zagrożenie. Przy odrobinie szczęścia można było nawet zarobić jakieś grosze, tak, literatura popularna była akwenem znacznie bezpieczniejszym niż ocean. Była miejską fontanną i ludzie wrzucali tam drobne pieniążki, zwłaszcza latem. Po kilku minutach odrętwienia, które towarzyszy procesowi myślowemu (a często z powodzeniem go zastępuje), Artur wstukał w wyszukiwarkę naraz: „ośmiornica” i „popkultura” – żeby dokładniej zeksplorować temat. Po paru sekundach rzęzenia wypluła fragment Movie Data Base: Ołaman, no i proszę! Teraz naprawdę uwierzył, że nie ma kwestii, która nie została by już rozwiązana w Internecie. Ołaman, czyli człowiek ośmiornica, wyskoczył mu w koprodukcji amerykańsko-meksykańskiej z lat siedemdziesiątych, ewidentnie było to kultowe kino. Gumowy kostium projektu Ricka Bakera stanowił, zdaje się, największy atut tego dzieła.

– No właśnie – zgodził się z Gogolem. – Pisarz popularny to zabawne monstrum, które wymachuje na osłep gumowymi mackami i ledwie co oddycha, właśnie tak. Nie jest pewne, czy na tym zarobisz, za to będą cię śmiali, znacznie lepiej jest zostać pod wodą i penetrować obszar głębi. Nie musiał nawet oglądać tego filmu, niby po co? I tak, dałby sobie zresztą odciąć rękę – jedną z ośmiu – że scenarzysta Harry Essex próbował zaisnąć w literaturze, zanim zajął się kinem, lata wcześniej. Pełen autentycznego współczucia i głębokiego zrozumienia, Artur pokusił się o tezę, że Ołaman był tak naprawdę filmem biograficznym, ciężkim dramatem psychologicznym i wszystkie te bebechy autor wypruwał sobie z własnych flaków. Zarabiając niegodne pieniądze na horrorach, całując tyłki reżyserów trzeciej klasy, Harry Essex pozostawał artystą, włócił za sobą galeretowato-gumiaśny zezwłok marzeń i ambicji. Krył się z nim, na bankietach upychał go w łazience. On także był Krakenem, także czytywał kiedyś Tennysona. I jeśli pozostawał wśród żyjących, na pewno czekał na godzinę zemsty, na swój moment. Gdy jego inteligencja, rycząc, wypłyłnie na powierzchnię, obejmie ramionami statek sławy i zgniecie go, kurwa, zgniecie go jak kartkę. Nic nie jest tak zabójcze jak pragnienie nieśmiertelności. Monster movies to historie o nas.





*Paulina Wilk*

layout  
Ewelina Pulka  
ilustracje  
Weronika Reroń  
liternictwo  
Ewelina Pulka  
Weronika Reroń

Omar nie wie, że na niego patrzę. Jest po obiedzie, leży w ocienionym zakątku, oddycha ciężko. Gdy mruga, brązowe wstęgi na jasnym futrze zbiegają się, a potem znów rozłączają. Ruchomy gwieździsty wzór zakończony parą grubych, trójkątnych uszu. Czy Omar wie, że jest piękny? • Przed posiłkiem kręcił się niespokojnie, okrążał drzewa i krzewy, chodził po skraju urwiska. Zatrzymał się przy ułamanej skale, spuścił łapy w dół. A potem już cały wsunął się pod powierzchnię wody. W naturze tygrysy bengalskie są wybornymi pływakami. Omar pływa jedynie dla przyjemności. • Ma piętnaście lat, jest już stary. Tu przygotowano mu rozległą imitację lasu subtropikalnego, z wysokimi drzewami, zwalonymi konarami, wodospadem i zbiornikiem wody, regularnie czyszczonej. Ma dla siebie starannie urządzoną rezydencję.

– Jest taki smutny! –

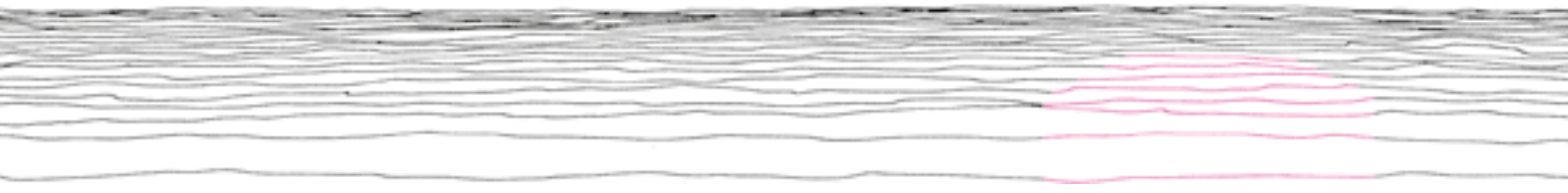
lamentują dzieci, brane na ręce przez rodziców, by mogły lepiej mu się przyjrzeć. Z ust dorosłych płyną zapewnienia:

– Ma dobrą opiekę i nie musi się martwić, skąd weźmie jedzenie.

– Ale on stąd nigdy nie wyjdzie! –

nie ustają w żałobnych tonach dzieci. Być może przeczuwają własną przyszłość.

Omar jest stałym rezydentem singapurskiego zoo, uważanego za jeden z najlepszych ogrodów zoologicznych na świecie, zapewniający zwierzętom tyle szczęścia i wygody, ile tylko możliwe. Niewola jest słodka, jest także nieunikniona. Biały tygrys bengalski to gatunek zagrożony wyginięciem. Wolność stała się śmiertelnie niebezpieczna.



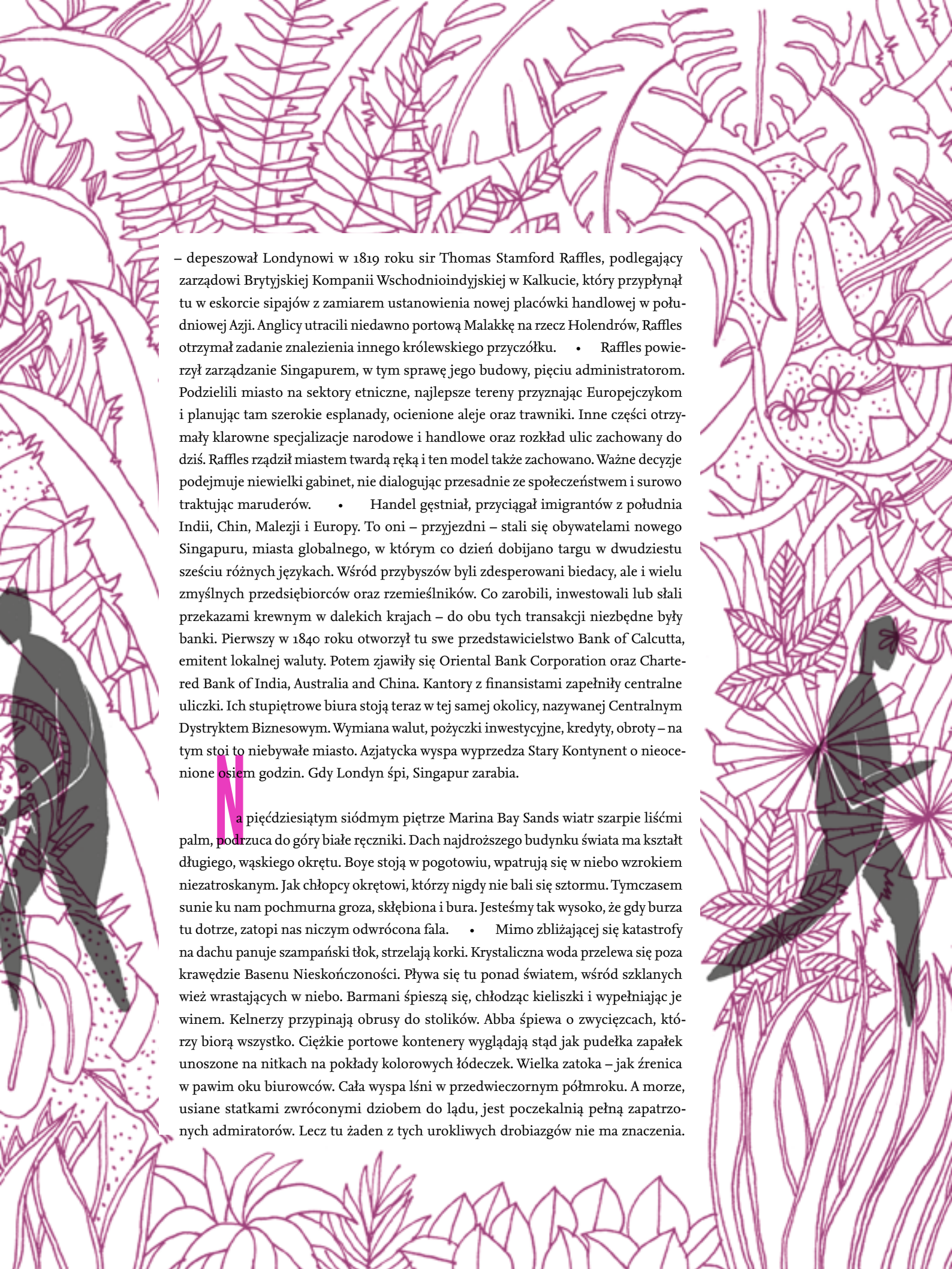
**S**ingapur, ta niewielka wyspa na krańcu malezyjskiego nosa, ta mała, czerwona kropka usadowiona dokładnie pomiędzy ciepłym Oceanem Indyjskim i wzburzonym Morzem Południowochińskim, już pod koniec XIX stulecia chwalił się tym, o czym Azja Południowo-Wschodnia wciąż tylko marzy: czystą, pitną wodą z kranów. Oraz niedościgłym bogactwem. • Maleńki Singapur nie posiadał żadnego z wielkich skarbów Azji: żółtego złota – szafranu, alabastru, rozległych pól ryżowych czy bawełnianych, ukrytej w skałach ropy. Ale nie ma też przeciwników, nie zna chaosu, żadnej z tak uporczywych współczesnych trosk. Jest zamożniejszy niż niejeden olbrzym i służy za ideał przyszłości wielu potężniejszym od siebie. To wyspa spełnionego sukcesu na kontynencie budzącym się do panowania nad światem. Na 718 kilometrach kwadratowych lądu mieszkają ludzie nieznaną upadków, biedy, konfliktów i niepewności. Rodzące się tu niemowlęta mają największą na świecie szansę przetrwania, najlepszą opiekę medyczną z możliwych. Dorosli cieszą się wyjątkowo długim życiem – powyżej osiemdziesiąt pięć lat. Spożycie narkotyków jest znikome, a określana przez Bank Światowy granica ubóstwa – do niczego nieprzydatna. • Singapur jest hojny dla mieszkańców, nikomu nie odmawia swej urody, publicznych plaż i szkół, przystrzyżonych trawników i szerokich chodników. Mówi do swych obywateli w czterech urzędowych językach, nie dopuszcza dyskryminacji, nie zna łapówek ani drobnych taksówkarskich oszustw. • Prawdą jest, że nie dzieli swych bogactw po równo, jednym daje niebotyczne fortuny, innym – dostatnią codzienność. Nie zajmuje się szacowaniem braków, kumuluje bogactwo. Samochody luksusowe są tu częstsze niż w Monaco. Przychody z hazardu – znaczniejsze niż w Las Vegas. Aktywa pod opieką banków – pokaźniejsze niż w Szwajcarii. Koncentracja międzynarodowych firm i ich udział w gospodarce – porównywalne jedynie z Hongkongiem. Odsetek milionerów wśród sześciu milionów mieszkańców – większy niż gdziekolwiek. Co szósty człowiek ma wolny milion dolarów i jeszcze większy majątek, na przykład w nieruchomościach, które należą do najdroższych na świecie. • Singapur to dukat bez rewersu, miasto bez zła.

*To miejsce posiada znakomitą naturalną przystań i wszystko, czego można pożądać dla brytyjskiego portu. Krótko mówiąc: Singapur jest wszystkim, czego moglibyśmy pragnąć, i uznaję się za szczęściarza w tym wyborze; wyspa wkrótce zyska wielką wagę*









– depeszował Londynowi w 1819 roku sir Thomas Stamford Raffles, podlegający zarządowi Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej w Kalkucie, który przyплыł tu w eskorcie sipajów z zamiarem ustanowienia nowej placówki handlowej w południowej Azji. Anglicy utracili niedawno portową Malakkę na rzecz Holendrów, Raffles otrzymał zadanie znalezienia innego królewskiego przyczółku. • Raffles powierzył zarządzanie Singapurem, w tym sprawę jego budowy, pięciu administratorom. Podzielili miasto na sektory etniczne, najlepsze tereny przyznając Europejczykom i planując tam szerokie esplanady, ocienione aleje oraz trawniki. Inne części otrzymały klarowne specjalizacje narodowe i handlowe oraz rozkład ulic zachowany do dziś. Raffles rządził miastem twardą ręką i ten model także zachowano. Ważne decyzje podejmuje niewielki gabinet, nie dialogując przesadnie ze społeczeństwem i surowo traktując maruderów. • Handel gęstniał, przyciągał imigrantów z południa Indii, Chin, Malezji i Europy. To oni – przyjezdni – stali się obywatelami nowego Singapuru, miasta globalnego, w którym co dzień dobijano targu w dwudziestu sześciu różnych językach. Wśród przybyszów byli zdesperowani biedacy, ale i wielu zmyślnych przedsiębiorców oraz rzemieślników. Co zarobili, inwestowali lub słałi przekazami krewnym w dalekich krajach – do obu tych transakcji niezbędne były banki. Pierwszy w 1840 roku otworzył tu swe przedstawicielstwo Bank of Calcutta, emitent lokalnej waluty. Potem zjawiły się Oriental Bank Corporation oraz Chartered Bank of India, Australia and China. Kantory z finansistami zapełniły centralne uliczki. Ich stupiętrowe biura stoją teraz w tej samej okolicy, nazywanej Centralnym Dystryktem Biznesowym. Wymiana walut, pożyczki inwestycyjne, kredyty, obroty – na tym stoi to niebywałe miasto. Azjatycka wyspa wyprzedza Stary Kontynent o nieocone osiem godzin. Gdy Londyn śpi, Singapur zarabia.

**N**a pięćdziesiątym siódmym piętrze Marina Bay Sands wiatr szarpie liśćmi palm, podrzuca do góry białe ręczniki. Dach najdroższego budynku świata ma kształt długiego, wąskiego okrętu. Boje stoją w pogotowiu, wpatrują się w niebo wzrokiem niezatroskanym. Jak chłopcy okrętowi, którzy nigdy nie bali się sztormu. Tymczasem sunie ku nam pochmurna groza, skłębiona i bura. Jesteśmy tak wysoko, że gdy burza tu dotrze, zatopi nas niczym odwrócona fala. • Mimo zbliżającej się katastrofy na dachu panuje szampański tłok, strzelają korki. Krystaliczna woda przelewa się poza krawędzie Basenu Nieskończoności. Pływa się tu ponad światem, wśród szklanych wież wrastających w niebo. Barmani śpieszą się, chłodząc kieliszki i wypełniając je winem. Kelnerzy przypinają obrusy do stolików. Abba śpiewa o zwycięzcach, którzy biorą wszystko. Ciężkie portowe kontenery wyglądają stąd jak pudełka zapalek unoszone na nitkach na pokłady kolorowych łódyczek. Wielka zatoka – jak źrenica w pawim oku biurowców. Cała wyspa lśni w przedwieczornym półmroku. A morze, usiane statkami zwróconymi dziobem do lądu, jest poczekalnią pełną zapatrzonych admiratorów. Lecz tu żaden z tych urokliwych drobiazgów nie ma znaczenia.



Tu rzeczywistość nie sięga. I wściekła burza, zamiast nadejść, ostatecznie usuwa się na bok. Wzięła wszystko poza nami. Wyciągam ramię i mrużąc oczy przed słońcem, muskam przesuwającą się tuż nad głową chmurkę. Pogoda dla bogaczy trwa.

Singapurczycy nie znają porażek. Pięćdziesięcioletnie życie wyspy jest prawidłowo przeprowadzonym eksperymentem, udaną hodowlą wielokulturowego narodu w regulowanych warunkach, triumfem człowieka nad jego słabościami, urzeczywistnieniem utopii. Przyszłość została tu zaplanowana i konsekwentnie wcielona w życie wspólnym wysiłkiem, ale pod skrupulatną opieką i kontrolą rządu, któremu przez ponad trzydzieści lat szefował jeden człowiek – premier Lee Kuan Yew, prawnik wykształcony w Cambridge. Odkąd niepodległy rząd stworzyło kilkunastu powołanych przez niego ludzi, miasto-państwo jest na stabilnym kursie. • Warunkiem powodzenia eksperymentu było zaufanie i posłuszeństwo wobec tych, którzy sprawują władzę. Pomocne okazały się: niewielka przestrzeń, nieduża populacja i naturalne wśród wyspiarzy rozumienie ograniczeń.

– Chcesz pieniędzy? Zdobędziesz je, ale szykuj się na ciężką pracę.

Chcesz wolności? Wyjedź stąd –

atletyczny Rusłan zdmuchuje zapałkę i posyła mi uśmiech człowieka, który spróbował wszystkiego i teraz, gdy dosięgła go siwizna, korzysta z przywileju wygłaszania maksym. Jego mądrości unoszą się w powietrzu leniwie wraz z dymem tłącego się na podgrzewaczu drzewa agar. Wiatrak porywa płynący w górę koniuszek, rozwibrowuje i rozpyla nad naszymi głowami. Stoimy oparci o szklany kontuar, od wielu godzin bawiąc się dialogiem, wpatrzeni w niewielkie buteleczki wypełnione niewyobrażalnie kosztownymi olejami i perfumami. Rusłan nie ma klientów, a wyłącznie gości. Jest spragniony rozmów. Przychodzą tu, do minimalistycznie urządzonego salonu zajmującego dziewiętnastowieczny islamski sklepik, ci najzamoźniejsi. Politycy, którzy nic nie mogą. Modelki, które niczego nie pragną. Ludzie biznesu, którzy mają tak wiele od tak dawna, że nie pamiętają, co to jest tęsknota.

– To wszystko dobrzy ludzie –

mówi spokojnie, tłumacząc naturę spełnionych marzeń.

– Tylko nie mają już dokąd pójść. My nie mamy przyszłości.

Nic się tu nie wydarzy, a w każdym razie niewiele.

Rusłan jest pobożnym muzułmaninem, bywałam w świecie i spełnionym. Może otworzy salon z perfumami w Moskwie, a może nie. Jakież to ma znaczenie? Pieniądzy zarobił w życiu dość, by rozumieć innych nasyconych, ospałych. Ten salon zapachów stał się jego azylem, altanką, garażem i szopą za stodołą – miejscem, do którego przychodzi pod koniec dnia, żeby pożyć i myśleć. Poza flakonikami jest tu sterta krzeseł, w miarę upływu wieczoru uszczuplana przez znajomych i przyjaciół. Dzieci biorą się znikąd, wbiegają, wtulają się w kolana, tupią bosymi stopami, zawisają na ramionach, czegoś chcą, szepczą do ucha i znów znikają. Ktoś zaparza



herbatę, ktoś opowiada zabawną historię, ktoś czyta na głos artykuł z gazety. Ktoś inny wsuwa klapki i pospiesznie podwija rękawy, bo z meczetu sułtańskiego wołają na modlitwę. Przez dziesiątki lat na tej uliczce, wąskiej Bussorah Street, gromadzili się muzułmanie z całej Azji. Jedli i spali w hotelikach, by potem wspólnie wsiąść na statek i popłynąć na hadż. Teraz wołanie muezina jest cichsze, modlitwy mniej żarliwe. Zostało tylko trochę dawnego zgiełku. • Trojgu swych dorosłych już dzieci Ruslan zapewnił nie tylko edukację, ale także podróże do dalekich krajów. Powtarzał, że w drodze nauczą się więcej.

– Szkoła w Singapurze działa jak program, przycina głowy do szablonów, segreguje i wypycha w nieodwracalne ścieżki karier. Ludzie umieją jedno: podporządkować się –

mówi tonem beznamiętnym, jak prezydent, który przywykł do złych wiadomości.

– Synowie chcieli przejąć moje firmy, ale odmówiłem.

Niech sami budują swoje życie.

Urodził się w Singapurze niedługo po drugiej wojnie światowej jako syn malezyjskich imigrantów. Pamięta z początków niepodległości rozregulowaną prowizorkę, łapówkarstwo i oszustwa, szybko wypienione. Pamięta wyspę zabudowywaną ulica po ulicy.

– To dobre miejsce do życia. Tylko duszne.

Robi ruch dłonią, jakby strącał wieżowce do morza.

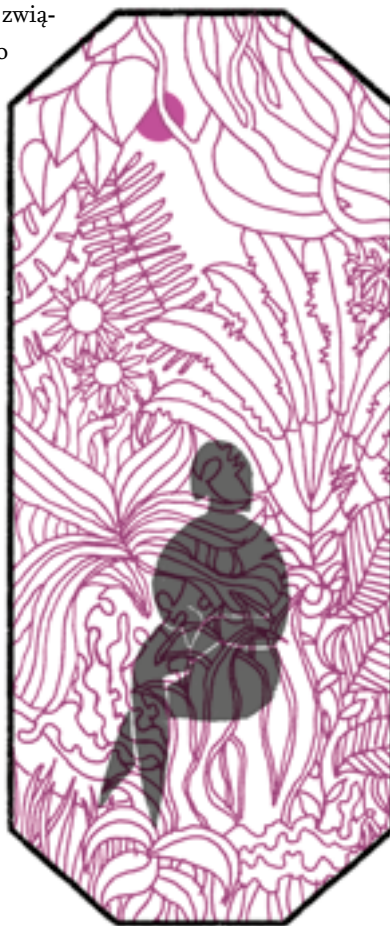
Ludzi i domów przybędzie. Singapur zna jeden model postępu – przez rozbudowę. W 2030 roku na wyspie ma mieszkać prawie siedem milionów ludzi. Potrzebnych jest dwieście tysięcy nowych mieszkań i więcej ziemi. Od uzyskania niepodległości wyspa urosła o sto trzydzieści siedem kilometrów kwadratowych, niebawem urośnie o kolejnych sto. • Wyspiarze są częścią sztucznie ustanowionego ładu. Singapur został w całości i w najwyższym znanym ludzkości stopniu zurbanizowany. Nie ma w nim centymetra, który nie podlegałby kontroli, niczego nie przeoczono. Infrastruktura zastąpiła naturę – jest intensywna, wszechobecna i zróżnicowana, jak las tropikalny, który rósł tu przed nią. • Jej miejsce zajęły wytwory zorganizowanej myśli, dążącej do realizacji ustanowionego zamiaru. Myśli wyrafinowanej, wyposażonej w moc stwarzania. Gdzie nie spojrzeć, Singapur jest dążeniem do doskonałości. • To rzeczywistość skończona. Przyszłość została osiągnięta. Wyspa znajduje się w ostatniej fazie zabudowy. Geografia i sąsiedzi nie pozwolą już na znaczne zwiększenie powierzchni. Pozostaje udoskonalać osiągnięcia. Ludzie nawykli do sukcesu będą teraz uczyli się radości z niespektakularnej jubilerskiej roboty – szlifowania i tak już drogocennych klejnotów.

o czwarty mieszkający na wyspie urodził się poza nią. W 2030 roku już połowę stanowić będą przyjezdni. Tak wielu żyje tu w poczuciu tymczasowości, z powodów pragmatycznych i szybko przemijających, że konstruowana usilnie piaskowa



figura tożsamości narodowej wciąż się osuwa. • Ludzie niezakorzenieni pozostają wobec siebie życzliwie obojętni, większość odpowiedzialności powierzają państwu. Wydaje się, że nie znają lęku, łaknienia, bierności. • Tego stanu nie nazywają jednak szczęściem, rzadko się uśmiechają, a rzadziej jeszcze odczuwają pragnienie posiadania potomstwa. W Singapurze dzieci rodzą się rzadko, najrzadziej na świecie. Jego mieszkańcy przechowali w sobie za mało substancji życia, by chcieć podarować je innym. • Czy przekroczyli granicę, za którą istnienie staje się tak doskonałe, że próbuje popsuć własną perfekcję? A może kieruje nimi zmysł pokory, potrzeba korekty. Coś podszeptuje im, że ludzi jest za dużo, do tego zbyt rozpanoszonych, samolubnych, pora więc ustąpić naturze? Istnienie, które nadmiernie oddaliło się od biologii, jest materialnie zaspokojone, ale spustoszone duchowo i filozoficznie. Zaczyna pojmować własny bezsens. Przerażone próżnią, wybiera samozagładę.

**P**okolwiek dokonuje się na wyspie, ma związek z dostatkiem. Pozbycie się zła uszczupliło dobro i teraz zagraża przetrwaniu. • Sir Thomas Stamford Raffles zakończył misję w Singapurze w 1824 roku. Po powrocie do Anglii powołał Londyńskie Towarzystwo Zoologiczne i został założycielem londyńskiego zoo, pierwszej tego typu instytucji naukowej na świecie.



Fragment pochodzi z książki *Pojutrze. O miastach przyszłości*, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Literackiego w listopadzie 2017 roku.



layout  
Emilia Wesołowska  
ilustracje  
Wanda Pietrzak

**Krisztina Tóth**  
**Bezgwiezdny wieczór**  
**Połączenie wychodzące**  
**W końcu wciąż jest lato**

przełożyła Anna Butrym



## Bezgwiazdny wieczór

Dziewczyna, która zawsze odmierza świeże mleko do butelek, nie może mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. W białym fartusku i bluzce wygląda jeszcze bardziej rześko. Oczy ma błękitne, z uśmiechem obsługuje klientów. Nie zwraca się do mnie, tylko do drugiej dziewczyny, która w ladzie z wędlinami układa kiełbasy. Mówi do niej, że nie rozumie tego całego rabanu, przecież nie zestrzeliwują z powrotem do wody każdego, kto chce dotrzeć do brzegu. Tak byłoby najprościej, im też wysłoby to na dobre, bo przecież co to za życie. Koleżanka w gumowych rękawiczkach pomrukuje coś, przytakuje, że rzeczywiście, dla nich też byłoby o wiele lepiej, wszystkich do wody i po kłopotcie. Blondynka odwraca się w moją stronę i pyta, czy potrzebuję czegoś jeszcze. Nie, nie potrzebuję, dziękuję. Tak, właśnie tak do niej mówię, „dziękuję”, i wkładam mleko do siatki.

W domu, kiedy nalewam mleko, ta dziewczyna wciąż mi towarzyszy, jej głos dźwięczy mi w uszach cały dzień. Zastanawiam się, co należało zrobić, czy w takiej sytuacji jest sens dopytywać, czy jest sens blokować kolejkę, czy należy pójść do innego sklepu, a może przestać pić mleko, przestać słyszeć kierowane nie do mnie zdania, w końcu przestać słyszeć nawet to, co mówią właśnie do mnie. Powoli przestać słyszeć, widzieć.







Następnego wieczora jestem zaproszona w gości, ale dopiero dość późno mogę wyruszyć. Przy wyjściu z metra spoglądam na zegarek i postanawiam zawołać taksówkę. Nie znam ulic w tamtej położonej na wzgórzach dzielnicy, do Normafa jeżdżą jedynie na wycieczki. Wlepiam wzrok w ciemniejące miasto, powoli przedostajemy się w stronę zielonych przedmieść. Wokół placu Kálmána Szélla panuje apokaliptyczny chaos, taksówkarz przez jakiś czas z rutyną wymija sznur samochodów, ale potem się poddaje. Stoimy, czekamy. Słysząc głos dyspozytorki, szuka kogoś na przejazd z Óbudy, na wprost nas karetka na sygnale próbuje jechać w kierunku miasta, lecz tylko niezdarnie posuwa się slalomem.

Widzę po taksówkarzu, że mu się nudzi. Za nim długi dzień, jest zmęczony, chciałby trochę porozmawiać. Nie zachęcam go, ale też nie oponuję, niech mówi, co chce.

Zaczyna gadać o tej pieprzonej hordzie, jakby od niechcienia, żeby zabić czas, wypełnić kilka minut, póki nie pojedziemy dalej. Mówi, że nie wierzy to, że przy obecnym stanie nauki nie można tego jakoś rozwiązać, dlaczego nie zagonią wszystkich imigrantów do jednego namiotu i nie puszczą trochę gazu. Można by tam od razu zapędzić także bezdomnych, żyje tu wystarczająco dużo normalnych ludzi, dla nich też nie starcza miejsca.

W taksówce gwałtownie zaczyna brakować powietrza, chcę wysiąść. Mówię kierowcy, że kończymy, stąd już pójde pieszo. Patrzy na mnie z zaskoczeniem, zapewnia, że jeszcze tylko kilkaset metrów, chwilka cierpliwości, lekko stuknęli się tam wyżej, na skrzyżowaniu, nic wielkiego.

Nie chcę paragonu, nie chcę reszty, głęboko oddychając, na piechotę oddalam się od centrum miasta. Od mojego miasta, miasta rodzinnego, jak to zwykle mówią. Idę dwa przystanki, potem nadjeżdża tramwaj. Wsiadam i zaczynam skanować twarze. Patrzę na staruszkę z obwiązanymi nogami, który trzyma na kolanach wiadro przejrzałych fig. Śledzę jego spojrzenie i próbuję odgadnąć, o czym myśli. Potem wzrok prześlizguje mi się na kobiecie z psem, stamtąd na dwóch chłopaków uczepionych poręczy, z których jeden ma kolorowe opaski na nadgarstku. Gapię się na pasażerów i zgaduję, ilu z nich na dziesięciu przyznałoby rację taksówkarzowi, ilu wzruszyłoby ramionami, ilu by się oburzyło. Na przystanku końcowym tramwaj pustoszeje, stoję, wokół mnie coraz chłodniejszy jesienny wieczór. Pięciu na dziesięciu? Czterech? A może dziesięciu na dziesięciu? Jest zimno, coraz zimniej, klatkę piersiową uciska mi uparta duszność, nade mną nisko zawieszono chmury, bezgwiazdne niebo. Jakby wszystkich nas przykrył namiot.

## Połączenie wychodzące



Jest zimna noc, mży deszcz. Wracam z przyjęcia, udało mi się złapać ostatni autobus. Z przystanku do domu czeka mnie jeszcze kwadrans piechotą. Stąpam w szpilkach, okropnie obtarły mi stopy. Po dwóch przecznicach nachodzi mnie myśl, by rzucić buty i iść dalej boso, ale deszcz siąpi coraz mocniej, chodnik jest cały w błocie. Docieram do zebry, znikąd ani samochodu, mimo to czekam na zielone. Zbliża się jeden jedyny motocyklista, zaraz to on będzie miał zielone, a jednak trąbi na mnie. Nie odwracam się, jestem zajęta bolącymi nogami. Motocyklista zwalnia, skręca w boczną ulicę i przecinając ścieżkę rowerową, jedzie wprost na mnie. Serce bije mi szybciej, przeczuwam niebezpieczeństwo. Nie ma szans na ucieczkę, więc rozglądam się, może ktoś będzie w pobliżu. Ulica jest wymarła, okna ciemne, nigdzie samochodu ani późnego przechodnia. Motocyklista zatrzymuje się przede mną w poprzek, podnosi osłonę kasku. To młody chłopak, najwyżej dwudziestoletni, bacznie mi się przypatruje. Chcę iść dalej, ale on cofa motor, zagrażając mi drogę. Czy może o coś zapytać, tak zaczyna. Spoglądam ze zdziwieniem, przygotowana na zaczepkę lub atak. Badanie opinii publicznej, uśmiecha się. Przebiega mi przez myśl, że może jest pijany albo chciał kogoś poznać i nagle odkrył, że czterdziestoletnia matka to nie najlepszy cel. Chciałby zapytać, nieco nachyla się ku mnie na motorze, czy nie miałabym wychodzącego. Nie rozumiem, więc precyzuje, że połączenia wychodzącego. Musi zadzwonić, ale padła mu bateria. Odczuwam nagle dziwną ulgę, jakby zaczynały się wyłaniać kontury sytuacji. Wygląda na to, że chłopak chce mi jedynie zabrać telefon, tylko tyle. Sięgam do torebki, gorliwie grzebię w niej jak ktoś, kto zna już tę konwencję. Czuję niemal swojską pustkę. Telefon trzymam w dłoni, chłopak zaś, jakby czytał mi w myślach, przeprosza, absolutnie nie chce zabrać aparatu, tylko podyktuje numer. Jak ktoś odbierze, mam przekazać to, co chłopak mi powie.

Dopytuję, z kim chce rozmawiać o tej porze, i mam nadzieję, że nie zamierza wykręcić komuś głupiego żartu z mojego numeru. Głos już mi nie drży, jestem niemal ciekawa, co będzie dalej. Chłopak nagle poważnieje. Chce zadzwonić do dziewczyny, bo znów się spóźnił i ona go nie wpuści. Powiedziała ostatnio, że jeśli nie przyjedzie na czas, to na próżno będzie dzwonił domofonem. Dziewczyna wyklada towar, musi wstawać o piątej. On z kolei przyjechał właśnie z Üröm, nie udało mu się wyruszyć wcześniej, bo nie mógł zostawić matki. Czemu nie mógł zostawić, pytam, i przychodzi mi do głowy własny syn, który potrafi wyjść na noc. Dlatego, że trzeba ją było przewinąć, odpowiada chłopak, i wszystko jej przygotować na stoliku nocnym. I że przysunął też fotele, żeby przypadkiem nie spadła, bo kiedyś już zleciała z łóżka, kiedy chciała wstać.

Pada deszcz, stoimy w zimnie z całkowicie obcym motocyklistą, a ja dopytuję, czy ta dziewczyna wie, że jego mama jest chora. Nie wie, chłopak spogląda na mnie takim wzrokiem, jakbym zadała straszliwie głupie pytanie, nie chce, żeby dziewczyna miała go za jakiegoś nieudacznika, żeby go żałowała, a prawda jest taka, że ona nie wie nawet, że chłopak mieszka z matką. Dlatego miał przyjechać na

czas, bo dziewczyna wciąż sądzi, że kręci jednocześnie z inną, więc niedługo i tak będzie musiał jej powiedzieć o całej sytuacji, ale teraz jeszcze nie, jeszcze za wcześnie, chciałby zyskać trochę czasu. Wszystko to wyrzuca z siebie na jednym oddechu, z rozpaczą i dziecinnym zapałem, i zaraz dyktuje mi numer.

Wciskam połączenie, pokazuję mu ekran, żeby widział. Długo czekam, aż ktoś podniesie, ale wciąż słycać jedynie sygnał. Chłopak wpatruje się w telefon zdruzgotany, jak ktoś, kto z góry podejrzewał, że tak będzie, potem pyta, czy odwieźć mnie do domu. Teraz już i tak wszystko mu jedno, tłumaczy, potem wróci do Üröm. Już w samej nazwie pobrzmiewa gorycz.

Zupełnie nie mam ochoty na jazdę motorem. Włosy posklejały mi się od deszczu, stopy mnie pieką, jestem dwie przecznice od domu i chciałabym wreszcie zrzucić szpilki. Mówię mu, że nie musi mnie odwozić, żegna się więc i w rozkroku wyprowadza motor na drogę niczym dziecięcy rowerek biegowy. Już ma ruszać, kiedy dzwoni mój telefon. Chłopak drętwieje. Odbieram, po drugiej stronie zaspany głos. Motocyklista słucha z napięciem na twarzy, ale daje mu znak, żeby milczał. Stoję tutaj, relacjonuję, na tej a tej ulicy biedny chłopak miał paskudną wywrotkę, dlatego dzwoniłam. Spieszył się, żeby zdążyć, nie ma żadnych poważniejszych obrażeń, ale następnym razem nie wolno mu tak pędzić. Chłopak rękami i nogami pokazuje, żebym przestała, ale jestem matką, więc nie oddam mu słuchawki. Musi panią bardzo kochać, tłumaczę do telefonu, bo jak tylko się pozbierał, świadkom podał ten właśnie numer. Dziewczyna po drugiej stronie płacze i prosi, żebym dała chłopaka do telefonu, tymczasem on rysuje kółka na skroni, nie jestem normalna. Przekazuję mu słuchawkę. Następuje płomienna rozmowa i przysięgi, ja też, naprawdę, bardzo, dziesięć minut, oczywiście, nigdy więcej, nic, naprawdę nic.

Wkładając telefon z powrotem do torebki, mówię chłopakowi tylko tyle, że powinien opowiedzieć o mamie teraz, dziś wieczorem, bo nie będzie lepszej okazji. Obiecuje, potem odjeżdża, a ja zastanawiam się, czy nie powinnam po prostu wyrzucić tych butów. W domu jednak się uspokajam. Gimnastykuję nogi, spoglądam na zegarek. Chłopak pewnie właśnie tam dojeżdża. Naciska guzik domofonu, brama się otwiera.



Mężczyzna wysiadł z tramwaju w centrum i ruszył w górę ulicą. Musiał zająć do urzędu miasta znajdującego się w tej okolicy, dwie przecznice od domu, w którym mieszkał w trakcie małżeństwa. Przyjechał tramwajem, bo wiedział, jak cholernie ciężko tu jest znaleźć miejsce do parkowania. Wyprowadził się od żony ponad siedem miesięcy temu, od tego czasu rozmawiali tylko raz, kiedy próbowali uzgodnić szczegóły rozwodu. Młoda kobieta, z której powodu po tak długiej zwłoce i utrzymywaniu wszystkiego w sekrecie odszedł w końcu z domu, miała dokładnie tyle lat, ile spędzili wcześniej z żoną – dwadzieścia cztery. Urodziła się, gdy oni brali ślub. Była żona ujęła to nieco ostrzej, ale gniew w jej przypadku był zrozumiały.

Mężczyzna stresował się załatwianiem jakichkolwiek spraw urzędowych, temu więc przypisał szaloną kolkę, która dopadła go podczas jazdy. Dawno już nie czuł czegoś takiego: jakby w środku skręcało mu jelita. To nie był zwykły ból, ale jakiś straszny, piekący, nagły skurcz, zupełnie inny niż przy normalnych porannych wypróżnieniach. Na przystanku przeczuwał już, że będzie zmuszony wbiec do samoobsługowego na rogu, bo po prostu nie wytrzyma do urzędu. A przecież nic nie jadł na śniadanie, wypił tylko kawę.

Naróżnego sklepu, który pamiętał, już nie było: w ciągu ostatnich siedmiu miesięcy zbankrutował, tabliczka głosiła, że lokal jest do wynajęcia. W pobliżu znajdował się też fast food, ale do skrzyżowania musiałby iść minimum pięć minut, co innym razem byłoby błahostką, a teraz wydawało się nieskończonością.

Oblewał go pot, ze wszystkich sił skoncentrował się na zwieraczach i stawiał drobne kroczki. Zrozpaczony spojrzął na swój niegdyśszy dom, po czym wiedziony nagłą myślą zadzwonił do byłej żony i z wysiłkiem wyszeptał do telefonu:

– Jesteś w domu? Mógłbym wejść na chwilę?

Była żona miała tylko tyle czasu, by nieco poprawić włosy i rozetrzeć odrobinę różu na policzkach, potem nacisnęła domofon.

Mężczyzna wszedł zgięty do znajomej bramy, zrobił trzy kroki w stronę śmietników i poczuł, że opuszczają go siły. „Zesram się” – przebiegło mu przez myśl. Zdążył zedrzyć spodnie i kucnąć między koszami na śmieci, ale majtek nie zdołał już uratować. Zdumiony, niemal z zewnątrz obserwował, co się z nim dzieje. Oto robi kupę, kucając między dwoma pojemnikami na surowce wtórne w swoim dawnym domu, podpierając się jedną ręką, jęcząc jak jakiś pijany bezdomny, a jednocześnie mimowolnie sika łukiem przed siebie, w stronę schodów. Znowu zabrzączał domofon. Na szczęście nikt się nie zjawił, widocznie żona ponownie nacisnęła przycisk, a nuż nie wszedł i dlatego nie dotarł wciąż na górę. Gdy sobie ulżył, jeszcze przed kilka sekund kuczał wyczerpany, z pustką w głowie, nie miał siły natychmiast wstać. Potem przez buty zdarł z siebie spodnie i wyrzucił majtki. Nie było to zbyt eleganckie, że wsadził je do białego pojemnika na szkło, ale ten stał najbliżej. Lewa nogawka spodni pobrudziła się, musiał jednak z powrotem je założyć, nie mógł przecież zakraść





się na klatkę pólności, jak jakiś przyczajony ekshibicjonista.

Pozbierał się akurat na czas, bo winda stuknęła i wysiadł z niej jeden z mieszkańców. Uprzejmie wymienili pozdrowienia, tak jakby nie minęło pół roku, a on sam nie był obsrany do kolan; potem wszedł do środka na wciąż drżących nogach. Do trzeciego piętra nie miał zbyt wiele czasu, by wymyśleć odpowiednie przywitanie.

– Przepraszam, ale się zesrałem. – Spojrzał szczerze na byłą żonę, która zdrętwiała od tej bezpośredniości. Delikatnie ją odepchnął i pospieszył do ich łazienki, a właściwie teraz już tylko jej łazienki, żeby doprowadzić się do porządku. Wszystko było tak, jak to zostawił, miskę znalazł wsuniętą pod szafkę umywalkową, na zwykłym miejscu. Namoczył spodnie, wziął prysznic, wytarł się pachnącym ręcznikiem kąpielowym żony, który wciąż był wilgotny. Najwidoczniej i ona niedawno się myła.

Jednak pudełka z proszkiem nie było na parapecie okienka, dlatego krzyknął do niej, pytając, gdzie je znajdzie.

– Zostaw, sama się tym zajmę – odparł głos żony.

Resztę musiał jakoś przemyśleć. Opadł na zamkniętą klapę sedesu i głowił się, gapiąc się na siwiejące owłosienie łonowe i zwisający członek, ale nic sensownego nie przychodziło mu na myśl. Żony, z którą formalnie jeszcze się nie rozwiódł, nie mógł z kluczami i breloczkiem z misiem posłać do swojej nowej kobiety, żeby przywiozła mu od niej czyste spodnie. Do nowej dziewczyny, siedzącej w tym pieprzonym biurówcu z samego szkła, też nie mógł zadzwonić z prośbą, żeby wskoczyła do auta i była tak miła dostarczyć mu spodnie i majtki pod ten a ten adres, do byłej żony, jeśli to nie jest zbyt wielki kłopot. „Siedzę tu – myślał – w łazience własnego mieszkania, jak schwytyany w pułapkę kochanek, i nie mogę wyjść. Mam pięćdziesiąt cztery lata, zesrałem się, łysieję i nie wiem, gdzie jest proszek do prania. Przydałoby się wymienić płytki w tej łazience”.

– Wiesz, że nie masz tu już ani jednych spodni, prawda? – krzyknęła zza drzwi kobieta, a w jej głosie wcale nie słychać było satysfakcji, raczej rzeczowość.

– Wiem – odparł mężczyzna i wyrwał z cebulką długi, siwy włos, bo nagle wydał mu się boleśnie widoczny. Rozmyślał, jak szybko spodnie mogą wyschnąć na balkonie. W końcu wciąż jest lato. Wyrwał jeszcze jeden siwy włos, zabolowało. Wyschną w godzinę? A może w pół dnia? A może plama wcale nie zejdzie?

Potem się uspokoił: żona zawsze potrafiła sobie poradzić z takimi sprawami. Zawiązał w pasie ręcznik kąpielowy i wyszedł z łazienki.



layout  
Emilia Wesołowska

ilustracje  
Anna Osewska

# KRZYSZTOF VARGA: SONNENBERG

Zaangażowanie Attili w politykę osłabło latem 2016 roku, kiedy we Francji odbywały się mistrzostwa Europy w piłce nożnej i wyglądało na to, że reprezentacja Węgier po raz pierwszy od ponad trzydziestu lat może czegoś dokonać na arenie międzynarodowej, a kiedy dochodzi do tak epokowego wydarzenia, tak budującego i jednoczącego, że również kobiety programowo nieinteresujące się sportem zaczynają malować twarze w barwy narodowe, to nawet polityka zdaje się rzeczą błahą, miałą i pustą jak wnętrze węgierskiego kościoła.







**Pierwszy** orgazm przeżył 14 czerwca, w sześćdziesiątej drugiej minucie meczu z Austrią, kiedy bramkę na jeden zero strzelił Ádám Szalai, a na trzy minuty przed końcem na dwa zero podwyższył Zoltán Stieber. Wówczas Attila wrzeszczał do mnie na placu Wolności, gdzie oglądaliśmy mecz na wielkim telebimie: „Mówiłem! Mówiłem, że im dokopiemy, pieprzonym kartoflarzom, jebanym labancom! Zemsta za kapitulację pod Vilagós!”. Ja też się cieszyłem, oczywiście, jak wszyscy na placu, sprawiedliwości historycznej stało się zadość, nawet poczułem się jak kuruc bijący labanców, przecież dokopać tym zadufanym w sobie Austriakom to jest właściwie powinność narodowa każdego Węgra.

**Jadłem** właśnie gorącego sandwicza, bo wcześniej skręcało mnie z głodu po tym, jak wypilem butelkę różowego wina, i nieco nie nadążałem za tym, co się dzieje na boisku, lecz entuzjam mnie ponosił tylko nieco mniej niż Attilę i wszystkich innych podskakujących na wielkim trawniku między pomnikiem okupacji Węgier przez III Rzeszę a pomnikiem Armii Czerwonej. Podobała mi się ta wspólnotowość, to zbiorowe, religijne niemal uniesienie, swoiste laickie sekciarstwo, ale jednocześnie przecież przyjazne.

To nie był stadion pełen nabuzowanych samców, nafaszerowanych testosteronem kiboli, fanatyków gotowych do urządzenia pogromu, tłum na placu Wolności był zupełnie inny niż wszystkie te tłumy, które zbierają się, aby dać wyraz oburzeniu przeciw władzy albo zmanifestować swoje poglądy polityczne. Było tam mnóstwo ładnych, roześmianych dziewczyn, były nawet pary z dziećmi, ojcowie z dorastającymi synami, wszyscy coś popijali, piwo bądź wino, jedli kanapki, można było w każdej chwili wstać i pójść do domu i nie oznaczałoby to wcale zdrady narodowej ani utraty wiary.

**Wtedy** Attila był niezwykle podniecony, a zupełnie oszalał tydzień później, gdy zremisowaliśmy z Portugalią, nie wiedząc jeszcze oczywiście, że Portugalia zdobędzie mistrzostwo Europy. To był jeden z najpiękniejszych dni nie tylko w życiu Attili, ale także w życiu

**„Mówiłem! Mówiłem,  
że im dokopiemy,  
pieprzonym kartoflarzom,  
jebanym labancom!  
Zemsta za kapitulację  
pod Vilagós!”**

wszystkich Węgrów, gdy najpierw Zoltán Gera w dziewiętnastej minucie wpakował gola do bramki Rui Patricia, a potem jeszcze Bálázs Dzsudzsák dwa razy, w czterdziestej siódmej oraz pięćdziesiątej piątej minucie, i nawet większego znaczenia nie miało to, że

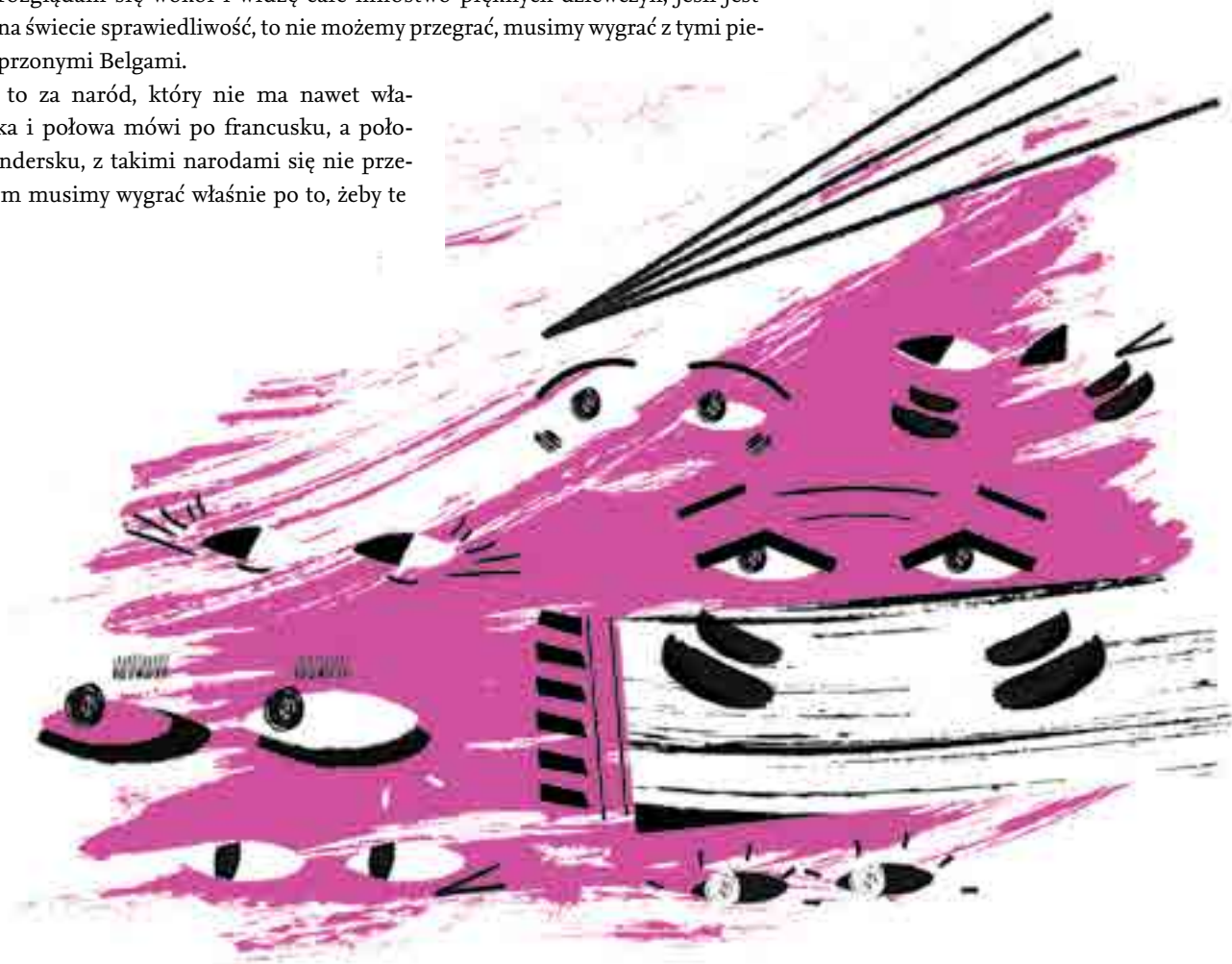
Portugalczyki też strzelili trzy bramki, w tym dwie ten cholerny Ronaldo. Znow siedzieliśmy na trawie placu Wolności, która jeszcze nigdy nie była tak miękka i wygodna, nigdy tak zielona i pachnąca, ja piłem różowe wino z butelki – przezornie wcześniej schłodziłem je w domu, dokładnie dwie butelki lekkiego zakręcanego, a nie korkowanego rosé, żeby nie męczyć się z korkociągami – Attila zaś piwo, ale więcej czasu niż pociągając z butelki, spędzał na wydobywaniu z siebie ekstatycznych okrzyków. Remis był sprawiedliwy, lecz dla nas był to sukces, w końcu to Portugalczyki byli niekwestionowanymi faworytami, my zaś mieliśmy tylko nadstawić im tyłki, które mieli traktować seryjnymi kopniakami, a jednak węgierski duch walki wziął górę, uznaliśmy więc ten wynik za wielkie zwycięstwo. Cóż to była za radość na placu Wolności, niektórzy nawet starali się bratać z grupką portugalskich kibiców, nie wiadomo skąd tam przybyłych, a szczególnie z portugalskimi kibickami, śniadymi, o gęstych, ciemnych włosach, ale nieco zbyt pulchnymi i mającymi zbyt duże – przynajmniej jak na mój gust – pupy, w czasie całego meczu wciąż śpiewały piękne piosenki, nie miałem pojęcia o czym, ale na pewno nie było to fado, a w brzmieniu ich głosów też nie dało się wyczuć smutku saudade, lecz raczej zabójczy witalizm.

No a później była czarna niedziela w Tuluzie, 26 czerwca, coś jak rok 1526 pod Mohaczem, straszliwa klęska cztery zero z Belgią, mocny kandydat do panteonu największych węgierskich koszmarów. Takie upokorzenie najgorsze jest wtedy, gdy niesie cię fala wiary i entuzjazmu, gdy wcześniej wygrywałeś albo przynajmniej zwycięsko remisowałeś, gdy czujesz, że jesteś niemal niezniszczalny, wkraczasz na ring przy wtórze okrzyków uwielbienia najpiękniejszych kobiet świata, twoja szeroka, naoliwiona klatka piersiowa lśni jak najpotężniejsza tarcza, twoje dłonie, gdyby nie były w rękawicach, łamałyby podkowy i wrywały wrogom głowy z karków. Jesteś w zasadzie greckim bogiem, który na chwilę zszedł z Olimpu, a po kilku minutach leżysz znokautowany przez jakiegoś cherlawego wymoczką.

**Wszyscy** wtedy czuli, że największy sukces chyba od czasów pamiętnego sześć do trzech z Anglią jest na wyciągnięcie ręki, że mało kto może nas powstrzymać, a na pewno nie Belgia, a tu dziesiąta minuta, tracimy pierwszą bramkę, ale nie tracimy nadziei, jeszcze osiemdziesiąt minut przeciecz, mamy Gere, Dzsudzśaka, Lovrencsicsa, Szalaiego, może wejdzie Nikolić i coś sprytnie strzeli, to nie jest wielki piłkarz, ale wielki cwaniak, umie się znaleźć w takiej sytuacji, że wystarczy dostawić nogę i bramka gotowa. Pijemy z Attilą wino, by wzburzyć krew, pijemy prosto z butelki, pijemy i wierzymy, bo alkohol zawsze wzmacnia wiarę, lecz czas mija i nie wygląda na to, że los się nagle odmieni. W przerwie wszyscy lecą do toalety, po alkohol, po jedzenie, cały plac Wolności gotuje się, wrze, buzuje, rozglądam się wokół i widzę całe mnóstwo pięknych dziewczyn, jeśli jest na świecie sprawiedliwość, to nie możemy przegrać, musimy wygrać z tymi pieprzonymi Belgami.

Zresztą co to za naród, który nie ma nawet własnego języka i połowa mówi po francusku, a połowa po holendersku, z takimi narodami się nie przegrywa. Zatem musimy wygrać właśnie po to, żeby te

**„Galia est omnis divisa  
in partes tres, quarum  
unam incolunt Belgae,  
aliam Aquitani, tertiam  
qui ipsorum lingua Celtae”**



przepiękne Węgierki mogły się cieszyć, śpiewać, tańczyć, i żeby były skłonne złożyć swoje ciała na ołtarzu narodowego zwycięstwa, bo w kibicowskim uniesieniu nagle i zawstydzająco zapominam o Ágnes, ale potem, niestety, nadchodzi siedemdziesiąta ósma minuta i zniemaczka jest dwa zero dla Belgów, i zanim zdążamy ochłoniąć, zanim wybrzmia najgorsze błuzgi istniejące w języku węgierskim, robi się trzy zero, dokładnie minutę później. Belgowie bili w nas jak w zamroczonego boksera chwiejącego się na miękkich nogach, opartego o liny ringu, pragnącego już tylko ostatniego gongu, by zejść ze sceny, na której przeżył największe upokorzenie swojej kariery. Zejść z pochyloną głową, pójść do szatni i tam się powiesić albo wyjść na ulicę i rzucić się pod ciężarówkę, albo przynajmniej wyjechać z kraju, osiąść tam, gdzie nie dochodzą sygnały telefonów ani zasięg Internetu, i pozwolić światu zapomnieć o sobie, gdy już minutę po końcu regulaminowego czasu pada czwarta bramka dla Belgów – prawdziwy piłkarski Mohacz, klęska, która będzie ciągnęła się za nami przez lata. Tak przynajmniej uważa Attila, że wznieśliśmy się na wyżyny po to tylko, by spaść stamtąd z hukiem, zupełnie połamani, że w pewnym sensie Opatrzność, Los, Fatum, Klątwa, jak zwał, tak zwał, w każdym razie jakaś siła wyższa, zawodowo zajmująca się gnębieniem narodu węgierskiego, zaplanowała sobie, że najpierw jako przynętę da nam zwycięstwo z Austrią oraz zwycięski remis z Portugalią, a potem radośnie wdepcze nas w ziemię z pomocą Belgów, specjalnie właśnie Belgów, czyli przedstawicieli narodu, który po prawdzie nie istnieje, składającego się z Flamandów i Walonów, a nie z jakichś bajkowych Belgów, na dodatek państwowość belgijska ma raptem niecałe dwieście lat, przy ponadtysiącletniej historii narodu węgierskiego. Kiedy książę Árpád wkraczał ze swoimi wojownikami na Nizinę Panońską, nikomu na świecie nie śniło się nawet istnienie Belgów.

– Ale przecież Belgowie występują już u Cezara w *Wojnie galijskiej*! – powiedziałem wzburzony, gdy człapałiśmy zgarbieni, opuszczając przygnębiająco cichy plac Wolności. – To leci tak: „Galia est omnis divisa in partes tres, quarum unam incolunt Belgae, aliam Aquitanis, tertiam qui ipsorum lingua Celtae”! „Belgae”, czyli Belgowie! I dalej szło: „Gallos ab aquitanis Garumna flumen, a Belgis Matrona et Sequana dividit!”. Co znaczy: „Galia jako całość dzieli się na trzy części. Jedną z nich zamieszkują Belgowie, drugą Akwitanowie, a trzecią te plemiona, które we własnym języku noszą nazwę Celtów, w naszym Gallów”.

– Daj spokój! – powiedział Attila, ale zauważyłem, że się spieszył. – „Gallów odziela od Akwitanów rzeka Garonna, a od Belgów Matrona i Sekwana”. Tak stoi u Juliusza Cezara, napisał o Belgach na pięćdziesiąt parę lat przed Chrystusem, gdy nikt w całym ówczesnym świecie nie słyszał jeszcze o żadnych Węgrach!



Nie wracaliśmy więcej do tematu Belgów, Belgii i koszmarnej klęski cztery do zera, tego dnia skończyły się nasze wielkie marzenia o historycznym sukcesie na mistrzostwach Europy we Francji. Jeśli ktoś na własne oczy widział ludzi opuszczających plac Wolności po zakończeniu tego meczu, zrozumie, co to znaczy prawdziwa, dojmująca, niewymazywalna z pamięci masakra.

**Dłatego** Attila nieustannie, szczególnie w chwilach wielkiego smutku po klęskach piłkarskich, czytał starą książkę w brązowej, a raczej koloru rzadkiego gówna okładce *Niezapomniane dziewięćdziesiąt minut*, zbierając opisy czterystu meczów węgierskiej reprezentacji, od pierwszego oficjalnego spotkania w październiku 1902 roku z Austrią, niestety, przegranego pięć do zera, po lata sześćdziesiąte. To były złe miłego początku, ale Węgry już miały osobną reprezentację w ramach monarchii, co świadczy o tym, że jednak Austro-Węgry były dobre, bo przecież to najlepszy czas w naszej historii od czasów króla Macieja Korwina. Zatem pierwszy mecz był klęską, ale potem już biliśmy wszystkich: Austriaków, Niemców, Czechów, Jugoli, Polaków – co prawda w 1907 roku przegraliśmy z Anglią siedem zero, ale przecież nie ten mecz się pamięta, ale legendarne sześć do trzech na Wembley: Hidegkuti trzy bramki, Puskás dwie, Kocsis jedna, sto pięć tysięcy widzów na stadionie, a teraz? Ilu kibiców przychodzi na nasze stadiony? Nie mówię nawet o lidze, bo to żalosne, parę tysięcy na Fradi ewentualnie, poza tym prawdziwa rozpacz, a w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych – cały naród!

– Węgry–Austria, szesnastego października tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego, sześć do jednego, bramki: Czibor dwie, po jednej Tichy, Kocsis, Tóth, Puskás, sto cztery tysiące widzów w Budapeszcie! – woła Attila, bo nauczył się tej książki na pamięć, tak jak w szkole trzeba było nauczyć się tabliczki mnożenia i wierszy Petőfięgo.

– Ty to masz łeb! – podlizuję mu się i staram się uśmiechnąć nie tylko najszerzej, jak potrafię, ale tak, aby ten uśmiech wyglądał naprawdę szczerze.

**Podlizuję** się Attili oczywiście z premedytacją, bo wiem, że lubi się napawać swoją wiedzą o historii Węgier, a przecież wiedza o historii węgierskiej piłki nożnej jest równie ważna jak wiedza o dynastii Arpadów, wojnach z Turcją, powstaniach przeciw Habsburgom, kurucach i labancach, rewolucji 1848 roku, czasach dualizmu, rządach admirała Horthy'ego, nawet ważniejsza od wiedzy o tym, że w 1929 roku niejaka Simon Böske została nie tylko Miss Hungary, ale także Miss Europa, zaś w 1936 roku, gdy coraz bliżej było do wojny, mającej w boskich zamierzeniach oddać sprawiedliwość Węgom, to znaczy zwrócić nam Siedmiogród, Słowację, Wojwodinę, Zakarpacie, wówczas Miss Hungary została dziewiętnastoletnia Sári Gábor, którą świat poznał później jako aktorkę o pseudonimie Zsa Zsa Gabor, właścicielkę dziewięciu mężów, mającą umrzeć prawie dokładnie pół roku po naszym wspaniałym remisie z Portugalią i straszliwej klęsce z Belgią – to wszystko wiedział Attila. Wiedzę o historii i kulturze Węgier wyssał nie tyle może z mlekiem matki, ile nabył naturalnie, jak każdy Węgier – oddychając. Bo tutaj, na Wielkiej Nizinie, tutaj, w Basenie Karpackim, wystarczy po prostu żyć i oddychać, aby wciągać w siebie całą wiedzę o Węgrzech od momentu, gdy książę Árpád wkroczył po raz pierwszy na nasze odwieczne ziemie i powiedział do swoich wodzów: „Tu będziemy żyli, płodzili dzieci, pędzili konie i hodowali bydło”. A wodzowie odpowiedzieli: „Stąd będziemy wyruszać na łupieżcze wyprawy i siać grozę na zachodnich ziemiach, a z czasem nawet nauczymy się grać w piłkę nożną i staniemy się pogromcami Anglików”.

**„Stąd będziemy wyruszać na łupieżcze wyprawy i siać grozę na zachodnich ziemiach, a z czasem nawet nauczymy się grać w piłkę nożną i staniemy się pogromcami Anglików”.**

Fragment powieści *Sonnenberg*, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Czarne w kwietniu 2018 roku.



# ZA ALPAMI

layout  
Magdalena Zawiślak

ilustracje  
Sonja Marczewski

**O pewnym Niemcu, który podążał za epoką (fragment)**

**David Zábranský**  
przełożył Tomasz Grabiński

7

Dwa lata po ślubie Maria wpadła na pomysł, żeby zgłosić się na misję Lekarzy bez Granic.

Była to dobra inicjatywa, powszechnie uznawana. Co więcej, informacja o współpracy z Lekarzami bez Granic stanowiła istotną pozycję w życiorysie, czego nie ukrywał żaden z doktorów. Gdyby ktoś przyszedł do Marii i stwierdził, że w związku z jej decyzją o wyjeździe i chęci pomocy odkrył prawdziwe, egoistyczne tło moralności człowieka, à la Nietzsche, ona tylko popukałaby się z niedowierzaniem w czoło. Lekarze to szczególny gatunek człowieka: otóż rzeczywiście ratują oni życie. Przeważnie są to bardzo zdolni ludzie. Jakikolwiek posądzenie o obłudę, które być może całkiem załamałoby małą Frauke z kulturoznawstwa, od lekarza czy lekarki odbiłoby się jak ziarnko grochu. Dołączenie na chwilę do Lekarzy bez Granic nie było w efekcie ani trochę trudniejsze niż na przykład kupienie sobie w kawiarni kawy fair trade.

\*

Poważniejszym problemem było to, że Mathias się nie zgodził. On też miał już za sobą pierwszą specjalizację, teraz przygotowywał się do drugiej, a jego priorytetem był wyjazd z Erlangen do jakiegoś większego miasta. Marzył o Hamburgu albo Lubece. Lubił wietrzny, nadmorski klimat północnych Niemiec, zawsze po letnim urlopie miał dość południowego słońca na kolejny rok. Powoli chciał osadzić Marię na jej późniejszym stałym miejscu, tam, gdzie urodzi dzieci i będzie troszczyć się o pieluchy i dziecięce łóżeczka.

Maria chciała jednak wyjechać na misję Lekarzy bez Granic, poza tym podobało jej się w Norymberdze, gdzie ciągle mieszkali. Przeprowadzka gdzieś na północ była jej nie na rękę. Z Norymbergi miała o wiele bliżej do rodziców, zaledwie dwie i pół godziny autem, i regularnie ich odwiedzała, zawsze znalazła trochę czasu. Mathias jeździł z nią w miarę często, dogadywał się dość dobrze z teściami.

W rezultacie był to ich pierwszy drobny konflikt. Maria upierała się przy swoim, po niedługich dyskusjach właściwie postawiła go przed faktem dokonanym: zgłasza się na misję i wyjeżdża w połowie września. Rozmowę w assessment center Lekarzy bez Granic przeszła bez problemów i we wrześniu rzeczywiście wyjechała na trzy miesiące do Czadu. Jej misją była opieka pediatryczna i położnicza, częściowo też brała udział w programie walki z niedożywieniem. Mathias ustąpił, przestał robić z tego wielkie halo. Świat przecież nie zawalił się w trzy miesiące. Mogli rozmawiać przez Skype'a, pisali maile. Na Boże Narodzenie miała być w domu.

\*

Gdzieś w połowie listopada powiedziała jednak Mathiasowi przez Skype'a, że zostanie w Czadzie aż do końca stycznia. Miała ku temu dobre powody. Była tam potrzebna. Podobno nie chodziło o nic innego.

– Przyjadę do ciebie – zaproponował.

Był to zwariowany pomysł, na dodatek sprzeczny z kodeksem organizacji, którego Maria powinna przestrzegać. Chad to nie było miejsce na spędzanie świąt. Chciała jednak udowodnić Mathiasowi, że nie musi być zazdrosny ani mieć jakichś innych obaw. Na dodatek wydawało jej się fair, że tym razem to ona ustąpi.

Ostatecznie ustalili, że potajemnie spotkają się w Ndżamenie, stolicy Czadu. Znaleźli odpowiedni termin. Mathias miał zostać cztery dni, ona będzie mogła go odwiedzić na dwa.

\*

Od razu kupił bilet na lot Air France z Frankfurtu do Ndżameny, z przesiadką w Paryżu. Zarezerwował sobie online hotel Mercure Le Chari. Zaskoczyło go, jak luksusowo wygląda na zdjęciach, jednak więcej już się nie interesował stolicą Czadu i jej hotelami. Jechał do Afryki dla Marii, niczego poza tym właściwie nie widział i nie chciał widzieć. Gdy poznali się z Marią, być może nie była to do końca prawda, że świat się rozstał, o czym mówił Mathias, kiedy wciąż jeszcze był pod wpływem narkotyków z poprzedniego wieczora. Ale tym razem to była prawda, tym razem świat wokół Marii – a przynajmniej jeden kontynent – rzeczywiście się rozstał. Na dodatek Afryka właściwie ułatwiała to Mathiasowi, nie był nią w ogóle zainteresowany, chciał tylko przeżyć ten pobyt w zdrowiu. Reszta jego misji była jasna: zamknąć się w pokoju hotelowym i rozkoszować bliskością żony.

Maria już dawno zapewniła sobie transport z miasteczka Am Timan w południowo-wschodnim Czadzie, gdzie pracowała. Do Ndżameny było ponad siedemset kilometrów, jedenaście godzin drogi, o ile wszystko pójdzie dobrze. Było to bardzo skomplikowane i wyczerpujące, nie istniało jednak inne rozwiązanie. Mathias nie mógł sam podróżować po Czadzie. Kraj właśnie toczył wojnę z sąsiednim Sudanem i dla kogoś, kto nie miał żadnych doświadczeń w Afryce subsaharyjskiej, a na dodatek, co jeszcze ważniejsze, nie mógł nawet skorzystać z ochrony i know-how dużej organizacji międzynarodowej, wizyta w Czadzie ograniczała się właściwie do bezpośredniego sąsiedztwa jedyne go lotniska międzynarodowego w kraju.

\*

Osiemnastego grudnia 2007 roku w kurtce zimowej wsiadł do samolotu we Frankfurcie i po dziesięciu godzinach wylądował w Ndżamenie, gdzie było ponad trzydzieści stopni i żadnej chmurki na niebie.

Jedynie, co go interesowało w tej chwili, to najkrótsza droga do hotelu. Nigdy nie był w Afryce i nigdy o tym nie myślał. Czarny Kontynent oznaczał dla niego słonie i safari, epidemie, nagich dzikusów, kolczyki i drewniane ozdoby, plus, jako wisienka na torcie, tych biegaczy długodystansowych, którzy wygrywali maratony w całych Niemczech. Mathias zawsze miał wrażenie, że przybiegają po pieniądze, a potem znów pędzą gdzieś dalej. To był szczyt inteligencji, który był skłonny przyznać Afryce i Afrykanom: byli szybcy i wiedzieli, gdzie wpaść po pieniądze i jak znów błyskawicznie zniknąć bez słowa.

\*

Hotel wyglądał jeszcze lepiej niż na zdjęciach. Gdy tylko przeszedł przez drzwi obrotowe, klimatyzacja przyjemnie go odświeżyła. W lobby wisiały na ścianach typowe europejskie obrazy w europejskich ramach i w stłumionych kolorach. Pośrodku każdego z nich ktoś powiesił na płótnie afrykańską maskę. I podobne wrażenie sprawiał cały hotel: europejskich ram dla czegoś, co udało się oswoić na tej małej przestrzeni.

Razem z kluczem dostał też dyskretną ofertę:

– Jeśli monsieur życzyłby sobie towarzystwa, proszę śmiało zwrócić się z tym do mnie.

Mathias uznał to za dobry żart. Zarówno kolonialny ton recepcjonisty, frazes, o którym nie pomyślałby, że gdzieś jeszcze można go usłyszeć, ale przede wszystkim wizja, że miałby sobie zamówić jakąś prostytutkę z Czadu lub Kamerunu. Brzmiało to jak z innej planety, coś całkiem nierealnego. Nie tylko z powodu epidemii HIV, nie tylko z powodu setki innych epidemii. Po prostu, tak w ogóle.

– Nie, dziękuję, jest pan bardzo miły – odparł i wziął od recepcjonisty klucz elektroniczny.

\*

Pokój był już trochę gorszy, prowincjonalny. Przetestował podwójne łóżko. Czekąca go noc w samotności. Maria miała przyjechać następnego dnia, późnym popołudniem.

Aż do wieczora nie wyszedł z hotelu. Miał do dyspozycji ogród, basen, restaurację i Internet. Gdyby ktoś go spytał, czy czegoś jeszcze sobie życzy, odpowiedziałby

zgodnie z prawdą, że niczego. Nie byłaby to tylko grzecznościowa formułka. Po prostu miał wszystko, czego chciał i potrzebował. Nie myślał o świecie na zewnątrz, nic o nim nie wiedział. Wysłał kolegom z kliniki parę zdjęć: pokój, lobby, restauracja. Sfotografował się nad basenem i wstawił zdjęcie na Facebooka. Miał konto już ze dwa lata, ale rzadko tam coś wrzucał. Jeśli już, to się chwalił, ale nie jakoś konwulsyjnie. Jego życie wyglądało dobrze również w rzeczywistości. Facebook stanowił tylko jego przybliżone odbicie, w istocie zapis tego, co było w nim raczej mniej interesujące.

Większość czasu spędził ostatecznie nad basenem, pracując. Analizował artykuł ze swojej dziedziny w najnowszym numerze czasopisma „The Lancet”.

\*

Jeśli chodzi o kuchnię, dopiero przy kolacji dotarło do niego, jakie ma szczęście, że Maria zdecydowała się na byłą francuską kolonię, a on sam – na hotel należący do macierzystej spółki AccorHotels. Z jedzeniem poza domem miał zazwyczaj problemy. Z powodu diety zamawiał właściwie tylko duszone lub smażone warzywa. W jego hotelu były na szczęście tak na mniej więcej trzy i pół gwiazdki z pięciu, jak na Czad bardzo dobre. Mathias powiedział to nawet kelnerowi, który zabrał pusty talerz. Rozmawiał z nim po angielsku, delektując się zarazem poczuciem, że on sam jest Niemcem, a nie Francuzem, w związku z czym nie ma krwi na rękach, kolonialnej ani żadnej innej.

Nie było jeszcze ósmej wieczorem, zamówił małe stella artois. Nie miał pojęcia, czy na zewnątrz, poza hotelem, pije się alkohol czy też jest to z jakiegoś powodu zakazane. Kraj muzułmański? Zdawało mu się, że po drodze z lotniska mijają meczet. Głowy by jednak za to nie dał.

Kiedy dopił piwo, sprawdził na telefonie prywatną pocztę i zajrzał na Facebooka. Miał tam ponad sześciuset znajomych i jego zdjęcia znad basenu w ciągu dwóch godzin od opublikowania zebrały dwadzieścia pięć lajków. Jeden z nich był od Marii, to zawsze sprawdzał najpierw.

Lajki były jednym ze sposobów, jak być w kontakcie i jak wyrażać sobie nawzajem miłość. Wcale nie chodziło o to, czy Marii „podoba się” coś z tego, co Mathias wrzucił na Facebooka, lajkowali sobie nawzajem po prostu wszystko. Między nimi bardziej niż o lajk chodziło o zameldowanie się, jak w wojsku, kiedy podczas zbiórki po wyczytaniu nazwiska odpowiada się: „Jestem!”. Na dodatek teraz ten efekt był wzmocniony przez fakt, że jej lajk dotarł gdzieś spoza ścian hotelu, z południowo-wschodniej części tego samego kraju. Był jak sygnał dochodzący z kosmosu czy z głębin oceanu, ale z tego samego kosmosu i z tego samego oceanu; stłumiony, trochę zmieniony, w istocie jednak ciągle czytelny i jasny: Żyję i kocham cię!

Pomyślał, że wypije jeszcze jedno piwo. W restauracji było mniej więcej piętnastu gości. Mathias domyślał się, że większość z nich to pracownicy różnych organizacji pozarządowych i ludzie



z ONZ, biali i Afrykanie. Żadnych par, ani jednego dziecka. Tylko mężczyźni i kobiety, soliści, którzy łączą siły dla ratowania tego od lat ciężko doświadczanego kraju.

Obejrzał się i dał znak kelnerowi, zamówił. Był to Afrykanin, podobnie jak Afrykaninem był recepcjonista w hotelu. Mathiasowi wydawało się naturalne, że piwo przynosi mu Afrykanin, był przecież w Afryce. Jednocześnie czułby się chyba trochę lepiej, jeśli mógłby złożyć zamówienie u jakiejś monachijskiej wieśniaczki. Byłoby to bardziej w porządku, przyjemniejsze dla wszystkich. Zatrudnianie Murzynów na takich podrzędnych stanowiskach wydawało mu się zbędnym ryzykiem. Nie umiałby tego lepiej wytłumaczyć. Po prostu: to nie jest tego warte, zostawcie sobie Murzynów na stanowiskach prawników i lekarzy, uniknięcie niepotrzebnych kontrowersji.

Był znowu na Facebooku, kiedy pojawiła się przed nim szklanka. Drgnął na widok dłoni, która mu ją podała. Przyzwyczał się już do ręki kelnera, umięśnionej, męskiej.

– Dziękuję! – powiedział automatycznie.

Odłożył telefon i spojrzał, co się dzieje.

– Pani kolega już skończył, tak? – spytał. – Dziękuję raz jeszcze! I na zdrowie!

– Na zdrowie! – odparła kelnerka z uśmiechem.

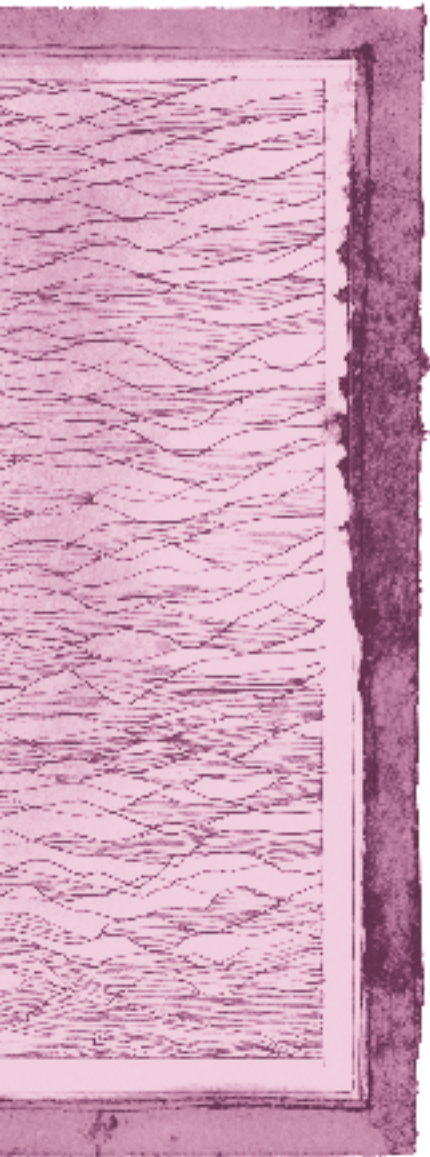
Miała na sobie tani kostiumik z identyfikatorem, nic specjalnego. Mathiasowi na sekundę pojawiło się w głowie wspomnienie krain retro w łazience w jego pokoju hotelowym. Miały udawać wyposażenie z początku ubiegłego wieku, choć hotel mógł powstać gdzieś w latach siedemdziesiątych. Ten jej strój sprawiał podobne wrażenie. Zmęczenia, rezygnacji. Odwoływał się do minionej sławy, która przyniosła temu krajowi tylko ból.

– Sylviane, tak? – powiedział, znów próbując przeczytać jej imię. Wzrok nieustannie uciekał mu od identyfikatora trochę wyżej, na gołą skórę na dekolcie.

Nie wiedział, gdzie ma łowić wzrokiem jej skórę, czy nad identyfikatorem, czy raczej na jej rękach, które skrzyżowała na piersi podczas konwersacji.

Mogła mieć ze dwadzieścia lat, nie umiał tego określić. Była szczupła, muskularna, mierzyła około metra siedemdziesięciu. Piersi – raczej nic specjalnego, jeśli chodzi o wielkość. Ogólnie jednak doskonała, większe piersi tylko by psuły całość.

Mathias odnosił wrażenie, że jej skóra opowiada mu ciemną sagę, bezkresny strumień zdań, przerywany zawsze tylko na sekundę kropkami jej śnieżnobiałych zębów. W zasadzie chodziło o jej karnację, a nie o figurę. Była o wiele ciemniejsza od Marii, jednocześnie jednak w bardzo tajemniczy sposób czystsza, gładsza i bardziej błyszcząca. Mathias był pewien, że w tej skórze, gdyby pozostała tak napięta i gdyby zachowała dokładnie ten sam kolor, równie dobrze wyglądałby jakikolwiek inny kształt, nawet klocek, przyszło





mu do głowy. Rezultat byłby prawdopodobnie również taki sam: ekstremalnie silne podniecenie. Takie, jakiego nie przeżył od czasu, kiedy jako osiemnastolatek wracał do Berlina po śmierci swojego ojca.

Podobnie jak wtedy, teraz także musiał pójść do toalety, gdzie potem w wyobraźni kochał się z Sylviane. Z jej skórą. Z czarną skórą. Albo może jeszcze z czymś, co stało ogólnie wyżej od czarnej skóry. Być może w rezultacie wcale nie chodziło o Sylviane, nie, naturalnie, że nie. Sam to podejrzewał, ale ejakulacja uwolniła go od najgorszego.

Nie dopił nawet piwa i bez jednego spojrzenia wrócił do pokoju.

\*

Następnego dnia przy śniadaniu nie dostrzegł już Sylviane, przy obiedzie też nie. Po południu położył się nad basenem i czekał na Marię. Pisali do siebie, wiedział, że póki co podróż przebiega dobrze: „Jeśli tak dalej pójdzie, to o piątą będę u ciebie w hotelu<3”.

Tak brzmiała jej wiadomość i tak było. Także pod tym względem byli do siebie bardzo podobni, można było na nich polegać, nawet w ekstremalnych czadzkich warunkach.

Ich miłość po przyjeździe Marii mogłaby niejednego rozczarować. Nie wyglądała tak namiętnie jak na Facebooku i w esemesach. Ich powitanie wcale nie odzwierciedlało tego, co musieli pokonać, żeby się spotkać, co ryzykowali, ile ich to kosztowało. Air France za bilet powrotny policzył sobie siedemset euro.

Ich powitanie rzeczywiście nie pasowało do tego wszystkiego. Jednocześnie był to jednak dokładnie ich styl. Byli tacy od początku i wcale to nie oznaczało, że się nie kochają. Mogli sprawiać wrażenie powściągliwych, wręcz odrętwiałych, jednocześnie ich miłość mogła być sto razy silniejsza niż u jakichś historycznych Greków. Mathias i Maria wierzyli raczej w zobowiązania i wolę niż w puste gesty. Miłość była dla nich dziełem człowieka, jednak nie tyle dziełem sztuki, jak to mogło być w przypadku południowych narodów, ile raczej osiągnięciem techniki. Móc polegać na sobie nawzajem, wspierać się, być wiernym. W to wierzyli oboje. Połączyć się i czerpać z tego siłę. Ich miłość nie była i nie miała być trudna. Miłości i nienawiści nie miała dzielić tylko cienka granica, takiej koncepcji w głębi duszy nie rozumieli. Sens ich miłości był jasny: z jej pomocą odsunąć z życia ciężar i nienawiść, by móc skupić się na pracy. Brzmi to ekstremalnie, niewielu by się pod tym podpisało. Ich dwoje jednak tak.

Funkcjonowanie takiego układu zaczynało się i kończyło na stworzeniu poczucia wzajemnej szczerości. Mathias wiedział o tym. Gdy tylko po przyjeździe Marii skończyli się kochać po raz pierwszy, opowiedział jej o swoim właściwie jedynym przeżyciu w Czadzie. Pominął tylko ten finał w toalecie.

– Nigdy nie przeczuwałem w sobie handlarza niewolnikami albo jakiegoś tyrana, ale chyba mam go w sobie. Naturalnie całkiem zahibernowanego i uspiętego – powiedział. – Myślę jednak, że to nie mogło być nic innego – mówił dalej. – Po prostu podniecała mnie ta wizja podległości, podrzędności, bycia wydanym na czyjąś pastwę... Brud, czarna skóra... Brzmi przerażająco, w życiu nie przyszłoby mi do głowy, że coś takiego ciągle istnieje gdzieś między nami, czy nawet w nas, we mnie, ale chyba tak... Na szczęście usunęliśmy to i pozbawiliśmy znaczenia. Ale nadal tam jest – powiedział i wskazał ręką gdzieś na swoje wnętrze.





Leżeli nadzy w łóżku. Klimatyzacja działała, w pokoju było przyjemne dwadzieścia stopni. Mathias ścisnął władczo piękne ramię Marii, po czym puścił je i pogłaskał. Uwielbiał jej skórę i powiedział jej to. Jednocześnie jednak trochę go zaniepokoiło, że przez te trzy miesiące delikatnie się postarzała. Nie wiedział, czy to tylko jego wrażenie, czy też fakt, ale po prostu wydawało mu się, że skóra Marii po trzech wyczerpujących miesiącach w Czadzie jest bardziej zmęczona, już nie taka jędrna. Dotyczyło to też twarzy i rąk. Jakby skóra Marii wykorzystała tę podróż do Afryki na to, by w wieku dwudziestu dziewięciu lat powiedzieć: dość. Jakby postanowiła, że zacznie więdnąć.

Maria tymczasem kontynuowała ich rozmowę o Afrykanach.

– Tutaj to widać wszędzie – powiedziała. – Niestety. Nie ma sposobu, by to zmienić. Są czarni, i już. Ich życie ma mniejszą wartość. Można to wykazać, zmierzyć. Zabrzmi to strasznie, ale tym, co ja robię tutaj, u nas zajmuje się weterynaria.

\*

Następnego dnia zabrała go do miasta. Skutki wojny były dobrze widoczne także podczas ich krótkiego spaceru po centrum. Ndżamena leży właściwie na granicy z Kamerunem, gdzie tysiące uchodźców wojennych z Czadu oraz Sudanu próbowało znaleźć schronienie. Do sąsiedniego kraju często uciekali właśnie przez Ndżamene.

– W Czadzie przed czterema laty zaczęto wydobywać ropę, czekały ich dobre czasy – tłumaczyła Maria. – Zamiast tego wszczęli kolejną wojnę domową.

Mathias starał się słuchać, ale nie był w stanie. Cała Ndżamena, ledwie wyszli z hotelu, była dla niego przesiąknięta seksualnością. Ciało, skóra, tkanki, ale też przemoc, podporządkowanie oraz historie wojenne, których się domyślał, a które z niezrozumiałych powodów stawały się dla Mathiasa opowieściami erotycznymi. Podniecały go niesprawiedliwości, które musiały się zdarzać miejscowym kobietom, nawet tym najmłodszym. Wojny prowadzi się o bogactwa, w przypadku Czadu chodzi zapewne o ropę, jak mu wyjaśniła Maria. Jednocześnie jednak zawsze są to też wojny z kobietą, przeciwko kobiecie, przeciwko kobiecości. I nagle dotarło do niego – a Maria i miejscowi? Jeśli kiedyś był o nią zazdrosny, kiedy myślał o jej pobycie w Czadzie, to zawsze chodziło mu przy tym o jakichś doktorów ze Szwecji, z Kanady, ze Stanów Zjednoczonych albo o jakiegoś Latynosa à la Fidel Castro. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że Maria mogłaby przecież przeżyć dokładnie to samo, czego on zaznał z Sylviane.

Ta wizja znów mocno go podnieciła. Teraz seksualność była naprawdę wszędzie. Ale zaciągnąć Marię gdzieś do toalety?

Szybko spojrział na nią. Akurat przechodzili obok postmodernistycznego wieżowca czadzkiego banku centralnego. Była to brutalistyczna, bardzo nieforemna budowla. Jakby architektura w Czadzie była też na poziomie weterynarii.

Zaciągnąć Marię gdzieś do toalety? Jej twarz wykluczała coś takiego. Maria miała w sobie porządek, jakąś przedwczesną dojrzałość, podobnie jak Mathias. Była schludna. Książki na stole zawsze układała w zwężający się stos. Przypominały potem wieżowiec Westend Gate we Frankfurcie. Maria





nie umiała ich porozrzucić po całym pokoju, jak to potrafiła mała Frauke. Nie umiała budować tak, jak zbudowano bank centralny Czadu.

Postanowił poczekać, aż będą z powrotem w hotelu.

\*

Rano 21 grudnia 2007 roku wyjechała do Am Timanu. Już o ósmej odebrał ją kierowca, zbiegiem okoliczności młody i krzepki Murzyn. Mathiasowi w Ndżamenie pozostawała do odlotu ponad doba.



layout  
Bruno Szenk  
ilustracje  
Kasia Kręcicka

## D ANIEL O DIJA

Przyjechaliśmy do najmniejszego miasta w kraju,  
gdzie tysiąc głów śniło swoje życie.  
Upał otwierał oślepiający dzień.  
Owady latały w powietrzu, skrząc się w słońcu.  
Ostrzyły szczękoczułki, żuwaczki i narządy kęsające.  
Na nas.

Musieliśmy wykąpać się po całonocnej trasie.  
Do rzeki jechaliśmy przez łąkę  
pożółkłą od słonecznego ataku.  
Dawno nie było deszczu.  
Sztynna trawa kaleczyła krowom wargi.  
Zeszły do wody obmyć pocięte dziąsła.  
Kąпалиśmy się w górnym biegu rzeki,  
by dobre samopoczucie leniwych zwierząt  
nie spłynęło nam w twarze.

Orzeźwiający objęcia wody zanurzały w sen  
śniony przed narodzinami. W brzuch matki.  
Krążyła w nas i wokół nas głęboka rozkosz.  
Od poczęcia... Od wieków...  
Śmierć zabiera nam wodę.  
Śmierć jest sucha.

Po kąpeli wróciliśmy do najmniejszego miasta w Europie.  
Rozłożyliśmy wóz, który przewoziliśmy w półciężarówce.  
Scena wielkości okna z zasłonami.  
Oprawa dla śpiewów aktorek.  
Najmniejsza scena z najmniejszych.  
Dlatego poza piosenką, będącą prologiem,  
cały spektakl graliśmy przed wozem, na ziemi.  
Ziemia była naszą sceną.  
Klepisko, polbruk, chodnik.  
W zależności od miejsca i miasta.

Tu było ściernisko.

Zaraz po obiedzie, w bezlitosnym słońcu,  
daliśmy występ dla dzieci. Bez historii. Jeden z wielu.  
Ale śmiech dzieci był piękny.  
Ich radość to policzek dla narzekających, że się narodzili.  
Ich śmiech to prezent przypominający, że warto żyć.

Dorośli chcieli, by dla nich zagrać późnym wieczorem.  
Przed remizą.  
Mieli dziewiętnastowieczny wóz strażacki z ręczną pompą.  
I mundury z czasów cara.  
Wygrywali krajowe konkursy na strój z zamierzczej epoki.

Choć słońce ginęło, by odżyć po drugiej stronie globu,  
owady nie umierały. Gorzej, budziły się do ruchu,  
który był w konflikcie z naszym rozumieniem życia.  
My jemy zwierzęta i rośliny, owady jedzą nas.  
Nie mam nic do latających chrząszczy, które chrupią liście drzew.  
Choć objają się o czoła, co nieprzyjemne.



I burczą przy uchu pomrukiem chitynowego koszmaru.  
Dla nich – rajskiego snu.  
Nie mam nic do dziennych motyli, które piją nektar kwiatów,  
i ciem żyjących z wilgotnej i ciepłej nocy. Nigdy nie miałem.

Ale te pieprzone komary!

Siadały na nas jak gęsta chmura sadzy.  
Robiliśmy fikołki i gwiazdy, salta w powietrzu, tańczyliśmy,  
śpiewaliśmy średniowieczną polifonią z rynku wziętą.  
I bazaru.  
Komary lepiły się do naszego potu.  
Nasz ruch ich nie odstraszał. Przeciwnie,  
podniecał do jeszcze większego krwio pijstwa.  
Upierdliwe wampiry w liczbie nieskończonej.

A że był wieczór schowanego słońca,  
rozstawiliśmy lampy na stojakach.  
Sztuczne światło raziło nam oczy,  
by widownia widziała wszystko z nas.  
My z widowni nic.  
Musiąłem wychylić głowę poza okrąg  
oślepiających plam, by zobaczyć.

Twarze!

Prawdziwe. Z mięsa wycięte. Mięsem nabrzmiąte.  
Błyszczące potem. Zaczerwienione od podskórnej krwi,  
toczącej przemiany jędrnej młodości w suchą starość.  
Żadne maski produkowane kosmetykami ze zwierząt.  
Depilowane, golone i pucowane przed lustrem,  
by bez wstydu pokazać innym siebie tak naprawdę ukrytego.

A tu?

Twarze odkryte.

Wykoślawione upływem czasu, który rzeźbił zmarszczki  
prawdy, że nic nie jest wieczne. A tym bardziej człowiek...  
Wzajemnymi koligacjami od wieków zniekształcone.  
We wspólnym barfogu spłodzone. Zbyt wyciągnięte i rozciągnięte,  
oprószone wypustkami skórnych narośli, kreślone głębokimi  
cieniami proporcji zachwianych przez kazirodztwo.  
Nosy duże i szerokie, zakrzywione i zbyt długie.  
Uzębienie przetrzebione, lecz w uśmiechu takie szczere,  
że grać się chciało ten spektakl średniowieczny  
podwójnie żywiej, mocniej i weselej!  
Ich oczy nie ukrywały niczego, błyszcząły zabawą i śmiechem.

Miałem rolę ogniopluja.

Nabierałem do ust nafty i przystawiałem  
pochodnię łopoczącą ogniem.

Plułem!

Wtedy ogień smokiem zionął.

Pióropuszem krwistych barw.

Wachlarz niszczącej energii osmalał moją twarz.


Agresywny i zachłanny spalał przestrzeń, z której żył.

Płonące krople rozpylane w powietrzu  
osiadały na ściernisku, chrupiąc kikuty ściętego zboża.

Wokół nas jak solone paluszki płonęła słoma  
i musieliśmy ją przydeptywać, by nie rozniosła się pożoga.

Komary cięły. Twarze śmiały się. Ukrop zalewał mózgi.  
Przed oczami krążyły plamy po orbitach radosnego szaleństwa.  
Cofnęliśmy się w czasie akurat w tym miejscu,  
choć przecież kuglarzy graliśmy na zamkach  
i przed supermarketami, na starych rynkach  
i na przyjęciach dla rozwyrzonych dzieci bogaczy.  
Ale akurat tu stała się rzecz niebываła.  
Magiczny moment objawienia,  
że świat trwa tylko w tym miejscu,  
skupiony na naszym występie,  
na skaczącej ósemce – czwórce młodych kobiet i czwórce młodych mężczyzn.  
Podrygujących radośnie jak przed wiekami.

D ANI EL O DI J A



A to minstrel próbował odzyskać ukochaną z rąk rycerza,  
stając z mandoliną przeciwko drewnianemu mieczowi.  
A to księżniczka wzbraniała się przed złym władcą  
i okładała go bokserскими rękawicami.  
Smok na szczudłach z wełnianym fłbem  
i kartonowym grzebieniem malowanym na żółto  
pożerał kłami wyciętymi z plastikowych butelek  
biały balon owcy, pękający przy ugryzieniu.  
Kopaliśmy się w tyłki, przeskakiwaliśmy jeden przez drugiego,  
dziewczyny kłóciły się, a później śpiewały frywolne piosenki  
na cztery głosy i cztery otwarte gardła... Czystymi głosami.  
Jak ptaki.

Widownia rechotała ze szczerego zachwytu.  
Otwarte gardła pokazywały czerwień przełyku  
i czerną połyku.  
Odkrywały się tunele pochłaniające tę chwilę,  
połykające ten moment.  
Trwał czas zabawy, wesołego dokazywania,  
odzyskania dziecięcej beztroski.  
Zataczaliśmy koła czasu,  
zanurzając się w krztuszeniu wieków średnich,  
by wynurzyć się i zachłusnąć współczesnym parsaniem.  
Ktoś pierdnął, ktoś beknął, smarknął, splunął,  
lecz wszyscy falowali wspólnym śmiechem.  
Jednoczesnym przeżywaniem dowcipu,  
który rozjaśniał mroki umysłów zasklepionych  
w leniwej nieccie najmniejszego miasta świata.

Zaspokajaliśmy niewyszukaną radość z tego,  
że razem można tak identycznie rozumieć dowcip,  
jakim jest życie.

Upajaliśmy się poszerzeniem tej chwili.

Sztuczne, silne światło reflektorów,  
kurz z klepiska, po którym skakaliśmy,  
oślepiały, zatykały, zabierały oddech,  
wirowały między nozdrzami a przełykami,  
tworzyły nieokreślone kształty,  
rozbijające się o granice oka i oczodołów.  
Żonglerka piasku i blasku kotłowała w głowach  
i rzeczywistość wymykała się zrozumieniu.  
Nasze cienie tonęły w chmurze wilgotnego pyłu.  
Wilgotnego od parującego potu.  
My zaś staliśmy się cieniami. I otaczała nas chmura.  
W tej chmurze światła i kurzu owady odtwarzały  
swoją makabryczną partyturę. Linie ich lotu  
odbijały się na mojej siatkówce czarnymi nitkami,  
które zostawiały za sobą zanikający ogon  
brunatnej poświaty – powietrznej drogi, jaką przebyły.



Ogarnął nas amok.  
Jak odgrywanie snu, którym się staliśmy.  
Nie, nie byliśmy rekwizytami. Uczestnikami,  
ale tylko pozornie wpływającymi na rozwój wypadków.  
Bo choć wiedzieliśmy, jak ma przebiegać spektakl,  
który tyle razy graliśmy, coś unosiło nas  
poza role wyznaczone przez scenariusz.  
Byliśmy postaciami sztuki teatralnej,  
wciąż jednak nie gubiąc siebie.  
Ten splot dwóch osobowości w jednym ciele,  
spotęgowany przez osiem osób,  
bo – jak wspominałem – była nas ósemka,  
wyrzucał nas ponad rzeczywistość,  
jednocześnie bardzo silnie w niej zakotwicząc.  
Ciekawa współzależność tego, kim byliśmy na co dzień,  
i kim stawaliśmy się tego wieczoru.

Kim?

Może sobą rozgrywanym na klepisku  
najmniejszego miasta świata,  
dusznym wieczorem w kręgu twarzy,  
które dobrze nam życzyły,  
i obsypani insektami,  
które życzyły nam źle?  
Tak. Chyba tym...

Usłyszałem dziwny dźwięk.  
Coś jak smaganie kałuży cienką gałęzią.  
Plaskanie mokre i miękkie. Mięiste i tępe.  
Cmokanie w skórę. Pocałunek?  
Uderzenie w mlaskające usta?  
Klepanie otwartą ręką o ciało?  
Plaskanie w pośladki?  
Wyjrzałem poza krąg światła, w którym tkwiliśmy  
rolami średniowiecznych błaznów.  
I zobaczyłem... Niby nic odkrywczego, a jednak...

Jakieś pięćset osób oglądających nasze kuglarstwo  
biło się po plecach i ramionach brzoźowymi wtkami.  
Chlastało rytmicznie i systematycznie,  
by przegonić albo zatłuc kąsające utrapienie,  
które nie tylko od tyłu atakowało, ale i od przodu.  
Dlatego mężczyźni chłostali swoje owłosione brzuchy,  
a kobiety miękkie biusty zebrane w przepecone staniki.  
Powtarzalność tego samobiczowania wyznaczała rytm,  
w jakim żyło to zbiorowe mięso.

Kwaśna woń parujących ciał gęstniała w obłok  
będący esencją oddechu materialnych tkanek,  
brutalnego masażu obnażonych mięśni.  
Poczułem ich zwartą siłę, zapręgniętą w odprawianie  
jakiegoś pierwotnego rytuału, choć była to wyłącznie obrona  
przed plagą komarów i muszek wgryzających się w skórę.  
Wysysających krew i wtłaczających truciznę z innego świata,  
z planety Insecta, w organizmy ludzkie,  
by rozmnożyć organizmy nieludzkie.  
Bo przetrwanie gatunku wygrywa wszelki rachunek świata...

D ANI EL

O DI J A



Nagle odezwała się strażacka syrena.  
Żarty, pomyślałem, zionąc ogniem.  
Przyjaciele aktorzy deptali płonące wokół mnie ściernisko,  
które wciąż zapalało się od mojego smoczego oddechu.  
Jaja sobie robią tą syreną.  
Podbijają dramaturgię widowiska.  
Wioskowi spryciarze!  
Ale nie. Coś gdzieś płonęło. To chyba nie żarty.  
Z drugich rzędów wstali mężczyźni,  
okazali się ukrytymi dotąd strażakami  
i ruszyli do akcji.  
Pole prawdopodobnie, las albo gospodarstwo.

Wtedy zachłysnąłem się naftą.  
Nawet o tym nie wiedząc.  
Chwila nieuwagi i zamiast wypluć, przełknąłem  
ogień.  
Pierwsze dwie minuty nie czułem nic  
poza rozgrzanym przełykiem, który zaczął zionąć pożogą.

Ale coś mnie pchnęło, coś, co nie istniało  
albo tkwiło wyłącznie we mnie.  
Zacząłem iść środkiem między roześmianymi twarzami,  
bezwiednie, w transie spowodowanym szokiem organizmu,  
który zatruiła gwałtowność żywiołu. I zacząłem się bać.  
Ogarnęła mnie samotność tym straszniejsza,  
że w błyszczących oczach i uchachanych ustach,  
które otaczały mnie jak w pogłębiającym się koszmarze,  
dostrzegłem niezrozumienie.  
Oni mój strach brali za udawanie!  
Sądziли, że wciąż gram.  
Tak jak odgrywa się kłamstwo przed okłamywanym.

Kuglarze!  
Ze wszystkiego żartują.  
A przede wszystkim z siebie samych.  
Powagę obracają w zniewagę.  
Tragedię w komedię.  
Nikt ich nie traktuje poważnie.  
Skoro oni nikogo nie traktują poważnie.  
Wybałuszone oczy to nie wołanie o pomoc,  
lecz udawanie wołania o pomoc.

Cokolwiek sobie myślały te roześmiane mordy,  
szerokie i płaskie, jak wycięte z kartonu,  
mnie już było wszystko jedno. Poza jednym,  
poza przylepioną do mózgu myślą:  
Powietrza! Powietrza!  
Zachłysnąłem się tym pragnieniem i zemdlałem.

Później poznałem moc wysokiej gorączki,  
obdarzonej właściwością powoływania do życia  
szaleństwa, które tańczy przed oczami prymitywny  
taniec końca świata i rozumienia tego świata.

I znalazłem się na oddziale  
gdzie leżało sześciu mężczyzn  
mających zaburzenia oddechu.  
Krzusili się, prychali, zacinali,  
był taki, który zatracił odruch oddychania.  
Po prostu zapominał oddychać i się dusił.  
Tak jakby zapominał, że żyje.

A później przez usta lekarze wtłoczyli mi w gardło  
rurę o średnicy trzech centymetrów,  
która wessała się w moje płuca.  
Zaczęli odsysać klejącą maź naruszonej tkanki.  
Wrywali ze mnie oddechy, zlepione smrodliwą naftą  
i cuchnącą, brunatną ropą, którą w odruchu obronnym  
wydzielały z siebie poparzone płuca.

Naćpany tramalem broniełem się przed tym gwałtem,  
wrywałem, wykręcałem, ale przywiązali do łożka.  
Krzywdzili, zabijali! Nikomu nie ufałem... Nikomu!

Przeżyłem...  
Sufit szpitala był miękki  
i powiewał tuż nad moim nosem.  
Żyję, zrozumiałem. Jednak...  
To dobrze. To bardzo dobrze, pomyślałem.  
Zasypiałem, podejrzewając trochę,  
że ktoś żongluje moim poczuciem życia.  
Że może wcale nie oddycham, a tylko śnię oddech.  
Że może już po sprawie i jestem po rozprawie,  
jaką czyni materia agonii, należącej  
– jak twierdzą – wciąż do życia,  
i duchowość śmierci, należącej  
– jak twierdzą – do nie-bycia.

Wciąż jednak byłem.  
I po dwóch miesiącach leczenia  
znowu chodziłem po świecie.  
I znowu smutek obracałem w radość.  
Lęk w odwagę, opowiadałem zmyślenie,  
żartując z tego, co było,  
by dać przewagę temu,  
czego nie ma.

Ale w tej żonglerce  
przemieszanych biegunów  
wiedziałem jedno:  
Jak dobrze być!  
Choćby kuglarzem!



D ANI EL O DI J A

**Wojciech Kuczok**

**Wody godowe**  
-fragment

layout i ilustracje  
Iga Nawara







[...]

I nagle dobiegł mnie narastający dźwięk kastaniety, aż w końcu urwał się, by przejść w głos żeński, raczej alt niż mezzosopran, do którego mogłem i ja się ze względu na płęć podpiąć jako adresat:

– Może panowie wiedzą, gdzie tu jest jakiś niedrogi, ale przyjemny hotelik?

Ukazała się dama znacznie młodsza od głosu, z walizką na kółkach, która była dowodem w sprawie jej nietutejszości, a zatem mieliśmy już w tej okolicy wiele wspólnego; pani zadała pytanie raczej kelnerom niż mnie, ich teraz wysłuchiwała, wzajem się przegadujących, czy ten przy ryneczku, czy ten nad rzeczką, przy ryneczku drożej, ale przestronniej, przy rzeczce skromniej, ale serdeczniej, ona im na to, że może być ciasno, ważne, żeby było czysto, a oni już chórem niejako obruszeni, że z czym jak z czym, ale z czystością to u nich w miasteczku pod żadnym względem problemów nigdy nie było, i odruchowo przecierać zaczęli czoła i białe na przemian.

– Czyli którędy mam iść? – dopytała jeszcze złakniona szczegółów i w końcu jej wytłumaczyli, że do obu dojdzie tą samą drogą, tylko ryneczek wcześniej niż rzeczką, a kiedy podziękowawszy, znowu zaczęła wystukiwać rytm ukryty w partyturze płyt chodnikowych, tym razem w tempie wolniejszym, bo pod górę, szybko się za nią udałem, służąc pomocą.

– Pani pozwoli, ja też tam idę.

I przejąłem uchwyt za przyzwoleniem – Bardzo pan uprzejmy... – i oboje plecami do brzegu połączeni w wędrówce zaczęliśmy zmierzać ku gęstniejącej zabudowie, i po wstępnych oględnych i ogólnych obwąchiwaniach, czy pan tu po raz pierwszy, czy pani tu na długo, po tym, jakeśmy o parę miesięcy szybciej, niżby to uczyniły nasze pradziady, przeszli na ty, po tym, jak objaśniłem wstępnie zgromadzenie specjalnych służb, niespecjalnie zapracowanych nad jeziorem, dotarliśmy do ryneczku, ale tak się nam jakoś szło, że w niemym porozumieniu ciągnęliśmy dalej, ku rzeczce, ja walizkę, ona wywód swój poświęcony topielcom nadmorskim, których morze wyrzuca w kurortach, gdzie flądra ciemności waruje przy dnie – to ja już dodałem w myślach moich demonami oblażłych, bezgłośnie rzecz jasna, bo nie chciałem płoszyć tego altu, jednak zdecydowanie kontrastującego z młodzieńczą powierzchownością, tak jak lubiłem kiedyś tam, kiedyś, hen, za siedmioma mgłami. Alt z delikatną jazzową chrypką dozmysławiał ją, uzmysławiał mi jej zmysłowość, zmyslnie więc się wdałem w słowną przebieżkę po sprawach powierzchownych, podszytą jednakże obopólnym pragnieniem wejścia w głąb, wnikięcia w to, co nieuniknione; drobny dreszczyk mnie omżył pod swetrem, kiedy dotarliśmy na miejsce, i pomyślałem sobie, że tu właśnie być może przedłużę swój żywot o czyjś szept nocny.

\*





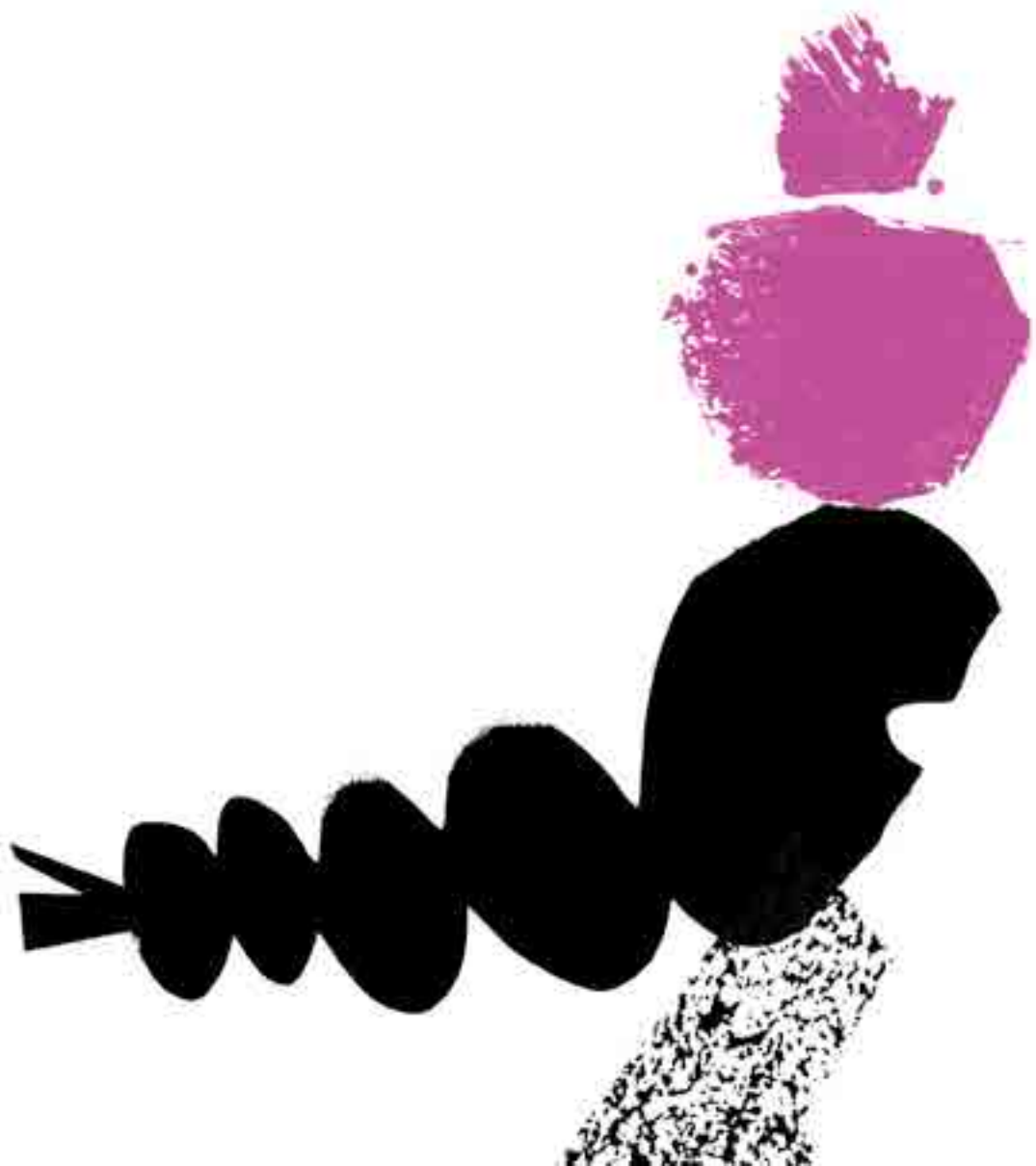
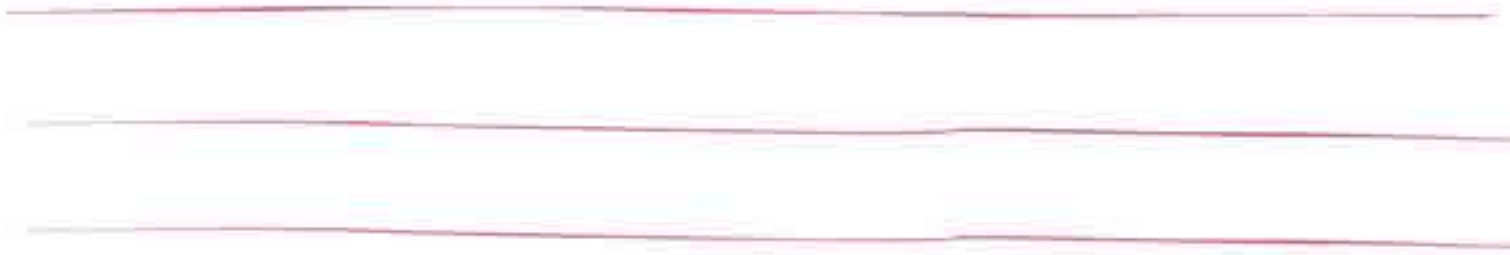




Portier nam dał dwa pokoje przytulone do siebie, ach, żeby tylko ścianą, one były stworzone z jednego większego apartamentu, w którym zamknięto po prostu drzwi oddzielające jedno pomieszczenie od drugiego, dzieliły nas zatem drzwi bez klucza, zaczęło mi to doskwierać w warstwie symbolicznej, bełtało mi w myślach, siedziałem na wyrku wyściełanym pościelą z kory satynowej i patrzyłem w stronę okna z moskitierą, za którym brzegi szemrane i rzeka nazwana, łatwo wpadająca w ucho przez lufcik, siedziałem tak nieruchomo, jak woda ruchoma ciekła ku wodzie stojącej, wodzie, w której on tam na dnie wciąż nieodnaleziony, on, topielec, rzeczkę wzywał do siebie, aby nim doświadczona, za jeziorem wypłynęła już jako inna rzeka o innej nazwie, dojrzała, przechrzczona, pierwszym trupem w mule zahartowana. Ciurkiem i ciągiem wpływała ta rzeczka na mój nastrój, we mnie też się rozszemrała krew ku tej tam za ścianą pani, która teraz być może zaznawiała kąpieli, być może już jej zaznawszy, balsamowała ciało żywe, idąc za tym podszeptem, skierowałem więc myśli ze zmartwień ku ożywieniom, przymknąłem okno i przytknąłem szklaneczkę do ściany, do niej zaś ucho przyłożywszy, jałem nasłuchiwać, a nawet podśłuchiwać, by tak rzec, w ciemno, czyli w głucho, najpierw przez ścianę, zbyt jednak grubą, potem przez drzwi, również niewzruszone, na koniec zaś odłożyłem szklaneczkę

i bezpośrednio ucho przyłożyłem do dziurki od klucza, z niej mię owiał mikroprzeciążek, ale też doszły słuchy, że ona ma kogoś po drugiej stronie słuchawki, że relacjonuje temu komuś zdawkowo, że już się znalazła tam, gdzie trzeba, że hotel niczego sobie, że niczego sobie nie będzie odmawiać, że nie poda mu adresu, bo nie po to wyjechała, żeby za nią tu ściągnął – tu się wyłoniła płęć, był to więc on, jakiś jej on męczący, być może chwilowo, ale z dalszego ciągu rozmowy nie tak znów długiej wynikało, że zmęczenie nim było główną przyczyną znalezienia się tu, teraz, we własnej pojedynczości. Rozmowa była nieproporcjonalna – ona niechętnie odpowiadała, po dużych interwałach, w trakcie których on tam w telefonie perorował, za coś ją nieudolnie przeproszał („Daruj sobie twoje tysięczne przeprosiny”), do czegoś nieskutecznie przekonywał („Nie przekonasz mnie”), nie dawał

spokoju („Chciałabym, żebyś wreszcie dał mi spokój”). Potem nastąpiła cisza, a zaraz po niej ciche łkanie, nie mogłem jednak ustalić ponad wszelką wątpliwość, czy nad nim łkała, tym tam, od którego musiała uciec aż tutaj, nad ujście rzek średniej wagi do stawu pomniejszego rozmiaru, wśród fali łąk, na których nigdy nie legła pokotem żadna armia, co to by mogła zwieńczyć mury ratusza choć tablicą pamiątkową, tu, na tę ziemię jałową od znaczeń, na te bruki nieuświęcone żadną krwią bohaterów, nad tę wodę, będącą grobem nieznanego cywila, wciąż niewyłowionego, czy też płakała nad sobą samą, czy i ona z tych była, co to żałobę po sobie samych noszą, czarno-żółciowym refluksem gnębieni aż po brzegi dusz.



Wytkawszy się zaś, umilkła, a potem usłyszałem, jak wychodzi i zaraz potem pukanie do moich drzwi się rozległo, i wyszło na to, że choć się czegoś w tym rodzaju spodziewałem, nie spodziewałem się aż tak bardzo, miałem zamiar obmyślić jakiś dobry pretekst do tego, by samemu do jej drzwi zapukać, zupełnie jednak nie byłem przygotowany na to, że będę tym, który ma na pukanie zareagować. Odstawiłem szklaneczkę na miejsce, podbiegłem do drzwi, przy których natknąłem się na własne buty – i tu mnie zablokowało: założyć, czy nie, otworzyć w butach,

czy w skarpetkach, jeśli założę buty, to będzie nie-naturalne, jeśli pozostanę w skarpetkach, mogę się prezentować zbyt familiarnie, najlepiej byłoby, gdybym otworzył boso, ale nie zdążyłem się umyć, otworzyłem szafę, w której znalazłem szlafrok i jednorazowe pantofle kąpielowe, migiem zrzuciłem z siebie łachy i przebrałem się w strój do kąpeli, powiem jej, że właśnie się miałem kąpać, wpuszczając ją do środka, już miałem zamiar otworzyć, bo ponowne pukanie zdążyło się rozleć – musiała wiedzieć, że jestem w środku, choć cała moja szamotanina odbywała się w absolutnej ciszy, myślała może, że śpię, już miałem jej więc otworzyć, lecz się ujrzałem w lustrze i szlafrok zdał mi się przykrótki, odsłaniał mi łydki, och, jakże nie byłem dumny ze swych łydek, natura poskąpiła mi mięśni brzuchatych, od dziecka miałem łydki Pinokia, w przykrótkich spodniach wyglądałem jak strach na wróble, łydki moje bezmięsne implikowały w wyobraźni istnienie jakichś patykowatych nibynózek, dlatego starałem się unikać krótkich spodenek, błogosławiłem sobie fakt, że nie dorastałem w czasach powszechnej popularności pumpów i pludrów – wszelako, przyrzawszy się sobie, zrozumiałem, że za nic w świecie nie odważę się otworzyć jej w przykrótkim szlafroku, apiać założyłem więc wszystko, com z siebie zdjął, i spiesznie drzwi otwarłem, i dopiero kiedy ją zobaczyłem, kiedy twarzą w twarz stanęliśmy w drzwiach bez progu, uświadomiło mi się, że w pośpiechu zapomniałem o butach – byłem więc w ubraniu i papciach kąpielowych białych, także na mnie przykrótkich, do połowy pięt sięgających, i przyznać muszę, że była to prezenca najostatniejsza z wszystkich, nad którymi bym się głowił. Ale ona nie patrzyła mi na stopy, ona mi w oczy patrząc, powiedziała:

– Nie chcę spać sama.  
[...]







Dimitri Verhulst  
przełożył Sławomir Paszkiet

# Ładne Dziecko



Rzekomy powrót ciotki Rosie do Reetveerdegem został odebrany jako miły szok w życiu naszych wątkoni, których grono lada moment miałem powiększyć.

Już samo jej imię – Rosie! Rosie! – u progu nadchodzącego dnia niosło zapowiedź nadziei. Bo oto ktoś powrócił! Ktoś, kto się w tym miejscu urodził i je opuścił, powrócił. A na dodatek była to ciocia Rosie. Jej powrót interpretowano jako starotestamentowy znak, dowód na to, że Reetveerdegem nie jest wcale aż takie złe, a my nie tak bezwartościowi, jak matematycznie dowiedziono.

To fakt, że moja ciotka była niepospolicie piękną kobietą, a pójście z nią do łóżka znacznie podnosiło prestiż. Gdy rozkwit jej urody osiągnął szczyt, mój dziadek, mający w głębokiej pogardzie facetów o słabych głowach, ochoczo pozwalał stawiać sobie alkohol różnym młodym zuchom, którzy chcieli tą drogą wpić się w jego łaski; śmiałkowie ci wyzywali go na pijackie pojedynki, przy czym stawką był tytuł idealnego kandydata na zięcia. Już wtedy całe, chude jak szczapa, ciało dziadka zżerały przerzuty raka, coraz częściej musiał przerywać swoje fenomenalne sesje pijackie, aby pluć krwią nad toaletą, i w końcu nie dożył ślubu swojej podziwianej córki. Pięć sążni, zdaje się, że na taką właśnie głębokość spuszcza się do łaskawej ziemi także i opojów. Dopóki moja babcia nie zmarniała w domu spokojnej starości, uważała, że cotygodniowe polerowanie jego czarnego jak smoła nagrobka jest jej wdowim obowiązkiem. Po pogrzebie swojego ojca, Naszego Arcypijaka, ciotka Rosie wydała się za gościa bez historii i osiedliła z nim w dalekiej stolicy, co ogromnie zmartwiło naszych młodych mężczyzn, którzy musieli teraz unieszczęśliwiać brzydsze kobiety. Nasza wieś po raz kolejny przekonała się, że wszystko, co piękne, musi odejść lub zostać zniszczone.

Ciotka Rosie coraz bardziej odcinała się od Reetveerdegem. Fakt, że wyrwała się stąd dzięki mężowi (ledwie znaliśmy jego imię, a cóż dopiero pijackie możliwości), musiało wywrzeć na niej takie wrażenie, jakby o mały włos uniknęła śmierci. Podczas rzadkich rozmów telefonicznych mówiła o zgromadzonych bogactwach, o urządzaniu ogrodu na dachu, o rozkoszach sauny, o tętniącym życiu mieście. Wakacyjne pocztówki, przesyłane dla podtrzymania kontaktu z rodziną, przynosiły banalne „słoneczne pozdrowienia” z dalekich miejsc, które mieliśmy w tak głębokim poważaniu, że nie chcieliśmy nawet szukać ich w atlasie. A podczas jej jeszcze rzadszych wizyt błagaliśmy jej męża, aby z łaski swojej nie parkował swojego drogiego jak cholera samochodu przed naszym domem. Byliśmy biedni, od zawsze, ale znosiliśmy naszą biedę z dumą. Widok takiej wypasionej bryki przed naszym domem upokarzał nas; na samą myśl, że ktoś z naszej wsi mógłby zobaczyć, jak komuś od Verhulstów w miarę dobrze się wiedzie, ogarniał nas wstyd.

A było tak: Pierwsze lata życia spędziłem z rodzicami na ulicy Kantonstraat, w małym szeregowcu z mikroskopijnym podwórkiem, na którym stała wspólna pompa i komunistyczny wychodek z dziurą w desce, umieszczoną bezpośrednio nad szambem. U nas ściany dużego pokoju przemakały od wewnątrz, a w zbutwiałe drewno okiennic wtykaliśmy pomięte gazety, żeby nie wiało. O tych mankamentach mieszkania ojciec zawsze mówił z dumą; jego zdaniem, do wygodnego życia dążą tylko ludzie bez jaj, a kiedy w końcu przeprowadziliśmy się na Merestraat, to tylko po to, żeby nasze warunki mogły się jeszcze pogorszyć. Tam też zamiast ubikacji mieliśmy deskę z dziurą, a w charakterze bonusu cieknący dach. Na podłodze w kuchni ustawiało się wiadra, w które wpadały krople z sufitu. Spędzaliśmy przyjemne wieczory na sofie, słuchając okrągłych dźwięków plusku w wiadrach i pró-

bując odgadnąć ksylofonowe melodie, jakie wygrywał dla nas zrujnowany dach. Codziennie uzupełnialiśmy w miseczkach trutkę na szczury, jednak nie uważaliśmy się za morderców; raczej czuliśmy, że doskonale dbamy o te bestyjki. Do zagrażających życiu, przegniłych i zagrzybionych schodów nad piwnicą odnosiliśmy się z pietyzmem jako do architektury proletariatu. Ojciec był socjalistą i dokładał wszelkich starań, aby za takiego uznawano. Posiadanie czegoś oznaczało dla niego konieczność dodatkowego ścierania kurzu. To posiadane dobra miały we władaniu człowieka, nie odwrotnie. Kiedy z powodu nieprzewidzianej oszczędności groziła nam w końcu miesiaca nadwyżka finansowa, ojciec opróżniał konto i przepijał całą wypłatę, chroniąc nas w ten sposób przed pokusami kapitalizmu. Niestety, matka z biegiem czasu stawała się coraz większą burżuazyjną paniusią, zbyt próżną, żeby chodzić w zniszczonych butach, toteż po dziesięciu latach małżeństwa wniosła pozew o rozwód. Zabrała wszystkie meble, co ogromnie uszczęśliwiło ojca. Wreszcie nie posiadał już niczego, ani żony, ani żadnych innych mebli, i ponownie wprowadził się do swojej starej matki. Można więc zrozumieć, że z pogardą patrzyliśmy na tych członków rodziny, którzy parkowali swoje szpanerskie fury przed naszym domem, a w święta składali nam wizyty wystrojeni w obrzydliwie drogie ciuchy.

Plotka o tym, że ciocia Rosie – o cud nad cudami! – wróciła do Reetveerdegem, szerzyła się z niewyobrażalną wprost prędkością, tak że bezustannie zatrzymywali mnie wtedy mężczyźni, którzy czuli się jak nowo narodzeni i chcieli się dowiedzieć, czy z pijanych wiejskich ust płynie prawda. To była najprawdziwsza prawda: również ku naszemu zdziwieniu ciotka Rosie powróciła i kompletnie załamana, z dwiema śliwami pod oczami, spytała, czy mogłaby wraz z córką schronić się u nas na jakiś czas.

U nas, czyli u mojej babci. Czterech z jej pięciu synów, w tym także mój ojciec, spaprało swoje życie uczuciowe i zamieszkało u niej ponownie. Ponieważ moja matka nie chciała mieć nic wspólnego nie tylko z ojcem, ale także ze mną, babcia zlitowała się nad nami oboma i odtąd razem z trzema wujami spędzaliśmy u niej apatycznie kolejne dni. Teraz miały do nas dołączyć ciotka Rosie i kuzynka Sylvie, których życie zmienił w piekło niewierny i agresywny brutal.

Dotąd nie widywałem zbyt często mojej kuzynki z Brukseli, jedynie sporadycznie w Nowy Rok i na pogrzebach, kiedy to przezornie ignorowaliśmy się nawzajem, czując instynktownie, że pochodzimy z różnych światów. Z tego, co wiem, Sylvie grała na pianinie i uczyła się tańca klasycznego w różowym tutu. To dziecko każdego dnia starannie liczyło pochłaniane kalorie, mogło też liczyć na wizyty bogatszych Mikołajów. Uniwersytet stał przed Sylvie otworem, a ponieważ po mamie odziedziczyła urodę, przypuszczałem, że tylko patrzeć, jak coraz to inni mężczyźni zaczną marnować czas na zaloty, zapewniając jej tym dobrą zabawę. Była ode mnie nieco młodsza, ale sprawiała wrażenie tak pewnej siebie, że nie odważyłem się w żaden sposób wykorzystać naszej różnicy wieku. Nie cieszyło mnie jej przybycie. Dobrze się czułem w naszej męskiej twierdzy i postrzegałem Sylvie jako źródło zakłóceń. Jej nieskazitelne manieri wprawiały nas w zakłopotanie, wydawało nam się, że jej spojrzenie przyłapuje nas na naszej nędzy.



Mój tata podczas srania zostawiał zawsze drzwi otwarte na oścież. Jego łajno nieziemsko śmierdziało leciwym serem, notorycznie stawał też w korytarzu z opuszczonymi spodniami, świecąc jajami dwa metry od muszli klozetowej, tak bym nie mógł udawać, że go nie słyszę, i domagał się głośno nowej rolki papieru toaletowego czy kawałka gazety. Robiliśmy tak od lat i system działał świetnie – ojciec zawsze bezzwłocznie dostawał swoją rolkę albo gazetę. Ale teraz, kiedy przyglądała się nam Sylvie, było tak, jakbyśmy nagle musieli przeproszać za swoje zachowanie. Wstydziliśmy się, że co rano schodzimy na dół, drapiąc się i gmerając w majtach. Wstydziliśmy się, że kopcimy szluga, leżąc przed telewizorem ze śmierdzącymi nogami na stole. Wstydziliśmy się z powodu kilogramów surowego mielonego mięsa, które pochłanialiśmy, bo tak było tanio i wygodnie, i wstydziliśmy się, że gołymi rękami nabieramy do ust pełne garście tego przysmaku i popijamy go resztką wczorajszej zimnej kawy z jakiegoś kubka. Wstydziliśmy się robaków, których dostawaliśmy od tego mięsa, a mimo to nic z tym nie robiliśmy. Wstydziliśmy się bąków, które puszczaaliśmy w eter po mistrzowsku niczym trębacze w wiejskiej kapeli, wstydziliśmy się beknięć, których nie próbowaliśmy powstrzymywać. Wstydziliśmy się, że bez powodu klniemy jak szewcy, że zostawiamy na kiblu włosy łonowe, że na łazienkowym chodniczku miesiącami zalegają obskubane u stóp kawałki naszych paznokci. Wstyd nam było papierosów, z którymi zasy-pialiśmy w fotelu, brązowych od nikotyny zębów i piwnego odoru. Wstydziliśmy się za niezapowiedziane kurewki, na które babcia natykała się przy śniadaniu, i które za każdym razem na nowo pytała o imię. Wstydziliśmy się naszych pijackich przyspiewek, wulgarnego słownictwa, rzygowin i coraz częstszych wizyt policjantów i komornika. Wstydziliśmy się, ale nic z tym nie robiliśmy.

Trwało to trzy tygodnie, dopóki mąż ciotki Rosie – *oncle Robert* – nie stanął przed naszymi drzwiami i nie zapytał: – **Jest u was Rosie?**, a my na to: – **Rosie? Nie, a miała tu być?**, no to on wparował z tym swoimi szerokimi barami do naszego domu, wyciągnął ciotkę Rosie za włosy na dwór i kopniakiem zaprosił do samochodu. A kuzynka Sylvie z rykiem usiadła na tylnym siedzeniu i zniknęła z mojego życia aż do następnego pogrzebu. Przysięgliśmy sobie, że wykończymy tego wuja Roberta, bez dwóch zdań, najlepiej powolutku nożem, a tego zaszczytnego zadania podejmie się ten, u którego pierwszego zdiagnozują raka. Przecież rak dopadnie nas wszystkich, Nasz Arcypijak nam to w pięknym stylu zademonstrował, a dożycie do sześćdziesiątki to wszak szczyt drobnomieszczństwa. Jednak, szczerze mówiąc, ulżyło nam, kiedy ciocia Rosie i kuzynka Sylvie wyniosły się wreszcie z domu; ich obecność prowadziła do zbyt drastycznych konfrontacji.

Nędzną egzystencję łatwo jest ogarnąć. W każde popołudnie Sylvie widziała mojego tatę i wujaszków, jak zasiadają do śniadania i po pierwszym rytualnym papierosie zabierają się za mielone mięso i sardele z puszki, by zwalczyć kaca z minionej nocy. Tłusty olej, w którym pływały sardele, skapywał im z brody, oni zaś, o ile w ogóle im się chciało, ścierali go rękawem postrzępionego swetra. Później znikali z domu, by po wielu godzinach wrócić kompletnie pijani. Niektórzy nazwaliby to błędnym kołem, my uważaliśmy, że jest to naturalny cykl.



By ukryć się przed ojcem, Sylvie przez trzy tygodnie nie chodziła do szkoły i przypatrywała mi się, jak przy brudnym kuchennym stole apatycznie uczyć się i odrabiam karne zadania domowe. Tymczasem czytała książki, które czyniły ją mądrzejszą i bardziej elokwentną, a w dalszej perspektywie powiększały jeszcze bardziej przepaść między nią a resztą rodziny. Wieczorami w łóżku czytałem w jej myślach, gdy leżąc obok mnie z otwartymi, utkwionymi w suficie oczami, słuchała chrapania mojego ojca, który z rozdziawianą gębą, nierzadko w śmierdzących skarpetkach, odsypiał w sąsiednim łóżku kaca. Albo zgrzytania zębami wujaszka Potrela. Z pewnością brzydziła się naszymi ciuchami, które leżały na ziemi obok łóżka, dopóki babcia ich nie pozbierała i wrzuciła do prania. Nie wiem, co było dla niej gorsze, brązowe pety w popielniczkę obok łóżka, plamy od potu na prześcieradłach czy skarpetki mojego ojca. Milczała. Wolałbym już, żeby mnie zagadnęła o styl naszego życia i porozmawiała ze mną jak kuzynka o kuzynem. Jednak ona milczała i patrzyła na nas z góry.

– **Mały, wziębyś naszą Sylvie i byś trochę pospacerowali, he? Ten dzieciok jest przeca cały błąd od tego ciąglego siedzienia w hacie.**

Niby co miałem z nią zrobić? Nawet się do mnie nie odzywała, a kiedy czubkiem długopisu wydlubałem sobie trochę miodu z ucha, to zmierzyla mnie z pogardą wzrokiem. Może tam w Brukseli wszyscy używają patyczków do uszu, wielkie mi mecyje. Moim zdaniem, to ona powinna okazywać trochę więcej wdzięczności za gościnność, którą jej okazano. Poza tym w naszej wsi nie było kompletnie nic, czym można by było zabawić tę rozpieszczoną smarkulę. O tak, z pewnością wzbudziłyby zainteresowanie moich przyjaciół, którzy ciągle dłubali przy skradzionych motorowerach, jednak ciotka Rosie nie byłaby tym zachwycona. Moi przyjaciele byli świntuchami i chociaż mógłbym co nieco zarobić, wypożyczając im kuzynkę, to jednak nie pozwalało mi na to nieco wyolbrzymione poczucie honoru. Jeśli już przekroczyć próg domu z tą milczącą, zarozumiałą dziewczuchą, to zamierzam być z niej dumny i się nią opiekować. Lepiej, żeby nikt się nie ważył komentować jej przemądrzałego zachowania. Ale co miałem z nią począć? Iść na spacer? A po drodze gadać o życiowych planach? O tym, co nas kręci, i o tym, jak idzie w szkole?





To mój ojczulo zaproponował, by zabrać Sylvie do knajpy, na złość ciotce Rosie. Jednak i ona także zauważyła, że cera jej córki zaczyna coraz bardziej przypominać kolorem nieboszczyka.

- **Do której knajpy ją zabierasz?** – spytała.
- **Do Kącika albo do Koła Gospodarzy. Zobaczymy jeszcze.**
- **Czy André też tam będzie?**
- **A niby skąd mam to wiedzieć, czy André też tam będzie?**
- **Co, widzisz w moich rękach szklaną kulę?**
- **Ale uważajcie na siebie! I nie wracajcie za późno do domu!**
- **Sylvie, skarbie, masz ochotę wyjść z wujkiem Pierre'em trochę się przewietrzyć?**

Wkurzało mnie, że nagle wszyscy próbowaliśmy mówić do dzieciaka tak elegancko, w literackim niderlandzkim. Niestety, i ja w tej kwestii zgrzeszyłem. Ona w jakiś sposób wyzwała takie reakcje. Sylvie skinęła głową i założyła kurtkę. Nasz Mały, czyli ja, też dołączył do wycieczki.

- **Rosie, nie idziesz z nami? Znam takich, których twój widok bardzo by ucieszył. Nie zaszkodziłoby ci trochę świeżego powietrza.**

Jednak ciocia Rosie nie miała ochoty.

- **A ty, Potrel? Idziesz z nami?**
- **Isaac Newton!** – odpowiedział nasz Potrel.
- **Że co proszę?**
- **Isaac Newton – przecież ci mówię, głupia babo.**
- **Potrel z nogami rozwalonymi na stole oglądał właśnie teleturniej.**
- **Niestety, muszę panią zmartwić, pani Peeters, właściwa odpowiedź na to pytanie brzmi: „Isaac Newton”.**
- **No, stary, wcale nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz.**
- **To powtórka programu, sieroto. Poczekajcie, idę z wami.**

Nie istniał żaden specjalny powód, by akurat tego wieczoru wybrać się do Kącika, ponieważ wszystkie nasze wioskowe knajpy były do siebie podobne. Proste, tandetne krzesła i stoły prędzej czy później rozwalano podczas kłótni, o których przyczynie szybko zapomniano i które trwały nie dłużej niż upojenie alkoholowe. We wszystkich stała szafa grająca z płytami. Nikt ich już nie puszczał, z wyjątkiem nas, którzyśmy przy nich uronili niejedną łzę. Roy Orbison był największym muzykiem wszech czasów, także tych bez wątpienia dla nas niekorzystnych, które miały dopiero nadejść. Nie znam nic piękniejszego, niż zalewać robaka ostatnim piwem, podczas gdy szefowa knajpy zamiatała stłuczone szkło, a z szafy grającej leciał Roy Orbison. A potem wyprosić jeszcze jedno piwo, ostatnie, naprawdę najostatniejsze, a potem już iść do domu, by właścicielka mogła wreszcie zamknąć spokojnie za nami drzwi, przez które następnego dnia pierwsi wchodziliśmy do środka. Różnice pomiędzy knajpami tkwiły w drobnych detalach. O wyborze lokalu decydował ostatecznie stan niezapłaconych rachunków u właścicieli knajp, gdzie nie mieliśmy odwagi pokazać swojej facjaty, dopóki tu i tam nie zebraliśmy dość kapuchy, by spłacić nasze pijackie długi. Z całej bandy jedynie mój ojciec miał stałą pracę, na poczcie, ale i on bywał u browarników pod kreską na wysokość kilku pensji.

Knajpę Kącik prowadziła samotna matka karlic bliźniaczek, których ojciec zmył się krótko po porodzie i od tego czasu nie dał znaku życia. Samotna rodzicielka dwóch identycznie zdeformowanych córek, z kredytem na knajpę, w którą sporo zainwestowała. Piło się u niej wystarczająco dużo, więc miała zapewnione wysokie obroty. A kiedy karlice trzeba było posłać do szkoły, co wymagało pieniędzy, ratowała się dodatkowymi dochodami dzięki atrybutom, którymi dysponuje każda kobieta. Niestety, miało to szkodliwy wpływ na reputację lokalu – niektóre żony robiły swoim mężom przykre sceny, ilekroć ci wracali chwiejnym krokiem z Kącika. Bliźniaczki dorastały w knajpie. Bawiły się lalkami pod stołem bilardowym,

prowadziły też sklepik z podkładkami pod szklanki z piwem oraz plastikowymi warzywami, które wystawiały na flipper służący im za ladę i sprzedawały swoje towary dobrodusznym klientom matki. Od mężczyzn goszczących co wieczór w lokalu przejęły ich wulgarny język, tak że w wieku dziesięciu lat kleły jak szewc, a ich bogaty repertuar swińskich kawałów stanowił niewyczerpane źródło uciechy całej klienteli. Już jako dwunastolatki, kiedy przestały rosnąć, nabawiły się problemów alkoholowych, ponieważ miały w zwyczaju dopijać resztki ze szklanek po piwie pod pretekstem pomocy mamie w zmywaniu naczyń.

Za tamtych czasów w sąsiedniej wiosce była popularna knajpa Pod Kozłem. Jej właściciel naprawdę miał starego capa, którego za sowitą opłatą wyprowadzał z obory i poił mocnym piwem. Goście pękali ze śmiechu, kiedy zalany w trupa kozioł przewracał wszystkie krzesła i chwiejąc się, wracał na swoje miękkie sianko, by odespać pijaństwo. Nie jest wykluczone, że właścicielka Kącika właśnie stąd zaczerpnęła inspirację. Faktem jest, że z czasem karlice zaczęły się pod stołem upijać i że stawiano zadziwiające sumy na tę, która dłużej utrzyma się na własnych nogach.

Tego, że od urodzenia cierpią na chorobę, której trudnej nazwy nie mogły spamiętać, i że raczej nie dożyją dwudziestki, bliźniaczki dowiedziały się na długo przed naszą z Sylvie wizytą w Kąciku. Ten srogi wyrok całkowicie wytrącił je z równowagi, toteż zaczęły na zapas kompensować sobie utracony czas, coraz więcej pijąc. Zdarzało się, że zalane w sztok siostry wskakiwały na jeden z wielu lepiących się z brudu stołów i unosiły spódniczki przed wdzięczną publicznością, która gapiła się na cipki karlic z mieszaniną fascynacji i obrzydzenia. Zastanawiałem się, czy powinienem przygotować Sylvie psychicznie i moralnie na ewentualne występy, bo z jakąś formą rozrywki musieliśmy się liczyć. W końcu tego rodzaju pewniki stanowiły nasz jedyny luksus.

Gdy weszliśmy do Kącika, panowała w nim swojsko rozlazła atmosfera. Można by dać sobie uciąć rękę za to, że faceci przy barze już od paru godzin gędzili o fochach żon, rozwodach i alimentach, czyli wałkowali tematy, które są tu tak samo na porządku dziennym, jak gdzie indziej pogoda. Dwóch gości grało w bilard, ale jakby mało ambitnie, przy stole karcianym czterej starszycy studiowali z uwagą los trzymany w swoich drżących rękach, a pozostali obecni cierpliwie upijali się do poziomu, w którym zaciera się granica między szczęściem a nieszczęściem.

#### – **Kolejka dla wszystkich!**

To słowa, które mój ojciec rzucał zawsze, wchodząc do knajpy. Karlice spisały zamówienia i przekazały je matce, która na koncie powitania inkasowała właśnie od naszego Potrela porządną porcję uszczypnięć w zadek. Widziałem, jak Sylvie z niepokojem przygląda się rodzonemu wujkowi, który obmacuje właścicielkę, i jak na jej twarzy pojawia się wreszcie rumieniec. Piła lemoniadę light. „Sugarfree” – jak się wyraziła. Byłem już wówczas systematycznie przygotowywany do roli mężczyzny, takiego jak ci, którzy podpierali w Kąciku bar, toteż tato kupił mi mazut (tak mówiliśmy na mieszanekę piwa z colą). Mój stary uważał, że na samo piwo jestem jeszcze nieco za młody, ale z drugiej strony nie mógł dopuścić, by chłopak w moim wieku poprzestawał na bezprocentowych napojach.



– No, panowie, macie tu niezłą cizję, ale jak policja zwęszy, ile ona ma lat, to będzie kłopot.

To był André, który przyglądał się Sylvie z nadzwyczajnym zainteresowaniem.

– To rodzina, André. Ta cizia to nasza Sylvie.

– Sylvie? Ale chyba nie córka waszej Rosie?

– Właśnie tak.

– Do diaska, ładny dzieciak! – André zsunął się ze stołka barowego, by ceremonialnie ucałować jej dłoń. Uśmiechnął się przy tym ujmująco, pokazując swoje czarne, szczerbate zęby, do mnie zaś powiedział:

– Dimmetrisiu, chłopcze, współczuję, musi być ci cholernie trudno trzymać łapy z dala od kuzyneczki. – Capiło mu z gęby, ale to u niego normalka, byłem przygotowany na ten zgniły odór. Ludzie się śmiali i widziałem, że wyraźnie oczekują ode mnie jakiejś ciętej riposty na te głupawe docinki. Mimo to sączyłem swój mazut w milczeniu. – Ach, chłopcze, każdy z nas za młodu obłapiał kuzynki. – A ponieważ dalej milczałem, dodał: – Masz rację, że nic nie mówisz.

I tak przyszedł czas na drugą rundkę. Nieuniknionym kolejnym tematem rozmowy stała się teraz ciocia Rosie, każdy już gdzieś słyszał o jej powrocie

do Reetveerdegem, najlepszy dowód, że siedzieliśmy tu z jej córką. Wiercono nam dziurę w brzuchu, by dowiedzieć się, jak i dlaczego, ale trzymaliśmy gęby na kłódkę. Nie bez satysfakcji wysłuchiwalismy różnych, coraz to bardziej zwariowanych koncepcji, jednak widać było jak na dłoni to, że sam fakt powrotu ciotki tchnął na nowo życie w dawno wygasłe i urojone uczucia. Ponieważ nie dało się z nas wyciągnąć na ten temat żadnego sensownego słowa, szybko znów skupili uwagę na Sylvie, o której André w kółko powtarzał, że jest ładnym dzieciakiem, delikatnym załączkiem bogini, a w jej perfekcyjnych rysach doszukiwano się cech odziedziczonych po matce. Ku memu zaskoczeniu kuzynki bynajmniej nie oburzało to prostackie zainteresowanie ze strony nieokrzesanych mężczyzn. Wręcz przeciwnie, przyjmowała je z naturalną sympatią, a wszystkie uwagi coraz bardziej pijanego André wyraźnie ją bawiły. Ten narzucił takie tempo picia i stawiania kolejek, że na dłuższą metę tylko mój ojciec z wujaszkami mogli mu dotrzymać pola.

– Czekajcie, zaraz wam pokażę, jak teraz sram – powiedział André, kierując te słowa przede wszystkim do Sylvie. Podciągnął do góry fletuchowatą koszulę i pokazał jej swój owłosiony kałdun usiany bliznami i zgrubieniami. Wnętrznoci miał już wtedy kompletnie przeżarte przez raka i żeby się wypróżnić, potrzebował specjalnego woreczka na odchody, z którym jakiś czas temu ku swojemu wielkiemu zdziwieniu obudził się na stole operacyjnym. Nie musiał już siedzieć na kiblu, wszystko przemieszczało się z bulgotem do tego woreczka, który dyndał na jego piwnym brzuszysku. – Patrzta! – I patrzeliśmy. Widzieliśmy, jak gówna spływa leniwie do worka, jak gdyby gdzieś w środku ktoś wyciskał tubkę. Wodniste, luźne kupsko z pianką na górze. Moja kuzynka przyglądała się tej brązowej breji wyraźnie zafascynowana, jakby siedziała w pierwszym rzędzie na pokazie naukowego eksperymentu. W końcu pokaz odbył się specjalnie na jej cześć. Każdy wiedział, że André nie doczeka dorocznego odpustu i podziwialiśmy spokój, z jakim pluł śmierci flegmą w twarz. Jasne było, że umrze z klasą, świętując do ostatniego charkotu.

– I tyle w kwestii srania – oznajmił. – Teraz pora przepłukać flaki.

– I wypił duszkiem szklanekę piwa do dna.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, ile miesięcznie oszczędzam na papierze toaletowym. – Był to humor wisielczy, który Sylvie potrafiła docenić i opłacić gotówką w postaci błysku rzędu bielutkich zębów, jakich tu jeszcze nikt nigdy nie widział.

– Jeszcze raz kolejka dla wszystkich!

O charakterze karłów wiele już napisano i powiedziano, toteż nie widzę potrzeby, by wtrącać do tej dyskusji swoje trzy grosze, ale tego wieczora lilipucie bliźniaczki z Kąci-ka naprawdę przegięły. Nie mogły znieść, że nagle jakaś zupełnie obca laska skupia na sobie całą uwagę i zbiera komplementy za swoją ponadczasową urodę. Oczywiście, nie ma w życiu sprawiedliwego podziału dóbr, te dziewczyny były po prostu kalekie i skazane na przedwczesną śmierć. Nikt nie może sobie wybrać ciała i moja kuzynka nie miała na to żadnego wpływu. Ale karlice szalały z zazdrości i zagrywały poniżej pasa, sugerując wszystkim, że ta smarkula z uroczą buzią śmieje się wprawdzie z naszych żartów i niby to nas lubi, ale w głębi serca nami gardzi. To przecież widać po jej oczach, że patrzy na nas z góry, powinniśmy przyjrzeć się jej bluzce i zastanowić się, ile za nią wybuliła. A może nie zauważyliśmy, że pije lemoniadę jak jakaś damulka, w dodatku light i sugarfree, co należało uznać za szczyt aspołeczności i zarozumiałstwa. To oczywiste, że ten „ładny dzieciak” uważa się za kogoś lepszego niż jej krewni i robi, co może, by odciąć się od Verhulstów.

Karlic się nie bije, obie doskonale wiedziały, że nikt z naszej wsi nie podniósłby na nie ręki, nawet naszemu Potrelowi nie przyszłoby to do głowy. Jednak tym razem nadużyły naszego kodeksu etyki do tego stopnia, że zaczęły nas świerzbic ręce. Owszem, czasem tłukliśmy się nawzajem niemiłosiernie, ale gdy przychodziło co do czego, to Verhulstowie stawali za sobą murem. Zawsze i wszędzie.

W knajpie zapadła nieprzyjemna cisza i każdy wiedział, że teraz piłka jest po stronie Sylvie. Powinna udowodnić, że jest jedną z Verhulstów, że należy do naszego klanu i szanuje nasze plemienne obyczaje, nie jest zaś jakąś turystką, która dla rozrywki odwiedza rejon katastrofy. U nas podglądaczek się nie toleruje. Nasz cały stół stał się celem ataku, te małe harpie próbowały zagrać na honorze rodziny Sylvie, choć dobrze wiedziały, że w zasadzie miała z nami znikomy kontakt. Ponadto moja kuzynka nosiła nazwisko swojego ojca, tak więc, ściśle rzecz biorąc, nie była jedną z Verhulstów.

– Wujaszku Pierre, czy mogę dostać piwo?

Mojemu ojcu byłoby pewnie łatwiej, gdyby Sylvie zwróciła się do naszego Potrela. Teraz cała odpowiedzialność spoczywała na jego barkach, bo to w końcu on obiecał cioci Rosie, że odstawi jej córkę całą i zdrową z powrotem do domu.

– Sylvie, nie bierz sobie do serca tej gadaniny, po prostu je olej. Ale nie była to odpowiedź na pytanie, czy może dostać piwo.



No i dostała swoje pierwsze w życiu piwo. Nie domyślała się nawet, jak smakuje ta ciecz w kolorze sików, choć biorąc pod uwagę smród w naszej sypialni, nie miała pewnie zbyt wygórowanych oczekiwań. Wyprostowała plecy, przybrała teatralną, wyzywającą pozę, oparła rękę na biodrze (podpatrzyła to u mojego ojca, on zawsze pił na stojąco, z jedną ręką na biodrze, bo w ten sposób łatwiej mu było odrzucić do tyłu głowę i wlać piwo prosto do gardła) i wypijała piwo duszkiem. Kiedy zdecydowanym ruchem rąbnęła pustą szklanką o stół (to z kolei skopiowała od naszego Potrela), stanęły jej w oczach duże łzy, a minę miała taką, jakby wypijała sok z cytryny. Chyba po pierwszym łyku piwa nikt nie wierzy, że będzie je kiedyś tankował całymi litrami, więc jestem prawie pewny, że Sylvie uznała nas za wariatów: jak można codziennie wlewać w siebie takie świństwo?

André był w siódmym niebie, wieczór już mógł zaliczyć do udanych. Jednak Sylvie czuła, że nie do końca sprostала wyzwaniu, bo zażądała od razu: – **Jeszcze jedno!** – Tego wieczora nikt nie tknął już coli ani lemoniady. Obrażone karlice, nie umiając pogodzić się z przegraną, poszły do swojego pokoju, gdzie z pewnością nie mogły zmrużyć oka. André postanowił zrobić z kuzynki „prawdziwą swojaczkę” i nauczył ją jednej z naszych piosenek, z których dziś pewnie nikt nie przypomniałby sobie całej zwrotki. Niektóre z tych songów miały po piętnaście zwrotek i roiły się od świńskich aluzji i wyrażeń, były niczym jakiś leksykon wulgaryzmów, który obejmował cały alfabet, od A do Z. Widok mojej o wiele za młodej i pijanej kuzynki, która na stole bilardowym śpiewała kuplety pełne seksualnych aluzji, na dodatek w dialekcie, który kompletnie do niej nie pasował, wypełniał nas tak czystą radością, że z miejsca musieliśmy wypić jeszcze po jednym. I każdą sprośną piosenkę, zaintonowaną przez André, śpiewaliśmy na całe gardło od pierwszej do ostatniej zwrotki.

Ale i ten wieczór musiał się kiedyś skończyć. W długiej drodze powrotnej do domu ja podtrzymywałem kuzynkę, a ojciec i wujek Potrel siebie nawzajem. Dalej śpiewaliśmy, bo nie mogliśmy się pogodzić z tym, że znów skończyła się jakaś impreza, i przeklinaliśmy gospodynie domowe, które z otwartych okien sypialni wołały: „Wiecie, która godzina?”. Zostawialiśmy za sobą ślad w postaci szczekających psów i przewróconych kubłów na śmieci i z moczem, fachowo kierowanego do doniczek przez naszego Potrela. Na drodze do dobrej knajpy żaden iglak nie miał prawa uchwycić się dłużej niż dwa lata, bo wszyscy faceci ciągle je podsikiwali. Iglaki tego nie znoszą.



– Ja też muszę siusiu.

My nigdy nie robiliśmy siusiu. My szczaliśmy.

– Ja pierdziele, szkoda, że nikt nas nie widzi! Rodzina Verhulstów uderza w plener!

– Mały, weź pomóż kuzynce!

Sama zdołała ściągnąć spodnie, musiałem jej tylko pomóc przy odpinaniu guzika. Chwyciłem ją mocno pod ramiona, a ona kucnęła, wieszając się całym ciężarem na moich ramionach. Kiedy ku naszej uldze usłyszeliśmy wreszcie plusk spływającego na drogę strumyczka, przypomniało mi się, jak André zęgnął się z Sylvie. Zapytał, czy może ją pocałować w policzek. Tak, mógł. To był dar od niebios, że ją spotkał, przeżył z nią cudowny wieczór i teraz będzie mógł umrzeć w pokoju. Takie tam pijackie gadanie. Ale ładnie powiedziane.

Sylvie podczas sikania usnęła, wyglądało na to, że jej strumień nie ma końca, i tata zaczął się już denerwować na myśl o tym, że zaraz będziemy musieli gęsto się tłumaczyć przed Rosie z opłakanego stanu jej dziecka. W miarę zbliżania się do domu stawali się coraz bardziej milczący i wyraźnie tracili humor.

Ciocia Rosie czekała na nas w szlafroku, z opuchniętymi, czerwonymi oczami.

– Gdzieście, do cholery, tak długo siedzieli?

Nie przyszło wam do głowy, że ja tu siedzę w domu i umieram ze strachu?

Tak, było nam przykro. Za wszystko. Za całe nasze życie. Tacy już byliśmy.

– A ty, Sylvie? Ty też nieźle wyglądasz.

– „Tam w ogrodzie rosną śliwy, a na śliwkach glizdy” – powiedziała jej córka.

– Że co proszę?

– „Jakie te dziewczyny mają wielkie pizdy”.

To było z jednej z tych sprośnych piosenek, których nauczyła się wieczorem, bardzo wówczas popularnej dwunastozwrotkowej *Piosenki o śliwie*. Ciocia Rosie doznała takiego szoku, że ręka sama się jej wyrwała, by zostawić odcisk na policzku mojej dobrze wychowanej kuzynki, zbyt pijanej, by wybuchnąć płaczem. Nasz Potrel zaniósł ją po schodach na górę i położył, tak jak stała, do łóżka.

– Daj spokój, Rosie, dlaczego bijesz dzieciaka?

Przecież nie ma nic złego w *Piosence o śliwie*?

Nauczyła się pierwszych pięciu zwrotek od André.

– Od André? Widzieliście się z André?

Zamilkliśmy.

– Czy Sylvie widziała André? Czy z nim rozmawiała?

Milczeliśmy.

– Pytam was o coś!

Milczeliśmy.

– Czy wie, że André jest jej ojcem?

– Nie!

– Jesteście pewni?

– Tak, Rosie, Sylvie nie ma bladego pojęcia o tym, że André jest jej ojcem, a gdybyśmy jej o tym powiedzieli, to pewnie by nam nie uwierzyła.

– Dimmetrie, jeśli kiedyś wypaplasz naszej Sylvie to, co teraz usłyszałaś, to własnoręcznie wydrapię ci ślepią. Zrozumiałaś?

– Tak, ciociu.

# Śliwki



Wszyscy żalowaliśmy, kiedy *oncle Robert* wkołał żonę do samochodu, a swoją rzekomą córkę wpakował na tylne siedzenie. Jednak uważaliśmy, że nie do nas należy mieszanie się w sprawy innych rodzin, i pozostawiliśmy je swojemu biegowi, choć ręce nas świerbiły. Pierwszym pogrzebem, na którym miałem znów ujrzeć moją daleką kuzynkę, był ten mojego ojca. Pięć sążni w dół, w pewien piątek.

Fragment powieści *Niestętość rzeczy*

PRZEKŁAD POWSTAŁ DZIĘKI WSPARCIU FLANDERS LITERATURE






layout i ilustracje  
Marta Bielska

János Háy  
**Koncert jubileuszowy**  
przełożyła Jolanta Jarmołowicz

To był koncert z okazji czterdziestolecia, kapela jeszcze się skrzyknęła, choć się nie znosili, a bębniarz już nie żył, dołączył do nich syn gitarzysty. Skrzyknęli się, bo kasa się skończyła. Frontman właśnie wmanewrował się w kolejne małżeństwo, a klawiszowiec chciał wymienić samochód, jeszcze raz w życiu, powiedział, tym razem jednak zasługuję na lepszą markę, i znowu przywołał lata siedemdziesiąte, kiedy gównianą ładą w burym kolorze musiał wozić sprzęt, i to cały, bo reszta chciała się napić. Basiście też się skończyła, ale o nim szkoda mówić, bo jemu kiepsko się wiodło nawet wtedy, kiedy innym dobrze. Jakimś sposobem trafiały mu się kobiety-resztki, potem robiły się z tego dzieci, i rodziny, potem rozbite rodziny, porzucone dzieci, i oczywiście alimenty, nie mówiąc

już o whisky, która jest konsekwencją takiej właśnie sytuacji życiowej i przypadającej basiście drugoplanowej roli: na płycie zawsze wpisywali go jako autora tylko jednego numeru, a na estradzie, przynajmniej tak czuł, wiecznie stoi w cieniu, dokładnie na skraju światła reflektora, oczywiście po ciemniejszej stronie, *Dark Side of the Moon*. Trafił już nawet na kogoś, kto po prostu nie uwierzył, że gra w tej kapeli. A nie, ty na pewno w jakiejś innej, powiedział gość, który, swoją drogą, był fanem. Krótko mówiąc, whisky jest automatyczną konsekwencją takiej sytuacji w życiu prywatnym i zawodowym. Jedynie dla gitarzysty solowego występ nie był kwestią pieniędzy. Po tournée w dedeerze, podczas gdy reszta piła w knajpie i rozprawiała o tym, że wreszcie przebili się poza granice kraju i przełamali bariery językowe, czyli właściwie stali się gwiazdami światowego formatu, w tym czasie ten gitarzysta kupił sobie z gaży mały sklepik, który długo działał bez konkurencji, tylko tam można było dostać zachodnie winyle, tam też spod lady, po cenie umownej. Dla gitarzysty występy były ważne, zawsze wyobrażał sobie, że umrze na scenie, w trakcie wielkiej solówki, kiedy instrument przejmie od ciała ostatnie impulsy życia, i wprawdzie dusza uleci z ciała, ale gibson będzie jęczał na scenie jeszcze parę minut, a publiczność przejmie ten dźwięk i będzie jęczeć razem z gibsonem, głosem jego duszy.

Skrzyknęli się, oczywiście uzupełniając skład muzykami sesyjnymi, bo na przykład gitarzysta miał ponadrywane ścięgna w palcach, dlatego też na dobrą sprawę mógł zagrać tylko połowę dźwięków, nie mówiąc o basiście, u którego już nie tylko mózg, ale także palce nie potrafiły pamiętać. Producent też powiedział, że brzmienie musi być pełniejsze, bo to jest nowoczesne, i że jesteście bardzo dobrzy, bardzo dobrzy, no fakt, nie możecie zapełnić Narodowego, ale cóż, nie jesteście Stonesami, co zrobić. Gdyby urodzili się na Zachodzie, a nie w takim do dupy kraju, wtedy oczywiście byliby lepsi niż oni, i podał parę kawałków, które z mety przyćmiłyby *I Can't Get No*, rzecz jasna, gdyby nie były po węgiersku, i co z tego, że powstały wersje angielskie. To jest biznes. Nie jest też w interesie Stonesów, żeby na rynku pojawił się prawdziwy rywal, Beatlesów też wysadzili z siodła, a przecież oni byli Anglikami, powiedział producent, bo miał na ten temat swoją teorię, że Mick Jagger tylko dlatego podsunął Yoko Ono Lennonowi, żeby głupia skośnooka pinda, tak nazywał tę, którą Lennon uważał za wybawczynię, no więc żeby ta skośnooka pinda



rozpirzyła najlepszą grupę na świecie, żeby potem druga najlepsza była najlepszą. Tak to wygląda. Nam za taki sam talent przypadło w udziale te dziesięć milionów Węgrów i parę milionów poza granicami, ale oni oczywiście nie są potencjalnymi nabywcami biletów, no dobra, i tych kilku fanów z dedeeru, którzy jeszcze żyją, którzy pamiętają, że to my przynieśliśmy wolność, nie Gyula Horn\*. No więc skrzyknęli się, będzie z tego DVD, a może DUNA TV albo Muzeum Filmu, już rozmawiał na przykład z redaktorką tego kanału, która słucha wprawdzie takich głupich Schubertów, ale jednak wie, że to w nas jest energia, wszystko jedno, albo ona, albo ktoś inny to kupi, a to też dodatkowa kasa.

Powyciągali stare stroje, frontman był w tym czerwonym jak koguci grzebień ciuchu (*Little Red Rooster*), który zwykle nosił na największych koncertach. Miał niezłą sylwetkę, dbał o siebie i jego młoda żona też. Z daleka był dokładnie taki sam jak dawniej, gdyby nie te dwa gigantyczne telebimy po obu stronach sceny, nikt nie widziałby bruzd koło nosa, które wyryło tam czterdzieści lat rock and rolla. Klawiszowiec miał na sobie długi płaszcz dżinsowy, ten sam od czterech dekad, co prawda kiedyś wyglądał w nim jak Old Shatterhand, a teraz, trochę przygarbiony, przypominał raczej zmęczonego pracownika oczyszczania miasta, który właśnie wyczynia cuda, żeby podnieść syntezator i wcisnąć do pojemnika na śmieci.

Dochodziła ósma, już trzeba było być na scenie, ale jeszcze czekali, uzgadniali, jak sobie poradzą, jeśli któryś będzie miał problem z sikaniem, i komu wtedy powierzą solówkę, tak jak za dawnych czasów, kiedy schodzili ze sceny do dziewczyn albo się napić. Ale mnie nie możecie zostawić tam samego, krzyknął klawiszowiec, właściwie te czterdzieści lat nie wystarczyło, żeby opanował swój instrument na przeciętnym poziomie grania do kotleta, zgoda, przemysł muzyczny też nie jest bez winy, bo co roku wypuszczano jakiś nowy gadżet, wszystko stale jest w ruchu, bardzo się rozwija, krótko mówiąc, jak można, do cholery, za tym nadążyć. Taki, kurwa, Franciszek Liszt, powiedział klawiszowiec kiedyś po koncercie, siedzieli w barku hotelowym, przy nich parę nowych dziewczyn, do nowych łóżek, ten to się nie musiał wysilać, w wieku

\* Gyula Horn (1932–2013) – minister spraw zagranicznych Węgier w latach 1989–1990, a w latach 1994–1998 premier.

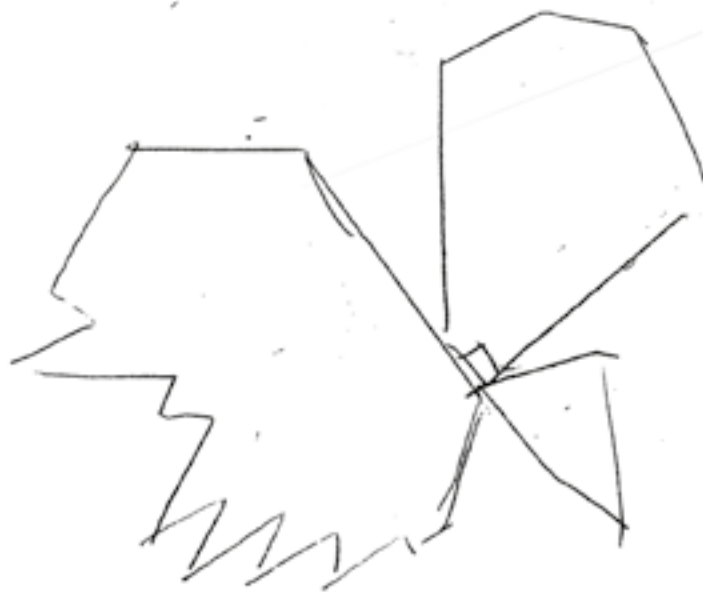




pięciu lat posadzili go do fortepianu, i dokładnie stamtąd wpadł do grobu, przez całe życie mógł grać na tym samym instrumencie. Nowy bębniarz był rozwiązaniem, dlatego dobrze, że stary umarł, bo w ten sposób znalazł się młody, który to wszystko wytrzymał, i on rzeczywiście pokończył szkoły muzyczne, krótko mówiąc, w danym przypadku słyszał, że trzeba podstroić gitarę, trzymał rytm, kiedy się rozjeżdżali, a zdarzało się to często.

Publiczność szalała, a szaleństwo, można powiedzieć, przerodziło się w wycie, kiedy muzycy, pokonując problemy kręgosłupa, jednak po sześćdziesiątce człowiek ma więcej przepuklin niż kręęgów, ale pokonując to wszystko przy nieznacznym wsparciu medycyny – zastrzyki, masaż – kolejno w podskokach wbiegali na scenę. Z mety pędzili do instrumentów, uderzali w struny, czego nie należy rozumieć dosłownie, bo klawiszowcowi na przykład ta możliwość konkretnie się nie nadała. W ciągu kilku sekund cały stadion wypełnił się syntetycznymi dźwiękami, moc wielu tysięcy watów zatrasnęła nawet drzwi w toalecie, kiedy na końcu na scenę wskoczył frontman, podkreślając atmosferę na maksa. Przechylił mikrofon, prawie go odrzucił, o Boże, przeraził się, to bezprzewodowy, dał kapeli jeszcze parę taktów, żeby się uspokoić, trudno przywyknąć do tych nowinek technicznych. Zaczęli od kawałka, do którego publika zawsze klaszcze. Frontman, jak autyk zmagający się z problemami motorycznymi, miotał się po scenie, jakby w szale czegoś szukał, na przykład swojego głosu, który rzeczywiście stracił i oczywiście do końca koncertu go nie znalazł. Ale w rock and rollu nie o to chodzi, żeby był śpiew, głos i technika, liczy się wyłącznie dusza. Kiedy leciała *Dziewczyna o twarzy snu*, a zwłaszcza gdy doszli do słów „niebieskie słońce snuły bań, perłowe włosy pieści blask”, no, wtedy już starsze panie i starsi panowie na widowni nawet płakali. Swoją drogą, to było doskonałe posunięcie ze strony producenta, że wprowadził bilety dla emerytów i kombinację „przyrowadź wnuka”, bo rzeczywiście pełno tam było dziesięcioletnich wnuków, których rodzice wcisnęli ich dziadkom i babciom, żeby staruszkowie przypadkiem się nie zgubili, wracając po koncercie do domu. Słowem – wtedy starsze panie i starsi panowie ustami pełnymi łez wzruszenia pocałowali się i ten słony, wypełniony wspomnieniami byt przelali z ust do ust. Nastolatki spuścili wzrok, kopali plastikowe kubki jednorazowe.

Jaka szkoda, że wtedy już rzuciliśmy palenie, powiedział starszy pan. Mieszkali z żoną w domu emeryta. Musieli tam iść, bo we dwoje już nie dawali rady, a dzieci mają co innego w życiu do roboty niż rodziców, a poza tym wnuk potrzebował mieszkania, i tak było najtaniej. Dziesięć lat minęło od koncertu. A ostatnio pokazali go na jakimś kanale i kierowniczką go nagrała, bo ich lubiła, oni byli tacy, że dali się lubić, nie chcieli nikomu sprawiać kłopotu, pielęgniarzkę wzywali tylko wtedy, kiedy naprawdę było trzeba. Niektórzy pensjonariusze, jak nie mogli znaleźć okularów, od razu dzwonili. Ale oni nie. Jaka szkoda, powiedział starszy pan – właśnie leciała *Dziewczyna o twarzy snu* – że wtedy już rzuciliśmy palenie. To takie ładne, kiedy zapalają zapalniczki. Ładne, powiedziała starsza pani. I przycupnęła obok starszego pana, starszy pan miał wtedy pewien problem, który przykuł go do łóżka, i starsza pani też była bliska tego stanu. Chcieliby umrzeć w tym szpitalu, w którym umarł frontman. Wielu by tak chciało, albo przynajmniej w jednym szpitalu z klawiszowcem. Ewentualnie z bębniarzem, bo zapomnieli, że on już nie żyje. Ale to udało się tylko nielicznym. Starszej pani i starszemu panu na przykład nie.







layout  
Malwina Domaradzka  
ilustracje  
Sabina Manikowska

## Ivana Myšková Zew galasów

przełożyła Anna Wanik

Nie było mu wcale do twarzy z uprzejmym uśmiechem, z którym wymawiał te słowa, jakby w tym uśmiechu coś pękło i Parfien mimo wszelkich usiłowań w żaden sposób nie mógł tego skleić.

————— Fiodor Dostojewski, *Idiota*, przeł. Jerzy Jędrzejewicz

**W** półmroku warsztatu Richard rozcierał w palcach nastroszoną błonkówkę. Właściwie była to tylko kula nierozwiniętych listków. Na krzewie błonkówka ogniście lśniła. Pod lampą zaprezentowała paletę barw. Z zestawu starannie ułożonych narzędzi Richard bez wahania wybrał skalpel. Położył błonkówkę na stole i wbił czubek skalpela tam, gdzie przeczuwał środek. Dalej się nie przedostał. Błonkówka była zbyt zdrewniała. Richard pomógł sobie piłką.

Jedną larwę oczywiście przekroił. Zmiotł ją piłką do wiadra na śmieci. Pozostałe larwy kuliły się w swoich norkach, rozpychały i wierciły, poczuły światło. Richard chwycił aparat, zrobił kilka mikrofotografii, po czym zgasił lampę i zostawił obudzone larwy, jak już tyle razy przedtem, na stole.

Cicho zamknął za sobą drzwi, przekręcił klucz i schował w tylnej kieszeni džinsów. Po schodach stąpał tak cicho, że obok Emy, rozwalonej przed



ekranem plazmowym, prześlizgnął się niezauważony. Cieszył się, że pośle zdjęcia Drabčíkowi, w temacie wiadomości napisze po żołniersku: „Plan wykonany!”. Przepadał za wykonanymi zadaniami.

Poza tym nie odczuwał nic szczególnego. Nad czym ten Drabčík tak się rozpływał?

— Przed pierwszym nacięciem cały płonę — opowiadał mu. — W jakim stadium je zastanę? Ile ich tam będzie? Czy będzie między nimi jakiś komensalizm? Mówię panu, Richardzie, zawsze krew pulsuje mi w skroniach. Przy dębowych galasach jeszcze trzymam się w ryzach, już tyle ich rozciąłem, że nie mogę oczekiwać żadnego wielkiego zaskoczenia, ale przy tych różowych galasach, błon-ków-kach — wymawiał z rozkoszą — nie potrafię się opanować. Tak jakby pan wykonał idealny przekrój poprzeczny domu i mógł dokładnie obejrzeć wszystkie jego zakamarki, z mieszkańcami włącznie. Jakby pan przeniknął do łona nowo odkrytej planetoidy! Proszę — powiedział Drabčík i drżącą ręką uroczyście podał Richardowi błonkówkę wielkości brzoskwini — proszę spróbować, wtedy pan zrozumie.

Richard przyjął dar beznamiętnie, jak gadżet reklamowy z konferencji prasowej, i obiecał, że spróbuje. Prezenty reklamowe wkładał zwykle do szuflady i po pewnym czasie wyrzucał, ale ku swemu zdumieniu bezwolnie uległ entuzjazmowi Drabčíka, w przeciwieństwie do zapału przeróżnych PR-owców. Czerpał z tego dziwną przyjemność. Rzadko kiedy widział człowieka tak czymś pochłoniętego. Na dodatek tak dziwnymi formami na roślinach. Gdy tylko zaczy-

nali rozmawiać o czymś innym, Drabčík przygasał. Gdy rozmawiali o galasach, promieniował. Richard też chciał promienieć.

Do Drabčíka przyjechał głównie z powodu architektury. Wywiad odbywał się w przedziwnym, nieregularnym budynku barwy ochry, przyklejonym do dachu zwyczajnego, niskiego biurowca z żelazobetonu. Richard familiarnie nazywał budynek „nowotworem”, Drabčík to poprawił na delikatną „opuchlinkę”.

— Proszę to potraktować jako zaklęcie. Nie powinniśmy myśleć od razu o raku.

Kiedy Drabčík płynnie przeszedł do swej pasji, owadów tworzących galasy, Richard rozpoznał w jego budynkach przemysłne kopie tych owadzych mieszkań.

Mieszkanie Richarda również było kopią. Kopią domów, jakich pełno na zdjęciach w lifestylowych czasopismach, do których od czasu do czasu pisywał. Było to bezpieczne. Nie mógł się pomylić, skompromitować, ośmieszyć. Drzewa w ogrodzie też kazał posadzić już wyrosnięte, żeby nie musiał oglądać ich dojrzewania i żeby wśród młodych sadzonek nie mogły ukrywać się zwierzęta wędrowne ani ludzie. Po spotkaniu z Drabčíkiem zasadził sobie nawet dąb.

— Szybko się pan nauczy określać po tych niedużych dziurkach, które stworzenie z galasu przegryzło się na zewnątrz, a które z kolei do środka.

Richarda fascynowała fascynacja Drabčíka. Lubił przyglądać się drzeniu i podskokom Drabčíka, chętnie podawał mu przedmioty, które ten rozrzucał wokół siebie, lubił zwracać mu uwagę na pułapki w przestrzni, które Drabčík mógł łatwo przeoczyć w stanie



uniesienia. Galasy jednak były mu obojętne. Miał nadzieję, że to się zmieni, gdy tylko wejdzie w bliższy kontakt z błonkówkami i zrozumie, w jaki sposób tworzą te narośle. Potrzebował jakiegoś hobby. Skończył czterdziestkę, a jeszcze żadnego nie miał. Szachy były zbyt statyczne, atletyka zbyt dynamiczna. Nie lubił się pocić i nie lubił też siedzieć w jednym miejscu. Nie był typem kolekcjonera, hodowcy czy ogrodnika też nie, zawsze wystarczyła mu jedna sztuka. Nigdy nie miał czasu na czytanie. Czytał wyłącznie opracowania.

– Profesjonalistom brakuje pasji. – Drabčík spojrział na Richarda z pewną przekorą. – Amator domyśla się niektórych rzeczy i przeinacza je, systematycznie się myli, ale tylko dzięki tej swojej niedojrzałości nadal odczuwa właściwy zapach.

Richard wciąż nic nie wiedział o galasach. W tym większym napięciu oczekiwał momentu, gdy sam zacznie się zachwycać. Tyle że już długo żył jak bez dopływu krwi i nie wiedział, jak go spowodować.

Kiedy podarował Emie na urodziny szczeniaka rasy golden retriever, argumentując, że przetestuje na nim swoją zdolność do dbania o potomstwo, a ona odepchnęła psa z obrzydzeniem, mówiąc: „Brzydzą mnie ich mokre pyski” – nagle mu zaświtało, że wiecznie mokre dziecko najpewniej zmarłoby szybko w ich rękach. Pokiwał więc głową i już więcej nie pomyślał o niej jako o matce. Zawiózł szczeniaka chłopcu cierpiącemu na progerię, tragicznemu bohaterowi słynnego reportażu, który przyniósł mu prestiżową nagrodę dziennikarską. To będzie taki wędrujący szczeniak, powiedział w duchu. Kiedy chłopiec

w wieku siedmiu-ośmiu lat umrze toczony chorobami starczymi, pies z pewnością opuści ten dom.

W rewanżu dostał od Emy na urodziny spore formikarium, w którym domem i karmą dla mrówek była lazurowa galareta opracowana przez NASA. Z kolei Ema otrzymała od Richarda misia z żelatyny wielkości pięciolatka, barwy równie pięknego, lazurowego błękitu, w którym mogła wygrzyzać własne ścieżki.

Richard nie nawiązał jednak z mrówkami żadnej bliższej relacji. Zamiłowanie do psów pozostawało bez porównania większe. Sprawa z mrówkami oczywiście łatwo rozwiązała się sama, gdy na dziesięć dni wyruszyli w podróż po Islandii. Richard zaplanował ją punkt po punkcie według udanego reportażu swojego kolegi, którego Ema nie czytała, więc była pod wrażeniem, ile Richard wie o Islandii. Galarete w formikarium pokryła tymczasem jakaś agresywna pleśń i po kilku dniach stała się ona niejadalna i niemieszkalna. A ponieważ Ema dokładnie uszczelniła formikarium przed podróżą, nawet „turbomrówki” z importu nie były w stanie przebić się na wolność i pozdychały co do jednej. Dlatego teraz, odchodząc od galasówek, Richard wołał zamknąć piwnicę. Przyśiągł wtedy, że nie przywlecze już do domu żadnych więcej żywych stworzeń.

Ale galasówek łatwo się wycprze. Nie mają mokrych pysków i w ogóle nie interesują Emy. Galasówki mają realną szansę stać się jego pasją. Przecież we wczesnym dzieciństwie bywał zachwycony robakami! Jesienią zamiast grzybów nabierał do koszyka galasówek dębianek, powkładał je do pudełeczek jak do łóżek-









czek i miesiąc później radośnie obwieszczał każdej napotkanej osobie: „Urodziły mi się malutkie osy!”. Nie, w tym przypadku nie przywłaszczał sobie cudzej pasji, nie kradł jej. Teraz poprzez cudzą pasję tylko przypominał sobie własną, zapomnianą. Przykładał ją do niej, żeby tę swoją starą, wyświechtaną troszkę uwydatnić. Tylko się inspirował.

To było jego ulubione słowo – inspiracja. Zwykle odnosił sukces tylko wtedy, gdy przychodził z pomysłem skądś podpatrzonym, ale sprytnie dostosowanym do takiej czy innej sytuacji. Jako dziennikarz znał wiele dobrych źródeł. Czerpał więc pomysły do własnych artykułów i reportaży, a nawet do życia z Emą. Ona zresztą też była pomysłem kogoś innego. Wpadła mu w oko, gdy siedział na fotelu dentystycznym. Miała go nauczyć, jak prawidłowo czyścić przestrzenie międzyzębowe. Na ekranie przytwierdzonym do fotela pojawiła się uśmiechnięta dziewczyna z mocno związanymi włosami, w białym T-shircie i z równie białymi zębami, która w skupieniu przesuwiała w ustach szczoteczkę międzyzębową. Tak lekko i radośnie, jakby to było jej ulubione zajęcie! Nawet przymykała oczy z rozkoszy! Kiedy odłożyła szczoteczkę międzyzębową, z żarliwym spojrzeniem utkwionym w Richarda, któremu akurat twardniał w ustach amalgamat, owinęła wokół palców nić dentystyczną i figlarnie trzepocząc rzęsami (tak mu się wtedy przynajmniej wydawało), przeciągała ją sobie między zębami z wyrazem największej przyjemności. Richard natychmiast zapragnął tej dziewczyny. Był przekonany, że to masochistka, czyli będą pasować do siebie w łóżku. Ledwie mógł

cokolwiek powiedzieć, pod pretekstem reportażu zdobył od dentysty numer do studia, w którym nakręcono wideo, a potem, jak opowiadał, wszystko poszło łatwo. Jak to czyszczenie szczoteczkami międzyzębowymi.

Był to chyba ostatni raz, gdy Richard się do czegoś zapalił. Tam, na fotelu dentystycznym. Później, gdy wreszcie zeszli się z Emą, jego zapał nieco opadł i po każdym kolejnym spotkaniu opadał nieco bardziej. Ema też miała podobne odczucia. Dziennikarze, podobnie jak aktorzy filmów instruktażowych, wkładają wszystkie swoje siły i talenty tylko w pierwsze wrażenie. Oszołomią, zrobią efekt i gasną. Potrafią udawać jakąś umiejętność czy obeznanie w konkretnej chwili, ale to tylko pic na wodę. Gdy cel zostaje osiągnięty, zostaje im kilka nowych rzeczy do wykorzystania przy kolejnym celu. Ema i Richard się rozumieli. Na przekór temu się pobrali.

Sam związek im nie wystarczał, ale każde miało swój krąg zainteresowań. Ema seriale kryminalne i misie-żelki, Richard galasówki i psie krakersy. Żadnego z nich Ema nie ukrywała przed Richardem. Richard ukrywał oba.

Richard wcześniej doskonale odpowiadał wyobrażeniom społecznym o dziennikarzach i bankietach. Nie odrzucał żadnego zaproszenia i zwykle pierwszy trzymał w palcach kieliszek szampana lub wina. Jeśli program go nie interesował, bez żenady przesunął się do szwedzkich stołów i podjadał z dopiero co przygotowanych półmisków. Bankiet po uroczystym wręczeniu nagrody dziennikarskiej, o której dałoby się powiedzieć, że bardzo jej pragnął, a którą dostał





za artykuł o chłopcu z progerią, paradoksalnie w ogóle go nie ucieszył. Mięso, sery, pasztety, sosy, zupy, nawet przekąski, wszystko wydawało mu się tak samo mdłe jak jakieś chrupki, na dodatek śmierdzące psią karmą albo czymś podobnym... I wszyscy to jedli! Zniesmaczony, wyszedł bez pożegnania.

Nazajutrz odebrał od hodowcy szczeniaka dla Emy. Dostał też worek karmy. Z worka unosił się dziwny smród. Kiedy Ema odmówiła przyjęcia szczeniaka, wyniósł go do piwnicy, nasypał kilka chrupek do miski i patrzył, jak je. Potem stała się dziwna rzecz. Poczuł, że koniecznie musi się schylić. Ciągnęło go do miski. Sięgnął do niej, wziął jedną granulkę i włożył do ust. Smakowała jak parmezan na wczorajszym bankiecie. Jak stek jagnięcy w sosie śmietanowym. Jak szynka parmeńska. Wszystko smakowało jak chrupka, jak ten psi krakers. Na pewno mam coś nie tak z językiem, zdenerwował się Richard i zaczął oblizywać sobie rękę – krakersy. Potem wziął śrubokręt – krakersy. Hebel – krakersy. Stary, zakurzony terminarz – krakersy. Niedziałające radio – krakersy. Szczeniak patrzył na niego, nie rozumiejąc, i tęsknie zaskowyczał. Kiedy Richard sięgał ponad psem po kolejne rzeczy, z zamiarem polizania ich, wbił sobie w dłoń kawałek blachy, którą chciał kiedyś coś obić. Z dłoni trysnęła mu krew. Zanim owinął dłoń chusteczką, nie wytrzymał i ją polizał. Teraz się naprawdę przeraził. Miał wrażenie, że utknął w jakimś nieszczęsnym błędnym kole, z którego natychmiast musi się wydostać. Wyszedł na schody. Szczeniak spojrział za nim z przestachem i po raz pierwszy w życiu szczeknął. Richard nawet tego nie docenił.

Ema akurat się kąpała. Domagał się wstępu do łazienki, powiedział, że się skaleczył, że niezdarą z niego. Przemyczał ranę i obserwował Emę w lustrze. Goliła sobie nogi. Już jej nie widuje z nitką dentyścianą, za to ciągle z maszynką. I Ema zawsze robi to tak zawzięcie, że zdiera stare strupki i krwawi z obu nóg. Teraz właśnie mógł się o tym przekonać. Owinął rękę ręcznikiem papierowym, uśmiechnął się do Emy, klęknął i zaczął ją całować i lizać te wzruszająco pokaleczone nogi. Najpierw lizał delikatnie, potem przylgnął do strupów i je zdarł. Emę to bolało i szczypało, teraz miała nogi mokre również od jego łez:

— Boże, dlaczego ty płaczesz?

Ale on nawet na nią nie spojrział, odpetził na czworakach za drzwi i mamrotał:

— Krakersy, krakersy... ona też... krakersy.

Również krew Emy smakowała jak psie krakersy. Nogi Emy i jego łzy, które tak nieoczekiwanie polciały... Wszystko to miało smak psich krakersów.

Próbował potem przeróżnego jedzenia z lodówki i spiżarni, oblizywał jeszcze wiele rzeczy w domu.

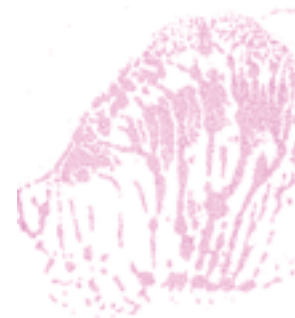
Oczywiście skończyło się to ciężką grypą żołądkową. Jednak pozostawiony sam sobie, zmierzył się z tą życiową zmianą i powiedział: no dobra...

Na bankiety chodził już trochę rzadziej. Ale choć miał wrażenie, że odpowiednio trzyma się na uboczu, zawsze ktoś go tam znalazł, jak tego nieszczęsnego Gregora Samse, i znowu, biedak, musiał się nudzić na bankietach. Nawet konwersacje już go nie cieszyły, toczyły się bowiem wokół bankietów, na które nie poszedł lub na których wprawdzie był, ale wszystko smakowało jak psie krakersy. Na takich też nakładał sobie niewielkie porcje, wspominał ich dawny smak, a w aucie dopychał się psimi chrupkami, czasem nawet z konserwą. Z Emą już w ogóle nie jadał.

— Ach, znów te bankiety — skrzywiła się, kiedy dziękując, odmówił przygotowanej kolacji i demonstracyjnie pogładził się po brzuchu. Jak bardzo chciałby się jej zwierzyć! Jak bardzo chciałby ją spytać, w którym filmie instruktażowym człowiek uczy się udawać, że mu smakuje. Jak bardzo chciałby osunąć się w jej ramiona jak wyburzany dom! Ale te dramatyczne sceny, ta pruderia, są tak szkodliwe dla ogniska domowego... Niepokojące myśli, wara, wara od naszego domu! Zostańcie za drzwiami i tam lamentujcie! Umówili się na to już przed ślubem. Ten, kto złamie umowę, pójdzie spać bez seksu! Tak. Ema w tych sprawach nie znała litości i Richard, przygnębiony, zszedł do piwnicy.

Coś zamiast seksu, coś zamiast kobiety, coś zamiast granulki, powtarzał to jak mantrę, kiedy zauważał poukładane pod ścianą długie, cienkie drewniane belki. Już nie wiedział, do czego miały służyć. Włączył pilarkę i pociął jedną na kawałki. Przez chwilę zostawił zębatą tarczę na chodzie, zanim sięgnął po kolejny kawałek drewna. Skończył dopiero wtedy, kiedy nie miał już czego ciąć, a kawałki drewna sięgały mu aż do kolan. Przypomniał sobie o babci i jej wełnianym pomponie. Pompony jak kawałki drewna. Ciągłe są miłe i nigdy nie ma ich dość.

Rano od razu pojechał po bale do Hornbachu. Cafe to drewno z Hornbachu potnie bez litości. Jednak w sklepie najbardziej przykuł jego uwagę pompon. Zielony pompon na żółtej czapce bardzo małego człowieka, na którego zbyt wątych ramionach bezwładnie wisiał zielony T-shirt. Obok niego młody mężczyzna popychał do kasy wózek z dorodną tują. Richard rozpoznał w nim ojca tego chłopca z progerią. Serdecznie przywitał się z oboma. Wypukłe oczy chłopca na ułamek sekundy jakby wyskoczyły z orbit, a pomarszczona rączka wyrwała się do uścisku. Swoim cienkim głosiem natychmiast spytał Richarda, czy nie chce zobaczyć pieska, którego im podarował. Dali mu na imię Bono i jest strasznie miły. Właśnie kupują z tatą nowe drzewko w miejsce tego, które Bono wykopał.



— Mamy teraz przed wejściem taką dziurę! — pokazywał Jiřík Richardowi, śmiejąc się swoim pokazującym śmiechem.

Dla Richarda stało się jasne, że to będzie lepsze niż cięcie drewna, i dołączył do duetu z tują.

— Pomogę wam ją zasadzić — powiedział.

Zdziwił go spokój, z jakim teraz był w stanie spojrzeć chłopcu w twarz. Kiedy pisał o nim reportaż, nie dał rady tego zrobić. Musiał się zmuszać. Fotograf, którego wtedy z sobą zabierał, zaczynał od tego wariować:

— Jak mam zrobić temu potworkowi ładne zdjęcie, pytam? Jak mam mu, kurwa, zrobić zdjęcie na okładkę?

Ostatecznie zdecydowali się na eleganckie rozwiązanie. Jiřík miał na okładce tylko wychylać się zza tui. W ten sposób na zdjęciu pozostała po chłopcu zaledwie czapka z wielkim pomponem i dwoje ogromnych jak u Golluma, niebieskich oczu. Reszta zniknęła za tują, którą wygrzebał Bono.

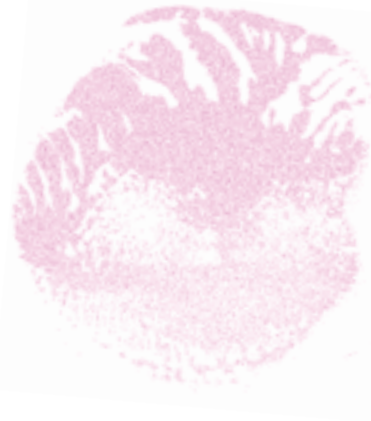
Richarda zawsze dziwiło, z jaką bezpośredniością i zaufaniem chłopiec odnosi się do niego, nawet mimo ewidentnego chłodu i rezerwy z jego strony. Richard nadal niezdolny był do oderwania się od starczej fizjonomii chłopca, widział w nim dorosłego, który w rzeczywistości był larwą. Nie zdając sobie z tego sprawy, przypisywał mu przebiegłość i hipokryzję, jakby stała przed nim jakaś esencja brzydoty, jakiś zwitek cudzych przewin, skostniała skorupa wszystkiego, co najgorsze u ludzi. Jaki kształt miałyby to wszystko, jeśli nie tak ohydny? Ale nigdy nie wyraził głośno tego średniowiecznego przekonania. Ryzykowałby kompromitację. Nawet matka Jiříka nie zamierzała ryzykować kompromitacji. Skompro-

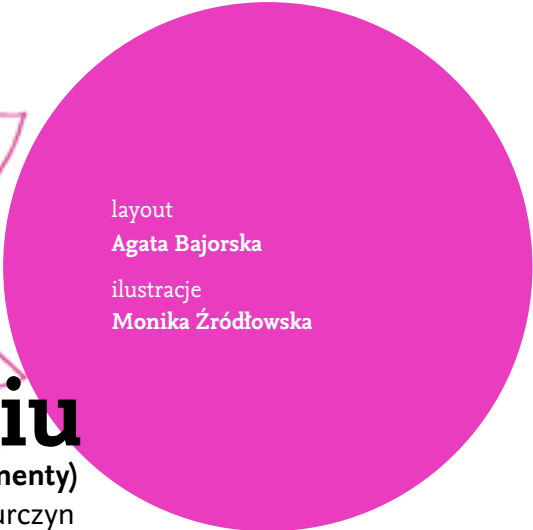
mitowała się przecież samym faktem, że urodziła tego chłopca.

— Wychodziłam z wózkiem wyłącznie bladym światem lub po zmroku. Żeby nikt do niego nie zaglądał. Pan nie wie, jakie to straszne, kiedy nie można pochwalić się dzieckiem. — Sama była bardzo ładna. — W wyobraźni nakładam mu różne twarzązki. Twarzązki innych dzieci. Żebym też mogła się nad nim trochę porozpływać.

Richard za to rozpływał się nad mamą Jiříka. W zasadzie chodziło głównie o to rozpływanie się. Richard jeździł do nich, by się porozpływać. Został niemal przyjacielem rodziny. Już tam nie jeździł tylko po to, żeby „wdychać tragedię jak świeże powietrze”, jak sam to sobie sformułował. Już tam nie jeździł „nałykać się wzruszeń”. Jeździł tam uczyć się zachwytu od swojego chłopczyka – staruszka z oczami, nosem i buzią żartobliwie wybrzuszającymi się gdzieś u podstawy głowy, opadającymi jak źle przypięty plakat, i utwierdził się w przekonaniu, że teraz napisałby inny reportaż. Taki, którego nigdzie by mu nie wydrukowali i za który nie dostałby żadnej nagrody. Z głowy Jiříka jak z galasówki dębianski co chwila wylatywał nowy pomysł i Richard nie nadążał ich wszystkich zapisywać.

Siedział teraz przed monitorem i przeglądał zdjęcia galasówek zrobione w piwnicy, gdy zabzyczał esemes od matki Jiříka. Jiřík miał zawał i zmarł. Richard gapił się w monitor, na przezroczyste larwy z wielkimi, czarnymi oczami. Pod sztywnym śluzowym bandażem zaczął rozpoznawać zarysy cieniutkich nóżek i zwiniętych, pomarszczonych skrzydeł, i próbował poczuć zachwyty Jiříka.





layout  
Agata Bajorska  
ilustracje  
Monika Źródłowska



Daniel Wisser

# Lwy na pustkowiu

(fragmenty)

przełożył Ryszard Turczyn

## Bawię się w Mihavecza

Silvia dała kurierowi dwa euro. Jak zawsze. Michael Braun uważał, że to bardziej niż wspaniałomyślne, ale Silvia cieszyła się, że kurier przynosi przesyłki aż do drzwi.

—— No, taki sympatyczny Rumun —— stwierdził Braun.

—— Sympatyczny Bułgar —— poprawiła Silvia.

Postawiła pudło na stole w dużym pokoju. Już od jakiegoś czasu Silvia przygotowywała się do otwarcia nowego lokalu nad jednym z miejskich kanałów. W ciągu ostatnich tygodni Michael rzadko ją widywał. Silvia otworzyła przesyłkę.

—— Wiesz, co to jest?

—— Zaraz mi pewnie powiesz.

—— To vipowskie zaproszenia do Stadtufer. Pięć tysięcy pocztówek 3D, mój drogi!

Sylwia otworzyła pierwszy plik i podała Michaelowi kartkę z samego wierzchu.

Przez długie miesiące trwały poszukiwania nazwy dla nowego lokalu, zupełnie jakby chodziło o imię dla ich dziecka. A potem Silvia już wiedziała: najlepsza nazwa to „Stadtufer”. Michael Braun nie był specjalnie przekonany. Silvia ukarała go za to trzydniowym nieodzywaniem się. Teraz musi przynajmniej pochwalić pocztówki.

—— No i? Jakieś zastrzeżenia? —— spytała Silvia.




—— Bardzo ładne —— powiedział Braun. —— Naprawdę. Czyli że otwarcie będzie dwudziestego kwietnia?

—— Oczywiście —— odpowiedziała Silvia. —— Przecież wiesz.

A co? W czym problem?



— No wiesz... urodziny wodza.  
— Jakiego wodza?  
— Adolfa Hitlera — powiedział Braun. — Dwudziesty kwietnia to urodziny Hitlera.  
— No i co z tego? — zdziwiła się Silvia.  
Położyła się na kanapie. Braun usiadł przy niej i zaczął rozmasowywać jej stopy.  
— No więc ani Tamara, ani Zora, ani Igor nie widzą problemu, żeby otworzyć lokal dwudziestego kwietnia — powiedziała Silvia.  
— No to w porządku.  
— Tego dnia odbywają się koncerty, wernisaże, otwarcia, wszystko — powiedziała Silvia. — Wszyscy się cieszą. Wszyscy. Tylko tobie zawsze coś nie pasuje.  
— Zabawimy się w Mihavecza? — spytał Braun.  
Rozwścieczyło to Silvię jeszcze bardziej:  
— Bardzo cię proszę, tylko nie teraz! Nie wyjeżdżaj z tą starą historią! Błagam.



Kiedy babka Michaela Brauna, a więc matka jego matki, przyjeżdżała w odwiedziny, zawsze było wielkie zamieszanie. Michael cieszył się, że dostanie prezenty. Matka próbowała stworzyć iluzję doskonale prowadzonego domu i idealnej rodziny. Tylko ojciec aż do przybycia babki siedział z butelką piwa i gazetą przy kuchennym stole. Także 20 kwietnia 1979 roku ojciec siedział z gazetą w kuchni.  
— Dzisiaj są urodziny wodza — powiedział.  
Matka zrugowała go, że takich rzeczy nie mówi się przy dziecku, ale jak zawsze ojciec opowiedział tę samą rodzinną historię, jak to w 1939 roku w szkole podstawowej nie wiedział, kiedy wódz ma urodziny, i za karę musiał sto razy przepisać zdanie: „Dzień 20 kwietnia 1889 roku to dzień urodzin wodza”. I mniej więcej tyle samo razy Michael słyszał tę historię.  
— Hilda, musisz tego posłuchać — powiedział ojciec. Michael Braun, jak to często bywało, siedział pod kuchennym stołem i patrzył na nogi ojca, które w czasie czytania zaczynały się kołysać.  
— Policja aresztowała jakiegoś człowieka — powiedział ojciec — pierwszego kwietnia.  
— Co mówiłeś? — zawołała matka z pokoju obok.

— I zapomniała, że siedzi w celi. Dopiero przedwczoraj go znaleźli. Był zamknięty przez osiemnaście dni. Osiemnaście dni bez jedzenia i picia, bez światła i świeżego powietrza. I wyobraź sobie, przeżył.

— Mogą być lada moment — usłyszał Braun głos matki z innego pokoju.

— Myślałem, że po trzech dniach bez wody człowiek umiera — powiedział Braun.

— On pił własny mocz — powiedział ojciec. — Lekarze mówią, że to medyczny cud, że przeżył.

— Co powiedziałeś? — zawołała matka.

— Pił własny mocz! — odkrzyknął ojciec.

Braun wygramolił się spod stołu i stanął obok ojca.

— Jak długo był zamknięty? — spytał Braun.

— Osiemnaście dni. Dokładnie czterysta trzydzieści dwie godziny — odpowiedział ojciec.

U góry artykułu były dwa zdjęcia. To po prawej pokazywało żandarmę, który znalazł tamtego człowieka, a to po lewej celę. Z tym że widać było tylko otwarte drzwi i drewnianą prycę w środku.

— Patrz, co tu jeszcze napisali — powiedział ojciec i zaśmiał się. — „Jednego Andreas Mihavec może być pewien, a mianowicie miejsca w Księdze Rekordów Guinnessa”. Niezła gratka dla tego nieszczęśnika!

— Jak on się nazywa? — spytał Michael Braun.

— Mihavec — odpowiedział ojciec. — Andreas Mihavec.

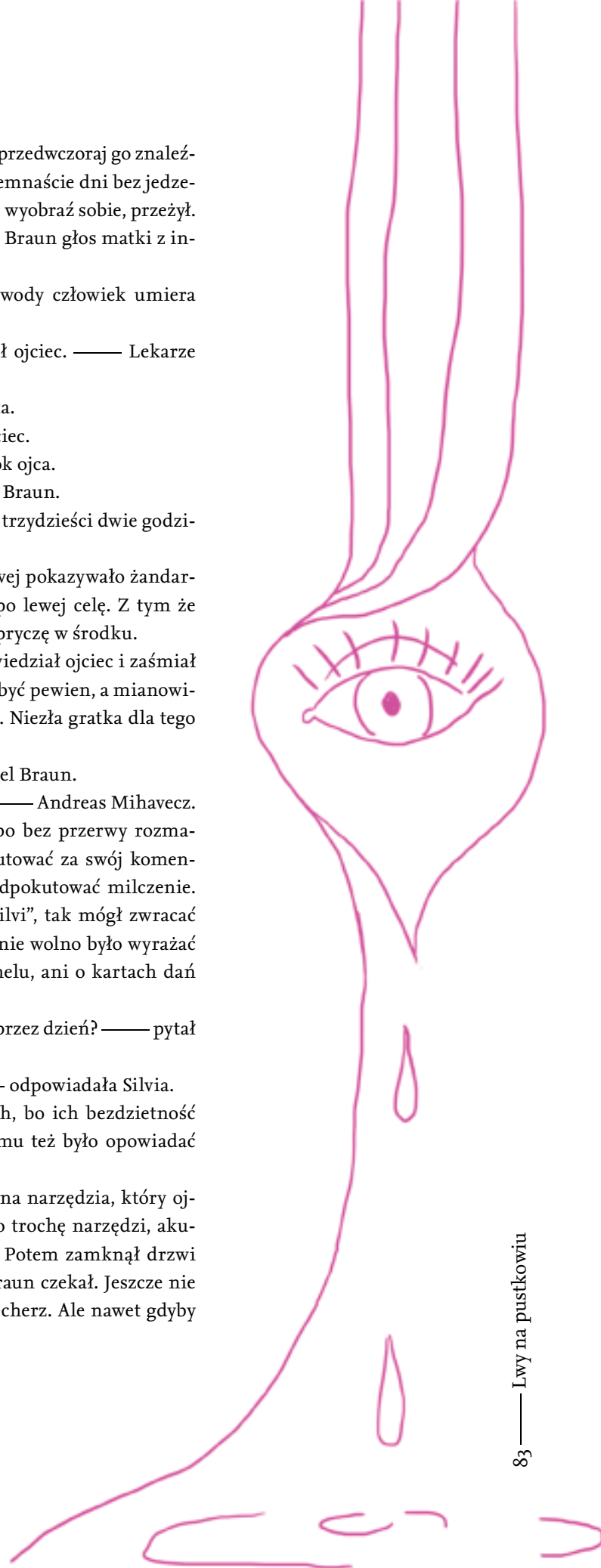
Silvia niewiele skorzystała z masażu stóp, bo bez przerwy rozmawiała przez telefon. Michael musiał odpokutować za swój komentarz. Gdyby nic nie powiedział, musiałby odpokutować milczeniem. Braunowi nie wolno było mówić do niej „Silvi”, tak mógł zwracać się do niej tylko Zora i nikt inny. Braunowi nie wolno było wyrażać się krytycznie o lokalach Silvii ani o personelu, ani o kartach dań i kartach napojów.

— Silvi, ile aperitifów Hugo sprzedajecie przez dzień? — pytał często Braun, żeby podroczyć się z Silvią.

— Hugo już dawno wyszedł z mody — odpowiadała Silvia.

Braunowi nie wolno było mówić o dzieciach, bo ich bezdzietność była frustrująca dla Silvii. No i nie wolno mu też było opowiadać żadnych historii z dzieciństwa.

Michael Braun otworzył niewielki składzik na narzędzia, który ojciec postawił latem 1978 roku. Wyjął z niego trochę narzędzi, akurat tyle, żeby zmieścić się rozkładany leżak. Potem zamknął drzwi za sobą, włożył klucz do kieszeni i usiadł. Braun czekał. Jeszcze nie chciało mu się pić. Nie czuł też parcia na pęcherz. Ale nawet gdyby



do tego doszło, nie miał pojęcia, w jaki sposób miałby pić własny mocz. Szklanki ani kubka w składziku nie było.

Michael Braun żałował trochę, że dochodzą go jakieś odgłosy z zewnątrz. Słyszał, jak matka chodzi z babcią po ogrodzie i przy każdym drzewie albo krzaku, albo grządce, wyjaśnia, co zamierza z nimi zrobić. A potem Braunowi wydało się, że słyszy, jak matka płacze. To było niemożliwe, musiało mu się pomylić. A potem dzwonek telefonu u sąsiadów.

Braun usłyszał, jak matka woła:

— Michael, gdzie ty się podziewasz?

Parę razy przeszła po ogrodzie, aż wreszcie zdecydowała się wyjąć klucz z kieszeni spodni i otworzyć drzwi. Braun musiał chwilę poczekać, zanim oczy przywykną mu do światła.

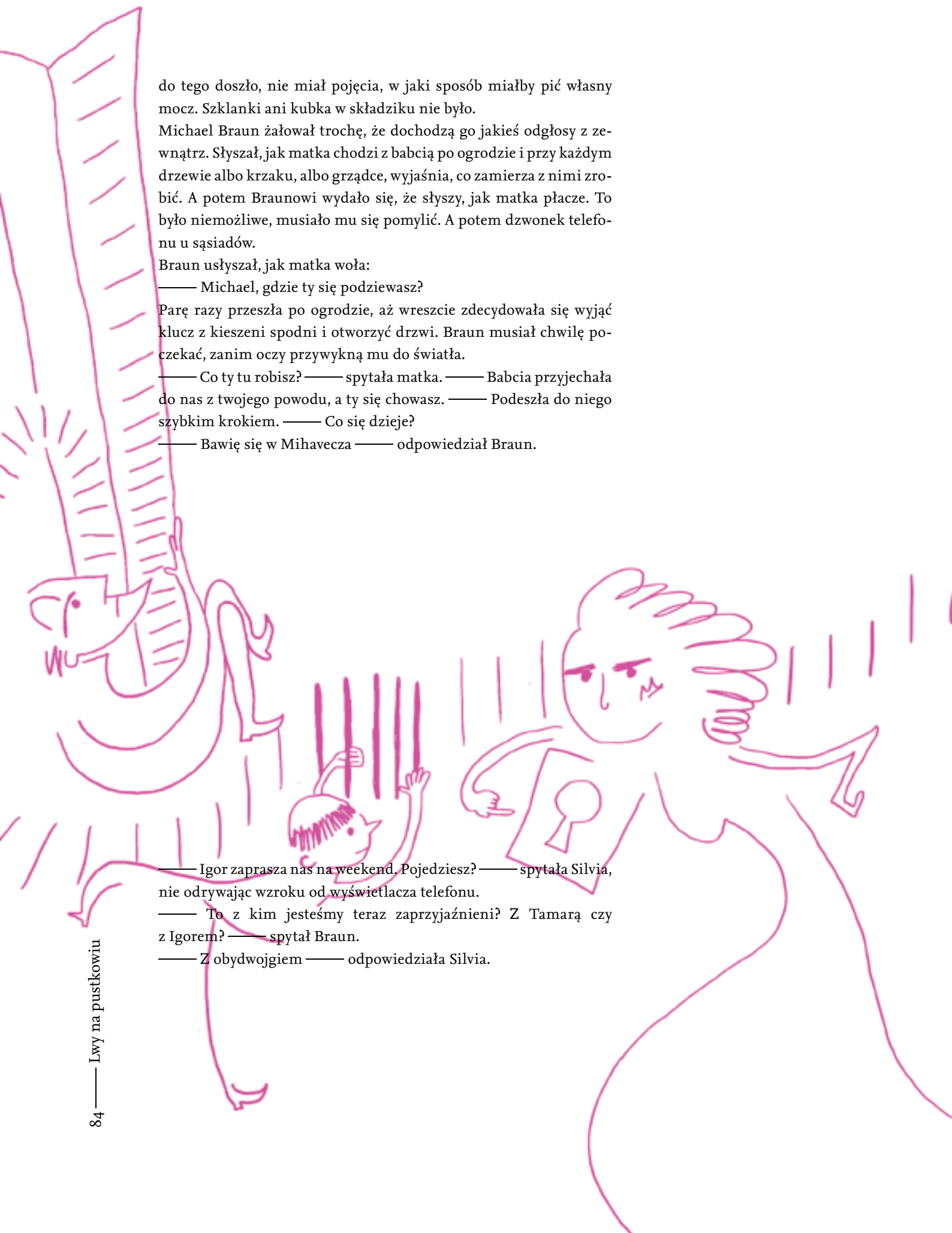
— Co ty tu robisz? — spytała matka. — Babcia przyjechała do nas z twojego powodu, a ty się chowasz. — Podeszła do niego szybkim krokiem. — Co się dzieje?

— Bawię się w Mihavecza — odpowiedział Braun.

— Igor zaprasza nas na weekend. Pojedziesz? — spytała Silvia, nie odrywając wzroku od wyświetlacza telefonu.

— To z kim jesteśmy teraz zaprzyjaźnieni? Z Tamarą czy z Igorem? — spytał Braun.

— Z obydwójkiem — odpowiedziała Silvia.





## Stwierdził

Przez długi czas Michael Braun myślał, że jego matka nie jest w stanie napisać esemesa. Ale okazało się, że jest. „Proszę, odwiedź wkrótce wuja Kurta, bo już długo nie pożyje”, napisała. I to po północy. Silvia jeszcze nie spała.

— Co się dzieje?

Braun nie odpowiedział. A więc umiera, pomyślał i zasnął.

— Tylko nie pytaj, jak się czuję — powiedział wuj Kurt. Przyszła pielęgniarka. Nachyliła się nad workiem na mocz wiszącym z boku łóżka. W wycięciu białego zakietu Braun zobaczył zarys jej piersi. Były to ładne piersi. Pielęgniarka w ogóle była ładna, o ciemnej karnacji. Braunowi się to podobało. Niestety, zaraz wyszła z pokoju.

— Mogę ci coś przynieść? Potrzebujesz czegoś?

Wuj Kurt spojrział w sufit.

— Pistolet. Przynieś mi pistolet!

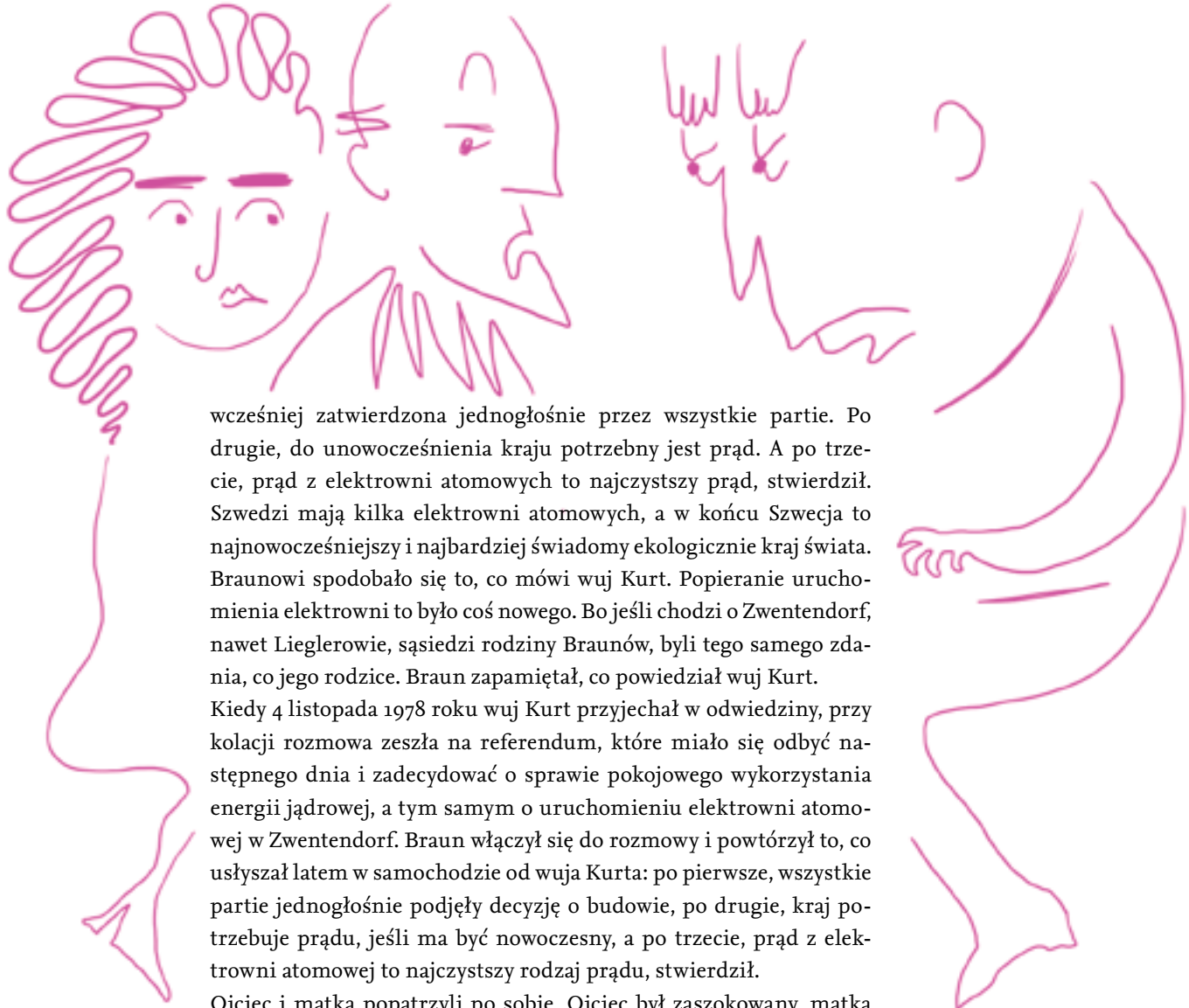
Braun zastanawiał się, jak długo powinno się posiedzieć przy chorym, żeby nie wyglądało to na nieuprzejmość. Godzinę? Jeśli tak, to jeszcze do tego daleko.

Poszedł do łazienki, żeby zyskać dwie, trzy minuty. Na korytarzu rozglądał się za ładną pielęgniarką. Zaglądał do otwartych pokoi i przez szybę do dyżurki pielęgniarek. Ani śladu. W łazience zdezynfekował dłonie i stwierdził, że podoba mu się zapach środka odkażającego. W zasadzie wszystko tu mu się podobało, poza tym, że musi siedzieć przy wuju Kurcie. Braun mu nie współczuł. Wuj Kurt miał osiemdziesiąt sześć lat i był kłamcą. Braun wrócił do jego pokoju.

— Silvia nie przyszła? — spytał wuj Kurt. W zasadzie nie było to pytanie, tylko zarzut. No, ale przynajmniej pamiętał imię Silvii, czyli że pamięć mu jeszcze funkcjonuje. W dzieciństwie Braun bardzo lubił wuja Kurta. Ale tylko do 4 listopada 1978 roku.

Kiedyś, latem 1978 roku, Braun jechał z wujem Kurtem samochodem, nie pamiętał już dokąd. To zresztą nieważne. Ważne było to, że podczas jazdy wuj Kurt oświadczył, że uważa protesty przeciwko uruchomieniu elektrowni atomowej w Zwentendorf za pozbawione sensu. Po pierwsze, budowa elektrowni została dziesięć lat





wcześniej zatwierdzona jednogłośnie przez wszystkie partie. Po drugie, do unowocześnienia kraju potrzebny jest prąd. A po trzecie, prąd z elektrowni atomowych to najczystszy prąd, stwierdził. Szwedzi mają kilka elektrowni atomowych, a w końcu Szwecja to najnowocześniejszy i najbardziej świadomy ekologicznie kraj świata. Braunowi spodobało się to, co mówi wuj Kurt. Popieranie uruchomienia elektrowni to było coś nowego. Bo jeśli chodzi o Zwentendorf, nawet Lieglerowie, sąsiedzi rodziny Braunów, byli tego samego zdania, co jego rodzice. Braun zapamiętał, co powiedział wuj Kurt.

Kiedy 4 listopada 1978 roku wuj Kurt przyjechał w odwiedziny, przy kolacji rozmowa zesłała na referendum, które miało się odbyć następnego dnia i zadecydować o sprawie pokojowego wykorzystania energii jądrowej, a tym samym o uruchomieniu elektrowni atomowej w Zwentendorf. Braun włączył się do rozmowy i powtórzył to, co usłyszał latem w samochodzie od wuja Kurta: po pierwsze, wszystkie partie jednogłośnie podjęły decyzję o budowie, po drugie, kraj potrzebuje prądu, jeśli ma być nowoczesny, a po trzecie, prąd z elektrowni atomowej to najczystszy rodzaj prądu, stwierdził.

Ojciec i matka popatrzyli po sobie. Ojciec był zaszokowany, matka kręciła tylko głową. Braun był całkiem spokojny, bo miał pewność, że wuj Kurt zaraz zabierze głos i poprze jego słowa. Wuj Kurt jednak tylko jadł i milczał.

—— Skąd on to wziął? —— zastanawiała się matka.

—— Od nas na pewno nie —— stwierdził ojciec.

A kiedy wuj Kurt przełknął wreszcie ostatni kęs, powiedział:

—— Wiecie, jak to jest, dzieciaki podchwyting różne rzeczy.

A w następnym zdaniu oświadczył, że oczywiście będzie głosował przeciwko elektrowni.

Pielęgniarka znowu weszła do pokoju. Wuj Kurt nie zwrócił na nią uwagi albo po prostu jej nie widział.

—— Przynies mi pistolet! Chcę umrzeć. Nie, nie umrzeć, chcę być martwy.

Ciekawe, jak długo przy tym wytrwa?



— A pan znowu o umieraniu? — spytała pielęgniarka. Powiedziała to bez śladu cudzoziemskiego akcentu. Braun zastanawiał się, skąd może pochodzić. Stała przy łóżku i bardzo długo patrzyła wujowi Kurtowi w oczy. Ani na moment nie odwróciła wzroku. Braunowi się to spodobało. Pielęgniarka była malutka. Braunowi to się podobało. Uśmiechała się. Braunowi to się podobało. Wszystko w niej mu się podobało.

— Umrze pan jeszcze przed kolacją? — spytała pielęgniarka i zaśmiała się. Ponieważ wuj Kurt nie odpowiadał, wyszła z pokoju. W drzwiach zawołała jeszcze: — W takim razie na wszelki wypadek jednak przyniosę panu jedzenie!

Wuj powiedział, że jest pół Kubanką, pół wiedenką. To było jedyne przyjemne zdanie, jakie wypowiedział tego dnia. Pielęgniarka zdążyła już jednak wyjść i Braun postanowił, że zostanie jeszcze dziesięć minut i też pójdzie.

Braun dokładnie pamiętał, jak tamtego dnia, 4 listopada 1978 roku, kiedy wuj Kurt już sobie poszedł, matka kładła go spać. Braun przez cały wieczór prawie się nie odzywał, co matka przypuszczalnie zauważyła.

— Co z tobą? Chory jesteś czy co? — spytała.

— Chcę, żeby wuj Kurt umarł — powiedział Braun.

Matka porządnie go zrugala, napominając, że nie wolno tak mówić. Ani nawet myśleć. Nadal jednak była dla niego czuła i pogłaskała go po głowie.

— A co ty masz do wuja Kurta? — spytała w końcu.

— On kłamie — odpowiedział Braun.

— No ale przecież to jeszcze nie powód, żeby życzyć komuś śmierci!

— Jak się nazywa ta Kubanka? — spytał Braun.

Wuj Kurt z początku zachowywał się tak, jakby go nie usłyszał, ale po chwili powiedział:

— Maria albo Pia, albo jakoś podobnie.

A potem zaczął się uskarżać na słabnącą pamięć.

— Jak zagłosowałeś w sprawie elektrowni w Zwentendorf? Za czy przeciw? — spytał Michael Braun.

Wuj Kurt sięgnął po pilota od łóżka i ustawił oparcie trochę wyżej.

— To było dawno temu. Kiedy dokładnie? — spytał.

— Piątego listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego — odpowiedział Braun.





Wuj Kurt skinął głową.

— Masz doskonałą pamięć, zawsze miałeś doskonałą pamięć.

Braun powtórzył pytanie:

— Jak wtedy zagłosowałeś?

Tym razem wuj Kurt nawet się nie zastanawiał:

— Przeciw. Zawsze byłem przeciwny energii atomowej.

Parę minut później Braun wyszedł. Przechodząc obok stanowiska pielęgniarek, popatrzył na tablicę z rozpisanymi dyżurami i znalazł kubańską pielęgniarkę: Mia Wertmann. A więc wcale nie żadna Maria czy Pia. Zdjęcie wyglądało na bardzo stare. Ona wcale tak nie wygląda, pomyślał Braun.

Dwa dni później jego życzenie co do śmierci wuja się spełniło. Zadzwoiła matka. Braun był akurat pod prysznicem, więc kiedy wyszedł z łazienki, Silvia powiedziała do niego:

— Twój wuj zmarł.

I w ten sposób Michael Braun nigdy już nie zobaczył siostry Mii Wertmann — pół Kubanki, pół wiedeński.

Przekład powstał dzięki wsparciu  
Austriackiego Forum Kultury

layout  
Patrycja Kucik  
ilustracje  
Mateusz Kaufhold

# POCZĄTEK ZIMY

KIM AE-RAN  
przełożyła  
JUSTYNA NAJBAR-MILLER

Po północy żona zaproponowała, żeby się zabrać za tapetowanie.  
— Teraz?  
— Uhm.

Przez chwilę się wahałem, ale w końcu powiedziałem: „No dobra” i wstałem z kanapy. Żona już od dawna pierwsza niczego nie proponowała. Poszedłem na balkon i wyciągnąłem tapetę ze schowka. Była to tapeta samoprzylepna, którą kupiliśmy w hipermarkecie jakiś czas temu. Dwadzieścia kilka tysięcy wonów za rolkę. Nie była szeroka, ale na długość miała ponad dziesięć metrów, więc wydawała się ciężka. Trzymając ją w ręku, zacząłem czytać instrukcję i ogarnęło mnie rozdrażnienie, dlatego kątem oka zerknąłem na lampę w salonie. A potem, wbijając wzrok w instrukcję, głośno zawołałem:  
— Naprawdę o tej porze?

Miesiąc wcześniej przyjechała nas odwiedzić moja matka. Pod pretekstem, że na chwilę zajmie się domem, skoro my nie mamy do tego głowy. Już pierwszego dnia, jak tylko się rozpakowała, zaczęła z wielkim entuzjazmem zamiatać i pucować wszystkie kąty. Posegregowała pocztę, rozebrała na części zakurzony wiatrak i po kolei wyczyściła jego skrzydełka, podlała przywidyły kauczukowiec. Przyrządziła wieprzowinę z jajami przepiórczymi w sosie sojowym, a sardelki usmażyła z zielonymi papryczkami, aż w całym domu uniósł się gryzący zapach, podpiekła suszone wodorosty, zamarynowała liście sezamu i zrobiła porządek w zamrażarce. Żona patrzyła na to wszystko zrezygnowanym wzrokiem. Jakby w milczeniu znosiła tę pozbawioną złośliwości ingerencję i zrzęczenie starszej pani. Albo raczej nie zauważała czy też nie chciała zauważyć. Nie docierało do niej, po co te wszystkie starania mojej matki, która nie potrafiła inaczej wyrazić współczucia. Za bardzo cierpiała, żeby to do niej dotarło.

Dziesięć dni po przyjeździe matki zdarzył się mały wypadek. W środku nocy w kuchni rozległ się wielki huk, a gdy tam dobiegłem, matka siedziała na ziemi oblana ciemnoczerwonym płynem. Wyglądała na oszołomioną, jakby zasypała ją lawina krwi i ludzkich szczątków w zamachu terrorystycznym. W ręce trzymała cylindryczną butelkę. Było to wino malinowe nadesłane jakiś czas temu z pobliskiego przedszkola. Nawet go nie tknęliśmy, zamierzając odesłać, ale za długo się ociągaliśmy i najwyraźniej eksplodowało po otwarciu. Ciemnoczerwona ciecz rozbrzygnęła się nie tylko na białą piżamę matki, ale również na stół i podłogę, na maszynkę do gotowania ryżu i czajnik elektryczny. Szczególnie ucierpiała ściana przy stole: jasną, oliwkową tapetę pokrywały w całości nieregularne czerwone plamy, jak gdyby ktoś coś nabazgrał na ścianie, żeby obrazić sąsiada.  
— Jajku, co się stało! — Matka rozejrzała się wokół ze speszoną miną. — Tak mi zaschło w gardle... A że wy tego nie pijecie...  
Szybko podałem jej rękę i pomogłem wstać.  
— Mamo, wszystko w porządku? Nic ci się nie stało?

Na co matka zaczęła powtarzać zdania w stylu: „Jestem stara i głupia”, „Kto widział, żeby sprzedawać produkty niezdatne do spożycia?!", „W butelce musiało być dużo gazu”. I zamiast pójść od razu do łazienki, nawinęła na rękę papierowy ręcznik kuchenny i zaczęła wycierać podłogę. Choć zazwyczaj marudziła, że po co marnujemy tyle papieru, przecież wystarczy użyć ścierki i ją przepłukać.  
— Zostaw, mamo. Ja to zrobię.

Nachylając się, pytając spojrziałem na żonę. „Prawda, kochanie? My się tym zajmiemy?” Chciałem dyskretnie uzyskać potwierdzenie.

Jednak Mi-jin, która do tej pory stała obok mnie w bezruchu, niespodziewanie zakłępa pod nosem:

— Ożeż...

Matka przestała wycierać podłogę, uniosła głowę i spojrzała na Mi-jin. Zapadła cisza. Po ścianie kropla po kropli spływał ciemnoczerwony, lepki płyn, pozostawiając długie, pionowe smugi. Żona nie zważała jednak na atmosferę, która zrobiła się niezręczna, i brnęła dalej:

— Co to ma znaczyć?

— Mi-jin.

Delikatnie chwyciłem ją za rękę, żeby dała spokój, a wtedy krzyknęła z rozpaczą i nie wiadomo było, czy się gniewa, czy prosi o zrozumienie:

— Gorzej być już nie może!

Przeprowadziliśmy się tutaj wiosną ubiegłego roku. Było to dwudziestoletnie mieszkanie, którego powierzchnia przy uwzględnieniu części wspólnej wynosiła siedemdziesiąt dziewięć, a rzeczywista powierzchnia użytkowa — pięćdziesiąt sześć metrów kwadratowych. Wszyscy nam powtarzali, że w takich czasach brać kredyt to szaleństwo, ale trafiła się tania oferta z licytacji komorniczej i trudno było z niej zrezygnować. W większości przypadków różnica pomiędzy ceną mieszkania i depozytem wpłaconym przy jego wynajmie i zwracanym przy rozwiązaniu umowy nie była duża. Trudno było znaleźć odpowiedni lokal do wynajęcia, a poza tym mieliśmy już dość przeprowadzek. Po długich debatach zdecydowaliśmy się na kupno mieszkania, zaciągawszy uprzednio pożyczkę na ponad połowę jego wartości. Przygnębiająca była myśl o kapitale i odsetkach, które mieliśmy spłacać co miesiąc przez kilkadziesiąt lat. Pocieszał nas jednak fakt, że zamiast napychać czyjąś kabzę, inwestujemy we własną przestrzeń. Ktoś mógłby oponować, że nie jest to wcale nasz dom, a czyjaś ogromna kieszeń, ale nie mogliśmy nic na to poradzić. Żona cieszyła się, że Yōng-u nie będzie już dłużej musiał zmieniać przedszkoli. Mówiła, że to

jej najbardziej odpowiada. Podobało jej się, że wokół jest dobra infrastruktura i świeże powietrze w porównaniu z Seulem.

— Mi też się tu podoba. — Yōng-u, który często się wtrącał w dorosłe rozmowy, kiedy bawił się sam klockami albo przeglądał książki z obrazkami, również tamtego dnia dorzucił swoje trzy grosze.

— Czemu, Yōng-u? Co ci się podoba? — zapytała go żona tonem pełnym oczekiwania, bo w tamtym czasie jego wypowiedzi były wyjątkowo oryginalne i zaskakujące. Jeszcze zanim usłyszała odpowiedź, miała uradowaną minę, jak gdyby się cieszyła, że coś mu mogliśmy zapewnić jako rodzice.

— Jest dużo brum-brum. Lubię autka — niewinnie odpowiedział Yōng-u, jak zwykle śliniąc się i wysuwając jasnoczerwony języczek.

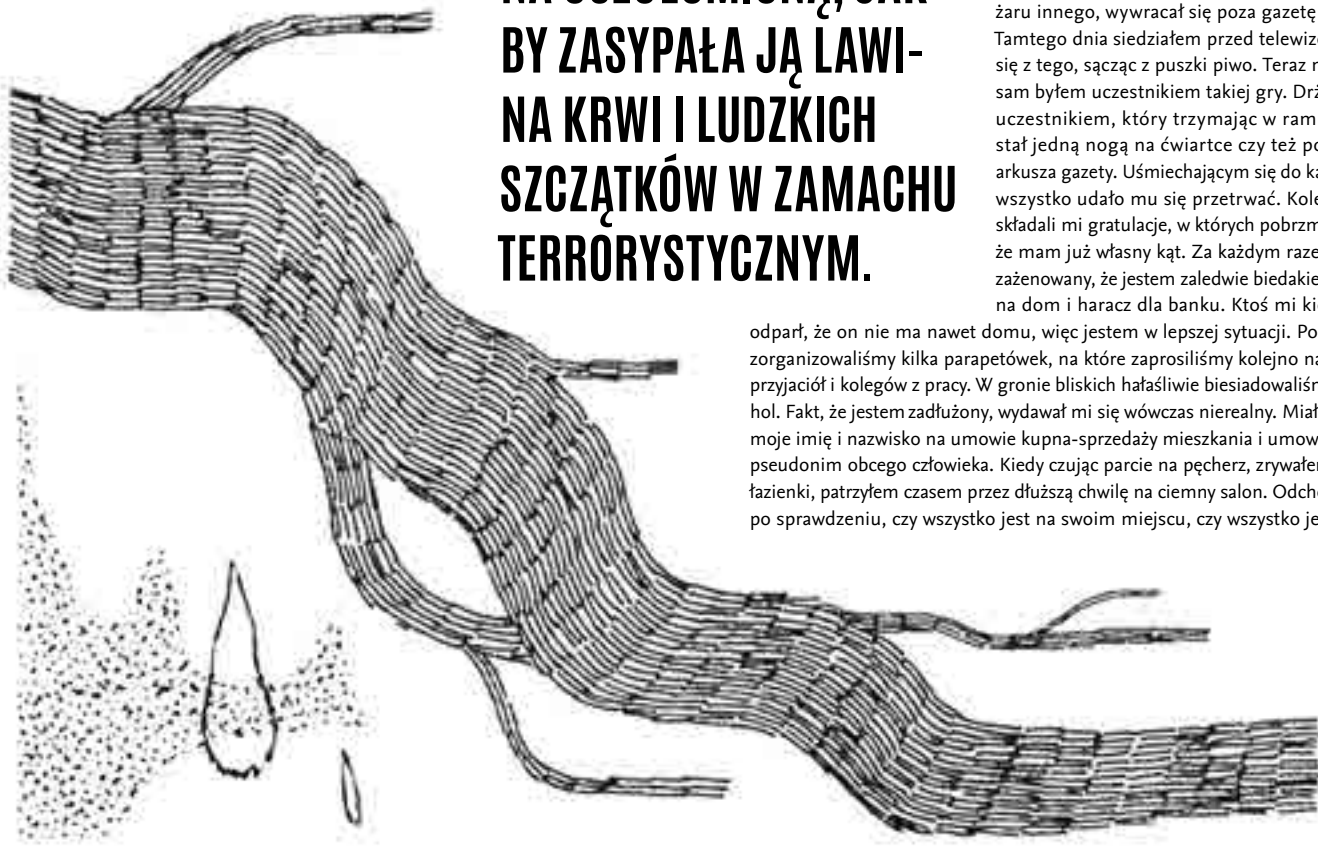
Społgądał wtedy na widoczną z balkonu ośmiopasmową jezdnię i sunącą po niej w godzinach szczytu długi sznur pojazdów.

Długo nie mogłem uwierzyć, że mam własny dom. Jakby był mój jedynie z nazwy i tak naprawdę jeszcze do mnie nie należał. Przez ponad dwadzieścia lat pomieszkawałem w wynajmowanych pokojach, czułem więc, jakbym w końcu zapuścił gdzieś cienkie, delikatne korzenie. Całym sobą doświadczałem entuzjazmu i wycieńczenia małego ziarenka, które z wielkim trudem wbiło swój korzonek w głąb ziemi. Kiedy po

powrocie z pracy brałem prysznic i kładłem się do łóżka, ogarniały mnie jednocześnie dziwna duma i niepokój. To uczucie, że po wielkich trudach wreszcie dotarłeś do celu. Wraz z ulgą, że nawet jeśli to nie centrum, to i nie peryferie, ogarniało mnie potworne zmęczenie. Zbierało się na nie zmęczenie myśleniem, jak bardzo będę zmęczony, wyczerpanie płynące ze świadomości, czym jest wyczerpanie. Starałem się jednak odganiać od siebie złe myśli. Chciałem wierzyć, że wybrałem mniejsze zło w porównaniu z wieloma ludźmi, na których barkach spoczywała odpowiedzialność za rodzinę. I w pewnym stopniu była to prawda. Miałem przecież jakąś wolność wyboru, nawet jeśli niewielką. Kiedy po podpisaniu umowy kupna-sprzedaży wróciłem do domu i włączyłem telewizję, leciał w niej właśnie program rozrywkowy, w którym celebryci brali udział w „zabawie z gazetą”. Polegała ona na tym, że jak największa liczba uczestników miała się jak najdłużej utrzymać na powierzchni gazety, której stopniowo ubywało. Uczestnicy, spleciani ze sobą, dawali z siebie wszystko, robiąc komiczne miny. Aż w końcu któryś z nich nie wytrzymał ciężaru innego, wyrwał się poza gazetę i wypadł z gry. Tamtego dnia siedziałem przed telewizorem i śmiałem się z tego, sącząc z puszek piwo. Teraz myślę jednak, że sam byłem uczestnikiem takiej gry. Drżącym z wysiłku uczestnikiem, który trzymając w ramionach rodzinę, stał jedną nogą na ćwiartce czy też połowie ćwiartki arkusza gazety. Uśmiechającym się do kamery, bo mimo wszystko udało mu się przetrwać. Koledzy ze studiów składali mi gratulacje, w których pobrzmiwała zazdrość, że mam już własny kąt. Za każdym razem tłumaczyłem zażenowany, że jestem zaledwie biedakiem, który zarabia na dom i haracz dla banku. Ktoś mi kiedyś bezczelnie

odparł, że on nie ma nawet domu, więc jestem w lepszej sytuacji. Po przeprowadzce zorganizowaliśmy kilka parapetówek, na które zaprosiliśmy kolejno naszych rodziców, przyjaciół i kolegów z pracy. W gronie bliskich hałaśliwie biesiadowaliśmy i piliśmy alkohol. Fakt, że jestem zadłużony, wydawał mi się wówczas nierealny. Miałem wrażenie, że moje imię i nazwisko na umowie kupna-sprzedaży mieszkania i umowie kredytowej to pseudonim obcego człowieka. Kiedy czując parcie na pęcherz, zrywałem się w nocy do łazienki, patrzyłem czasem przez dłuższą chwilę na ciemny salon. Odchodziłem dopiero po sprawdzeniu, czy wszystko jest na swoim miejscu, czy wszystko jest dopilnowane.

## W ŚRODKU NOCY W KUCHNI ROZLEGŁ SIĘ WIELKI HUK, A GDY TAM DOBIEGŁEM, MATKA SIEDZIAŁA NA ZIEMI OBLANA CIEMNOCZERWONYM PŁYNEM. WYGLĄDAŁA NA OSZOŁOMIONĄ, JAKBY ZASYPAŁA JĄ LAWINA KRWI I LUDZKICH SZCZĄTKÓW W ZAMACHU TERRORYSTYCZNYM.





**P**rzez ponad pół roku żona z zapałem dekorowała mieszkanie. Po przeprowadzce w każdej wolnej chwili wyszukiwała i wprowadzała w życie porady w rodzaju: „jak urządzić małe mieszkanie”, „odnawianie mebli” czy „DIY — zrób to sam”. Od samego początku o wiele bardziej niż ja pragnęła wreszcie gdzieś się osiedlić. W czasach studenckich mieszkała w akademiku, a po ukończeniu studiów, kiedy pracowała jako korepetytorka, pomieszkiwała w tak zwanych „czytelniach”, które oferowały tani kwaterek. Codziennie zamiast na materacu układała się do snu na takiej samej aluminiowej macie, jaką ludzie zabierają na grilla albo piknik, bo wygodnie się ją nosi i beztrudno wyrzuca. Żona trzykrotnie podchodziła do egzaminów na urzędniczą służbę cywilnej pierwszego stopnia i trzy razy je oblała, więc zamiast zostać urzędniczką, zatrudniła się w biurze prywatnej szkoły w Noryangjin, oferującej kursy dla osób planujących taką karierę. Po ślubie leczyła się z powodu niepłodności i dwa razy poroniła, ale w końcu urodził nam się Yōng-u. Pięć razy się przeprowadziliśmy i w końcu kupiliśmy dom. To wszystko wydarzyło się w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Po zakupie mieszkania w każdy wolny dzień moja żona bez przerwy coś cięta, malowała i składała. Odnawiała łóżko, krzesła, stół i szafki, których używaliśmy przez blisko dziesięć lat. Czy przemalowała na kremowo brązowe krzesła, czy stary stolik pokryła pomarańczową farbą, w domu robiło się coraz piękniej. W czasie pracy szczerze zamykała balkon, żeby Yōng-u nie miał dostępu do piły, gwoździ czy młotka. Nasz synek przyklejał nos do przeszkłonych drzwi balkonu, marudząc albo płacząc. Przytulałem go wtedy i zabierałem na plac zabaw. Jeszcze kilka miesięcy po przeprowadzce w domu unosił się zapach farby, kleju i lakieru. To Mi-jin wybrała taką strategię, rozczarowana cenami „mebli w stylu północnoeuropejskim” czy „skandynawskich tkanin”. Najwyraźniej chciała jak najmocniej odczuć to, że w końcu zamieszkała gdzieś na stałe. Jak gdyby znudziły się jej przestrzenie urządzone praktycznie i użytecznie, jak gdyby dość już miała mieszkania w otoczeniu brzydkich przedmiotów. Chciała odnaleźć w przedmiotach coś poza funkcjonalnością, mieć z życia coś więcej niż vegetację.

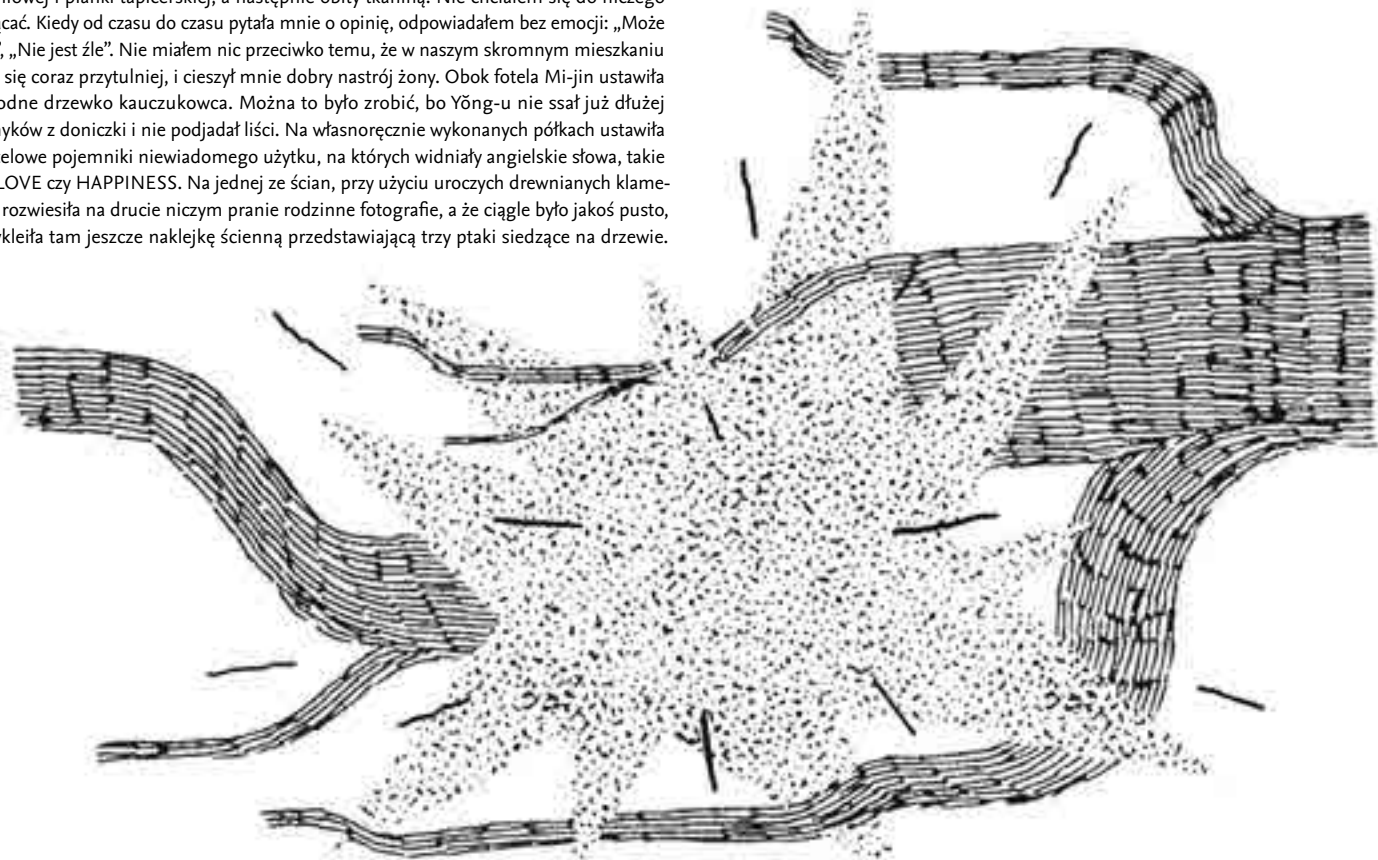
**N**ajwięcej wysiłku włożyła z pewnością w urządzenie kuchni i salonu. W salonie ustawiła fotel kupiony w sklepie internetowym. Był to niedrogi mebel wykonany z płyty pilśniowej i pianki tapicerskiej, a następnie obity tkaniną. Nie chciałem się do niczego wtrącać. Kiedy od czasu do czasu pytała mnie o opinię, odpowiadałem bez emocji: „Może być”, „Nie jest źle”. Nie miałem nic przeciwko temu, że w naszym skromnym mieszkaniu robi się coraz przytulniej, i cieszył mnie dobry nastrój żony. Obok fotela Mi-jin ustawiła dorodne drzewko kauczukowca. Można to było zrobić, bo Yōng-u nie ssał już dłużej kamyków z doniczki i nie podjadał liści. Na własnoręcznie wykonanych półkach ustawiła pastelowe pojemniki niewiadomego użytku, na których widniały angielskie słowa, takie jak LOVE czy HAPPINESS. Na jednej ze ścian, przy użyciu uroczych drewnianych klamek, rozwiesiła na drucie niczym pranie rodzinne fotografie, a że ciągle było jakoś pusto, przykleiła tam jeszcze naklejkę ścienną przedstawiającą trzy ptaki siedzące na drzewie.

## **CZUŁEM WIĘC, JAKBYM W KOŃCU ZAPUŚCIŁ GDZIEŚ CIENKIE, DELI- KATNE KORZENIE. CAŁYM SOBĄ DOŚWIADCZAŁEM ENTUZJAZMU I WYCIEN- CZENIA MAŁEGO ZIAREN- KA, KTÓRE Z WIELKIM TRUDEM WBIŁO SWÓJ KORZONEK W GŁĄB ZIEMI.**

**M**ały pokój naprzeciw kuchni przeznaczaliśmy dla Yōng-u. Nigdy wcześniej nie miał swojego pokoju. Ponieważ uwielbiał chować się po kątach, żona kupiła na targu materiał i własnoręcznie uszyła wigwam. Nasz synek od małego lubił się gdzieś wczoić, wkładać do buzi kłęby kurzu albo przyglądać z uwagą włosom leżącym na podłodze. Mi-jin zawiesiła w oknie jego pokoju rolety z samochodzikiem policyjnym Robocar Poli, a na drzwiach przykleiła plakat z literkami koreańskiego alfabetu. Przy pierwszej literce znajdowała się podobizna psa, a przy drugiej — motyla. Mniej więcej w tym czasie Yōng-u przyswajał alfabet. Nie miał chyba jednak do tego zdolności albo był jeszcze za mały, bo kiedy wkładaliśmy mu do ręki ołówki albo kredki, zazwyczaj gryzmołił coś innego i brudził podłogę, którą Mi-jin tak pieczołowicie wyczyściła. Chociaż żonie rzadko zdarzało się podnosić głos, krzyczała za każdym razem, gdy dziecko nabałagało w mieszkaniu, które urządziła z takim trudem. Czasami trochę przesadzała. Yōng-u zupełnie się nią nie przejmował, codziennie obślinał różne przedmioty, darł książki z obrazkami, kołysał się na prawo i lewo w rytm muzyki albo bawił pod stołem. Czasem wchodził też do stożkowatego wigwamu i coś tam mówił po swojemu, aż w końcu zasypiał. Z zupełnie bezbronną twarzączką. Spał tak niewinnie, że aż serce bolało, kiedy się na niego patrzyło. Niesamowite, jak się zmieniał i nabierał ciała nawet w czasie krótkiej drzemki. Rósł jak

na drożdżach, aż naprawdę było mi szkoda, że dzieci tak szybko rosną. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, jaki ślad pozostawiają pory roku i jaką rolę odgrywa czas. Co czyni marzec, a co lipiec. Albo co czyni maj, a co wrzesień.

**K**iedy po raz pierwszy przyszlismy obejrzeć to mieszkanie, największe wrażenie zrobiła na nas ściana w kuchni. Miała emanować „pięknem” pośród zniszczonych, porzucanych sprzętów, ale jej przesadna dekoracyjność aż biła po oczach. Oklejona była kwiecistą tapetą wyłaczaną we wzór, który już dawno wyszedł z mody: wiązki ohdnych czerwonych tulipanów. Jej tło było białe, upstrzone żółtymi plamami i muszymi odchodami czy też jakimiś czarnymi punktami niewiadomego pochodzenia. Żona przyglądała się



ścianie z surową miną. Po czym szepnęła mi, że gdyby była właścicielką tego mieszkania, przykleiła by proste i jasne tapety. Że ważna jest powierzchnia, aranżacja wnętrza i dobór kolorów. Udawała specjalistkę, zarzucając poprzednim właścicielom nieumiejętny wystrój wnętrza. Tymczasem zajęta pracą i wychowaniem dziecka, nie miała nawet czasu, żeby pójść do fryzjera.

— U nas w domu też jest niezły rozgardiasz.

Zaprotestowała, robiąc wielkie oczy:

— Przecież my mamy małe dziecko.

Reagowała bardzo nerwowo, kiedy chociaż trochę krytykowałem jej sposób prowadzenia domu czy metody wychowawcze.

— W tym domu też chyba było dziecko?

Nadała się, kiedy wskazałem na przyklejoną na włączniku światła naklejkę ze śmieszną larwą z kreskówki.

— Nasze mieszkanie jest dużo mniejsze. Na małej przestrzeni nie widać wkładu pracy.

Zanim się wprowadziliśmy, żona zaczęła remont właśnie od tej ściany. Wstąpiła do pobliskiego punktu aranżacji wnętrz i poprosiła, żeby wytapetować kuchnię i salon na biało, ale ścianę naprzeciw zlewu okleić oliwkową tapetą. Zielony akcent naturalnie ożywił białą przestrzeń. Mi-jin miała rację: w domu zrobiło się przyjemnie i przestronnie. Pod ścianą stanął czteroosobowy stół. Przyjemny mebel, którego pomarańczowy blat był osadzony na matowych kremowych nóżkach. Używaliśmy go jako stołu do posiłków i picia herbaty, a także jako biurka. Na jego brzegu żona ustawiła czajnik elektryczny, torebki z zieloną i ziołową herbatą, multiwitaminy i orzechy. Obok nich stały przezroczyste słój z ziarnami kawy i młynek. Sam jego widok wprowadził nas w dobry nastrój. To właśnie przy tym czteroosobowym stole codziennie zasiadaliśmy do posiłku. Kiedy czasami odwiedzali nas goście, rostawialiśmy stół w salonie, ale w gronie rodzinnym zazwyczaj jedliśmy przy stole w kuchni. Ja i Mi-jin siadaliśmy na ławce bez oparcia, a Yōng-u na specjalnym krzeselku dla dzieci. Nauczyłem się wtedy, że dni mijają na takich błahych, banalnych czynnościach, te dni składają się na pory roku, a pory roku — na ludzkie życie. Kiedy patrzyłem na trzy szczoteczki do zębów wetknięte do kubka w łazience, wiszące na suszarce skarpetki w różnych rozmiarach i uroczą dziecięcą nakładkę na WC, docierało do mnie, jak cudowny i wyjątkowy jest ten widok, te najzwyczajniejsze na świecie przedmioty.

Nie rozmawiałem z żoną o tym, co się wydarzyło, kiedy eksplodowała butelka z winem. Następnego dnia moja matka wróciła do domu, a my staraliśmy się żyć zwyczajnie, jak gdyby nigdy nic się nie stało. Dni podobne do siebie, niekończące się dni, dni ze świadomością, że, tak jak powiedziała Mi-jin, „gorzej być już nie może”. Niekiedy miałem wrażenie, że to, co ludzie nazywają „czasem”, mija szybko jak przewijany do przodu film. Tak jakby wszystko oprócz nas kręciło się w kółko: krajobrazy, pory roku, świat. Wydawało mi się, że ten krąg stopniowo się zaciera, tworząc wir wciągający naszą rodzinę do środka. To on powodowało, że kwiaty kwitły i wiał wiatr, że topniał śnieg i kiełkowały rośliny. Czas zdawał się płynąć dla kogoś innego.

Wiosną ubiegłego roku straciliśmy Yōng-u. Zginął na miejscu, potrącony przez jadący na wsteczny przedszkolny samochód. Miał cztery lata i trzy miesiące. Nie doświadczył już w pełni piątej wiosny i lata, zimy i jesieni. Nie mogliśmy już objąć ani dotknąć naszego synka, który zupełnie tak samo jak dzieci w jego wieku psocił i był tak niegrzeczny, że doprowadzał nas do szewskiej pasji, ale kiedy nas obejmował, klepał delikatnie po plecach grubiutką rączką, jak gdyby ktoś go tego nauczył. Nic już nie

**DNI MIJAJĄ NA TAKICH  
BŁAHYCH, BANALNYCH  
CZYNNOŚCIACH, TE  
DNI SKŁADAJĄ SIĘ NA  
PORY ROKU, A PORY  
ROKU – NA LUDZKIE ŻY-  
CIE. KIEDY PATRZYŁEM  
NA TRZY SZCZOTECZKI  
DO ZĘBÓW WETKNIĘTE  
DO KUBKA W ŁAZIENCIE,  
WISZĄCE NA SUSZARCE  
SKARPETKI W RÓŻNYCH  
ROZMIARACH I UROCZĄ  
DZIECIĘCĄ NAKŁADKĘ NA  
WC, DOCIERAŁO DO MNIE,  
JAK CUDOWNY I WYJĄT-  
KOWY JEST TEN WIDOK,  
TE NAJZWYKLEJSZE NA  
ŚWIECIE PRZEDMIOTY.**



mogło sprawić, żebyśmy znowu mogli go karcić, karmić, usypiać, pocieszać i całować. W krematorium żona nie powiedziała do niego: „Żegnaj!”, tylko życzyła słodkich snów. Obiema dłońmi gładziła jego zdjęcie, jak gdybyśmy się jeszcze mieli spotkać.

Dyrekcja przedszkola wykupiła ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej. Również pojazd, który spowodował wypadek, był ubezpieczony, więc otrzymaliśmy odszkodowanie. Wyplacono nam pewną sumę — trudno powiedzieć, małą czy dużą, bo nie sposób tego ocenić — więc najwyraźniej uznano, że sprawa została zamknięta. Zatrudniono nowego kierowcę i nawet przedszkolanka, która była na miejscu zdarzenia, została zwolniona, więc nikt nie rozumiał, czego jeszcze oczekujemy. Nie powiedziano nam tego wprost, ale było to czytelne w wyrazie twarzy i sposobie, w jaki się do nas zwracano. Ponieważ byłem pracownikiem firmy ubezpieczeniowej, mniej więcej w tym samym czasie w naszej okolicy zaczęły krążyć potworne plotki. Zadrzałem z niedowierzania, kiedy się o nich dowiedziałem. Co najgorsze, niektórzy ludzie rzeczywiście nie wierzyli. Żona zwolniła się z pracy, zamknęła w domu i przestała zajmować się czym-

kolwiek. Też bym tak zrobił, gdybym mógł. Ale co miesiąc z naszego konta schodziły raty kredytu, a opłaty za mieszkanie, różnego rodzaju rachunki za media, ubezpieczenia czy za telefon komórkowy były całkiem spore. Trudno je było pokryć wyłącznie z mojej pensji. Mniej więcej wtedy skontaktował się z nami pracownik firmy ubezpieczeniowej, w której przedszkole ubezpieczyło samochód. Spokojnym tonem złożył mi wyrazy współczucia i formalnym językiem objaśnił proces wypłaty ubezpieczenia. Po czym ostrożnie podał mi formularz. Rubryka, w której miałem wpisać imię i nazwisko oraz numer konta, była jeszcze pusta. Dobrze znałem ten wzór, nie musiał mi więc tłumaczyć, o co chodzi. Ja również, tak jak on, miałem czasem robić rzeczową minę w obliczu czyjegoś smutku. Przez jakiś czas siedziałem w milczeniu, wpatrując się w dokumenty, a potem wyszedłem na zewnątrz i wypaliłem jeden za drugim trzy papierosy. Rolą głowy rodziny jest naprawianie błędów i usuwanie szkód. Tak mnie uczono, kiedy byłem dzieckiem. Jednak wtedy wymyśliłem sobie, że jeśli wpiszę numer konta w formularzu, będę musiał wybaczyć dyrekcji przedszkola.

Sam nie wiem, jak przetrwaliśmy ten okres. Przypominam sobie jedynie mrok. Kiedy po przyjęciu z pracy zapalałem światło w kuchni, wylątała się w niej zapłakana twarz żony, kiedy włączałem światło w salonie, w kącie pojawiała się sylwetka żony, której ramiona trzęsły się od płaczu. Pamiętam tylko spleśniałe kimchi w lodówce i zepsute jajka, które po wbiciu do zupy roztaczały odrażający zapach, albo opadające na podłogę w salonie brązowe liście kauczukowca. Czasami Mi-jin wyglądała przez okno na balkonie i po raz kolejny dzieliła się tą samą refleksją:

— Yōng-u jest teraz w lepszym świecie. Lepszym niż ten, bo jest w nim nasz synek.

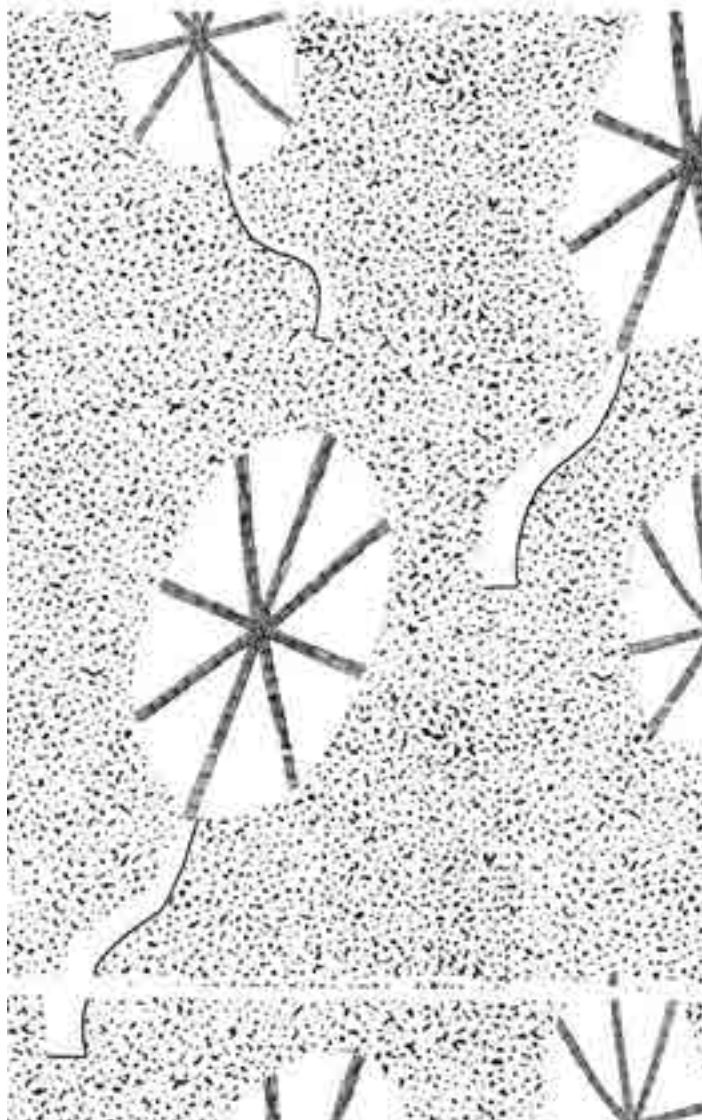
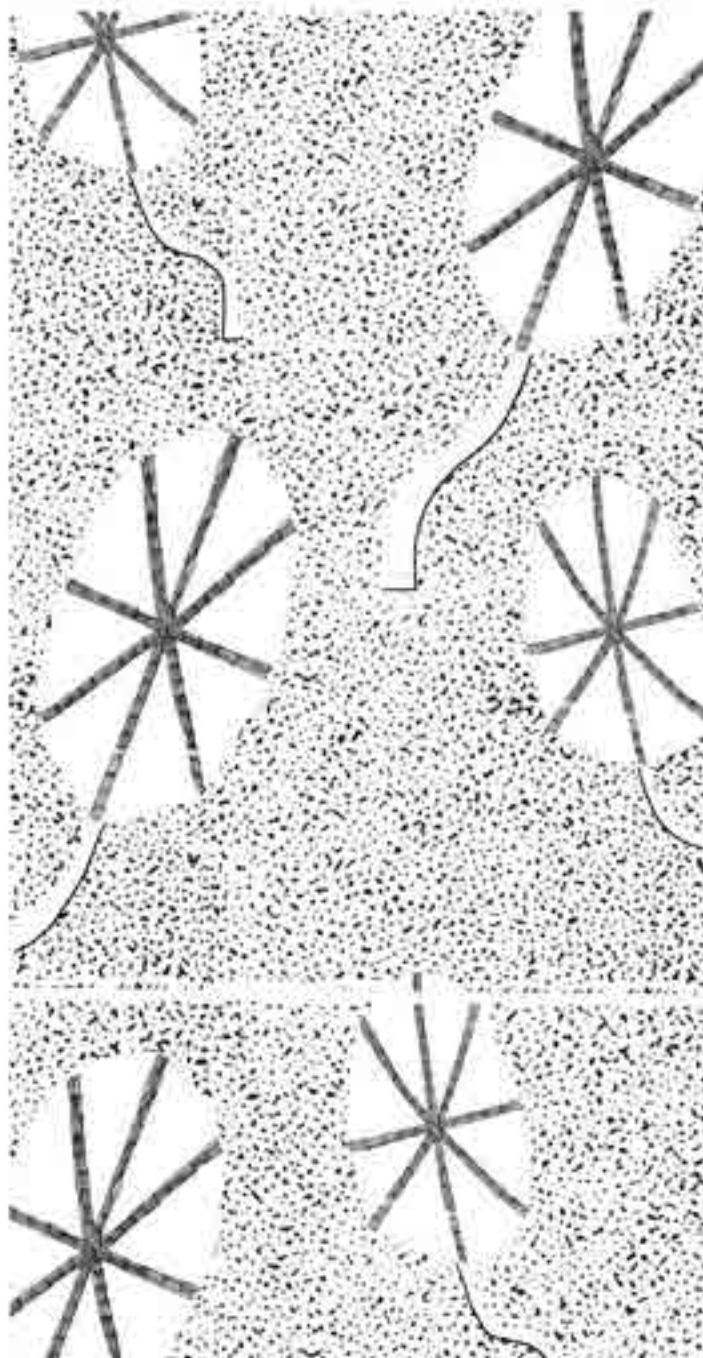
Zdarzyło się raz, że wyszła na zakupy z torbą na kółkach i wróciła po dziesięciu minutach. Kiedy ją spytałem, co się stało, powiedziała, że ludzie się na nią gapią, i chciała wiedzieć, czy na mnie również. Zapytałem,

co ma na myśli, a wówczas wyznała, że ludzie bez przerwy ją obserwują, że zerkają ukradkiem, jak się ubiera osoba, która straciła dziecko. Są ciekawi, czy się targuje i czy próbuje żywności w czasie degustacji w hipermarkecie. Przekonywałem, że to niemożliwe, że jest przewrażliwiona. Od tamtej pory zakupy robiła jednak głównie przez internet. Coraz rzadziej wychodziła z domu i coraz częściej przesiadywała na balkonie. Bałem się, że i ją tracę.

— Kochanie, a może się przeprowadzimy? — zapytałem, kiedy znów włączyłem światło i zobaczyłem, jak siedzi skulona w małym wigwamie.

Przytaknęła bez słowa z twarzą mokrą od łez. Nazajutrz, wracając z pracy, wstąpiłem do pobliskiej agencji nieruchomości. Cena rynkowa mieszkania spadła o ponad dwadzieścia milionów wonów w porównaniu z ubiegłym rokiem, kiedy je kupiliśmy. Wyszedłem z agencji nieruchomości i w zaułku przed domem wypaliłem jeden po drugim dwa papierosy. W końcu zrezygnowałem ze sprzedaży mieszkania, a żonie skłamałem, że najwyraźniej nie ma na nie kupca. Mieliśmy rzecz jasna subkonto, na które wpłynęło odszkodowanie, ale nie wydaliśmy z niego ani wona. Były to pieniądze, których nie wolno było ruszyć. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale panowało co do tego między nami milczące porozumienie.

**DNI PODOBNE DO SIEBIE,  
NIEKOŃCZĄCE SIĘ DNI,  
DNI ZE ŚWIADOMOŚCIĄ,  
ŻE, TAK JAK POWIEDZIAŁA  
MI-JIN, „GORZEJ BYĆ  
JUŻ NIE MOŻE”. NIEKIEDY  
MIAŁEM WRAŻENIE, ŻE  
TO, CO LUDZIE NAZYWA-  
JĄ „CZASEM”, MIJA  
SZYBKO JAK PRZEWI-  
JANY DO PRZODU FILM.  
TAK JAKBY WSZYSTKO  
OPRÓCZ NAS KRĘCIŁO SIĘ  
W KÓŁKO: KRAJOBRAZY,  
PORY ROKU, ŚWIAT.**



Kiedy przysłała przesyłka z przedszkola, patrzyliśmy na leżące w holu pudło jak na zły omen. Nie rozumieliśmy, o co tu właściwie chodzi. Na opakowaniu była nazwa firmy MACROBIOTIC FOOD oraz napis „Wino malinowe krajowej produkcji. Koncentrat 100%”. Gdy zerwaliśmy z kartonu taśmę klejącą, ze środka wypadła mała kartka. Widniały na niej konwencjonalne życzenia: „Zyczymy obfitości w Święto Dziękczynienia. Z podziękowaniami za okazane wsparcie. Przedszkole Słoneczko”. Zdarzyło się już kiedyś, że przysłano nam ładnie zapakowane ciasteczka *songpyŏn*, które dzieci ugniotły małymi rączkami, ale z czymś takim mieliśmy do czynienia po raz pierwszy. Przesyłka dotarła na nasz adres zapewne przez pomyłkę. Najwyraźniej w ten właśnie sposób przedszkole starało się naprawić reputację nadszarpniętą z powodu śmierci Yŏng-u. Nie wiedzieliśmy, czy to nowa przedszkolanka popełniła błąd, czy może książka adresowa nie została zaktualizowana. Żona uniosła się gniewem, nie mogąc zrozumieć, jak można być tak niewrażliwym na ludzkie cierpienie. Gorączkowała się, że jeśli przysłali nam tę paczkę celowo, to po prostu brak słów, ale jeśli nieświadomie, to jeszcze gorzej o nich świadczy. Uznałem więc, że schowam gdzieś pudło, a potem je odeślę. I tak minęły dwa miesiące.

Plamy wsiąkły w ścianę i za nic nie dawały się usunąć. Wycieraliśmy je mokrym zmywakiem do naczyń, szorowaliśmy magiczną gąbką do czyszczenia, ostrożnie dotykaliśmy wacikami nasączonymi zmywaczem do paznokci, ale na próżno. Po kilkakrotnym przecieraniu ściereczką niektóre miejsca przyblakły, ale nie udało się całkowicie usunąć plam. Im bardziej staraliśmy się to zrobić, tym bardziej wycieraliśmy samą tapetę. Nie było innego wyjścia niż przykleić nową.

Niedługo po tym, jak moja matka wróciła do siebie, poszedłem z żoną do hipermarketu. Już dawno nie byliśmy razem na zakupach. Popychając przed sobą pusty wózek, żona weszła na schody ruchome. Zjechaliśmy na poziom, na którym sprzedawano jarzeniówki, baterie i różne narzędzia, aż w końcu stanęliśmy przed regałem pełnym tapet. Na półkach leżały porządnie posortowane zwyczajne tapety, tapety samoprzylepne, okleiny i tradycyjny papier hanji. Wziąłem do ręki rolkę tapety samoprzylepnej i przeczytałem instrukcję. Występowały w niej frazy typu: „Wystarczy zanurzyć na pięć sekund w wodzie i po wszystkim”, „Łatwe i przyjemne tapetowanie”, „Nie potrzeba żadnych narzędzi”, „Nie trzeba zrywać wcześniej położonych tapet”. Wystarczyło przeczytać i człowiek nabierał pewności siebie, jakby już skończył tapetowanie.

— Może ta?

Żona zmarszczyła brwi.

— Wolałabym bez wzoru.

— Ta jest prawie gładka, więc chyba w porządku?

— Nie ma czegoś innego?

— Ten styl ci nie odpowiada?

— Nie.

— W porównaniu z innymi wydaje się najlepsza. Wzór jest delikatny i prawie go nie widać.

— ...

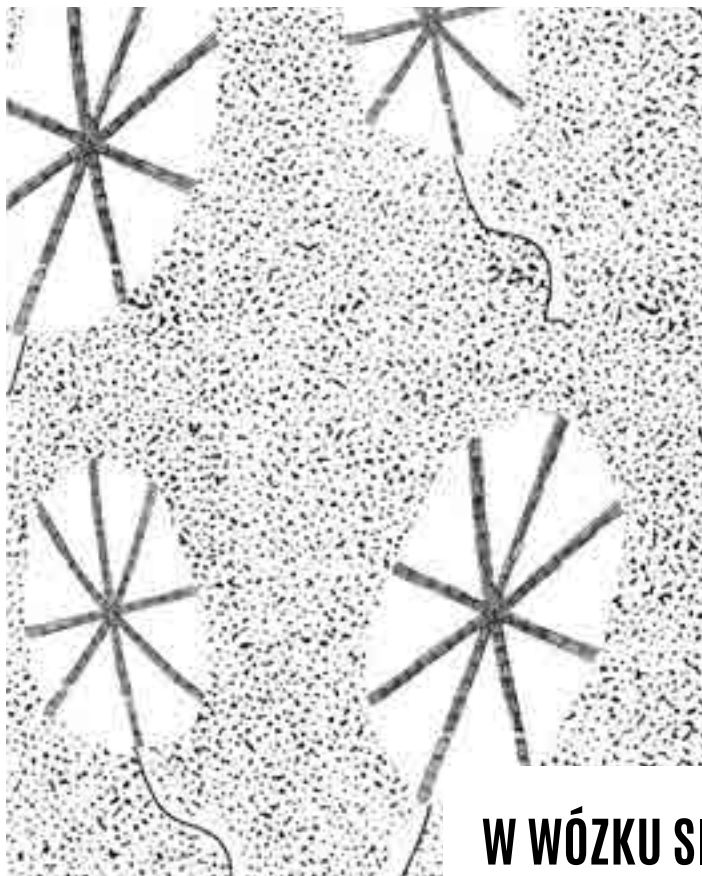
— Chcesz przyjść kiedy indziej?

Kręciła się nerwowo, unikając mojego wzroku.

— Po prostu... Kup taką, która ci się podoba.

Trzymając w ręku tapetę, uważnie spojrzałem na żonę. Zdziwiłem się, że kazała mi nagle podjąć decyzję, mimo że do tej pory decydowała o wszystkim, co dotyczyło wystroju wnętrza. Wyglądała, jak gdyby chciała natychmiast wyjść ze sklepu. Coś mnie tknęło i spojrzałem do tyłu: stała tam jakaś kobieta i oglądała tapety, trzymając uchwyt sklepowego wózka. W wózku siedział chłopczyk, który wyglądał, jakby miał cztery lata i trzy miesiące. W wilgotnej, lepkiej rączce trzymał ciastka w kształcie zwierzątek, tak uwielbiane przez naszego Yŏng-u.





## W WÓZKU SIEDZIAŁ CHŁOPCZYK, KTÓRY WY- GLĄDAŁ, JAKBY MIAŁ CZTERY LATA I TRZY MIESIĄCE. W WILGOT- NEJ, LEPKIEJ RĄCZCE TRZYMAŁ CIASTKA W Kształcie ZWIERZĄ- TEK, TAK UWIELBIANE PRZEZ NASZEGO YŌNG-U.

Po tym wszystkim żona całkiem zapomniała o tapetowaniu, jak gdybyśmy wcale nie poszli do sklepu. Nie wiedziałem, czy przestało ją to interesować, czy też straciła ochotę. „Później”, odpowiadała, kiedy po wcześniejszym niż zwykle powrocie z pracy albo w weekend pytałem: „Może weźmiemy się za tapetowanie?”. Zupewnie to do niej nie pasowało, bo była typem człowieka, który pod żadnym pozorem nie gromadzi brudnych naczyń w zlewie. Uważała nawet, że po zmywaniu wszystkie naczynia powinno się najlepiej wytrzeć do sucha. Cokolwiek by to było, wołała od razu wziąć się do roboty, uważając, że w ten sposób poczuje zapaf do działania. Kiedy myła niewielką kiść winogron, zanurzała ją najpierw w roztworze sody kuchennej, a potem kilka razy płukała wodą z kranu. Ściereczki czy ręczniki regularnie wybielała poprzez gotowanie ich w wodzie utlenionej czy też roztworze nadwęglanu sodu. Ta sama osoba zupełnie nie zważała na złowrogie ciemnoczerwone plamy na tapetach, plamy, które stopniowo czerniały jak ślady zaschniętej krwi. „Sam bym to zrobił, gdyby to było proste, ale do tapetowania potrzebuję twojej pomocy”, próbowałem perswadować, jednak nie przynosiło to żadnego skutku. Potem ja byłem zmęczony albo nie miałem na to ochoty, więc już dłużej nie nalegałem. Aż wreszcie właśnie tamtej sobotniej nocy, kiedy po północy oglądałem w salonie telewizję, oczy mi się kleiły i zastanawiałem się, czy nie czas iść do łóżka, zaproponowała w końcu, żeby się zabrać za tapetowanie.

— Mi-jin, możesz tam przytrzymać?

— Tu?

— Uhm.

Żona przycisnęła do podłogi koniec miarki. Gdyby końcówka miarki przybrała kształt przechylonej litery „L” i nie przylgnęła dokładnie do podłogi, na środku mogłoby powstać wybrzuszenie. Klęcząc na tapecie, delikatnie zaznaczyłem otówkiem okolicę dwóch metrów i trzydziestu centymetrów. Na wszelki wypadek doliczyłem dodatkowe trzy centymetry.

— Ile takich arkuszy będzie nam potrzeba?

— Trzy.

— Wystarczy nam tapety?

— Uhm. Damy radę.

Położyliśmy na podłodze trzy jednakowe arkusze tapety. Na jednolitym kremowym tle nadrukowano drobne białe kwiatki. To ja w końcu wybrałem ten wzór i wiedziałem, że żonie się nie podoba, ale miała minę, jakby było jej wszystko jedno. Na samym początku wzięliśmy ustawiony przy ścianie stół i zaniesiliśmy go do salonu. Mi-jin zostawiła jedynie pojemnik służący nam jako dodatkowe siedzisko, odsunęła na bok ławkę i krzeselko dla dziecka. Następnie stanęliśmy naprzeciw siebie, każde z nas złapało jeden koniec tapety i poszliśmy do łazienki. Zanurzyliśmy tapetę w letniej wodzie i czekaliśmy, aż klej zacznie się rozpuszczać. Po chwili ponownie chwyciliśmy końce tapety i krok za krokiem ruszyliśmy w stronę kuchni. Ostrożnie, jakbyśmy nieśli szkło, bo nie chcieliśmy podrzeć mokrego papieru. Była to, jak to mówią, „pełna współpraca”. Chwyciłem tapetę za dwa górne rogi i stając na palcach, uniosłem ją aż do listwy pod sufitem. Żona stanęła przede mną, trzymając dolną krawędź tapety, i spojrzała na mnie do góry.

— Mam wysokiego męża.

Po raz pierwszy od dawna się do mnie uśmiechnęła. Był to jednak nieco smutny uśmiech. Gdy przykleiłem połowę tapety do ściany, Mi-jin cofnęła się szybko, żeby zrobić dla mnie miejsce. Przykleiłem dolną część tapety i niewielką ściągaczką do wody, której używaliśmy do osuszania zlewu, raz-dwa wyrównałem powierzchnię. Wymyśliliśmy taki sposób z braku odpowiednich narzędzi. Kiedy jeździłem ściągaczką do wody w tę i z powrotem, rozpuszczony klej skapywał obficie na podłogę. Powietrze wokół przepełniał jego zapach. Na podłodze leżały gazety, które już wcześniej rozłożyliśmy. Podczas gdy starannie wyrównywałem tapetę, żona pracowicie wycierała ścierką skapujący klej. W końcu pierwszy arkusz tapety został przyklejony jak należy. Zrobiliśmy krok w tył i przez chwilę patrzyliśmy na efekt naszej pracy. Ogarnęła nas satysfakcja, kiedy porównaliśmy nieskazitelnie czystą tapetę z sąsiednią częścią, na której widniały nieregularne, ciemne plamy. Podobne uczucie jak wtedy, gdy wymieni się żarówkę albo przetka odpływ.

— Nie jest źle. Jak tak dalej pójdzie, zaraz skończymy?

Z grubsza opłukałem w zlewie brudne od kleju ręce, po czym razem z żoną uniosłem drugi arkusz tapety. Wystarczyło powtórzyć te same czynności co wcześniej. Włożyliśmy tapetę do wanny napełnionej letnią wodą i czekaliśmy, aż klej się rozpuści. Przypomniałem sobie wtedy ciałko golutkiego Yōng-u, sine znamię na jego pupie, sterczący brzuszek, miękka, ciepła skóra i przyjemny dziecięcy zapach. Byłem pewny, że Mi-jin myśli dokładnie o tym samym, co ja. Nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem.

— Otworzyć okno w kuchni?

— Uhm.

## A WIĘC DZIŚ NADSZEDŁ DZIEŃ, KIEDY MI-JIN ODBIŁA SIĘ OD DNA, CHCE SIĘ ODBIĆ OD DNA.

Żona otworzyła niewielkie okno przy zlewie. Przez maleńką, kwadratową framugę wtargnął do środka silny wiatr. Mi-jin skuliła się z zimna.

— Ale wieje!

— Zamknąć okno?

— Nie, zostaw na chwilę. Trzeba trochę przewietrzyć.

— Na pewno? To przytrzymaj tutaj na dole.

Spojrzałem na żonę, mocno trzymając tapetę. Tymczasem Mi-jin, która już się oswoiła z kolejnością czynności, swobodnie ustawiła się pode mną i chwyciła dolną krawędź tapety. Przybraliśmy takie same pozycje, z tą tylko różnicą,

że ja stałem, a ona siedziała.

— Już listopad. — W spokojnym głosie żony słychać było chłód.

— Rzeczywiście.

— Trzeba będzie wyciągnąć kołdry na zimę.

— Uhm. Rankiem jest dosyć mroźno.

— Wiesz co?

— Co?

— Trudno się utrzymać w kraju, w którym są cztery pory roku.

— Masz rację.

— Kochanie?

— Tak?

— Ciężko ci tak samemu pracować?

— Przecież nie narzekam.

— Nic ci nawet nie ugotuję.

— Sama powinnaś lepiej się odżywiać.

— Kochanie?

— Tak?

— Jak skończymy dziś tapetować, w przyszłym tygodniu...

— ...

— Zrobmy użytek z tych pieniędzy. Musimy spłacić dług.

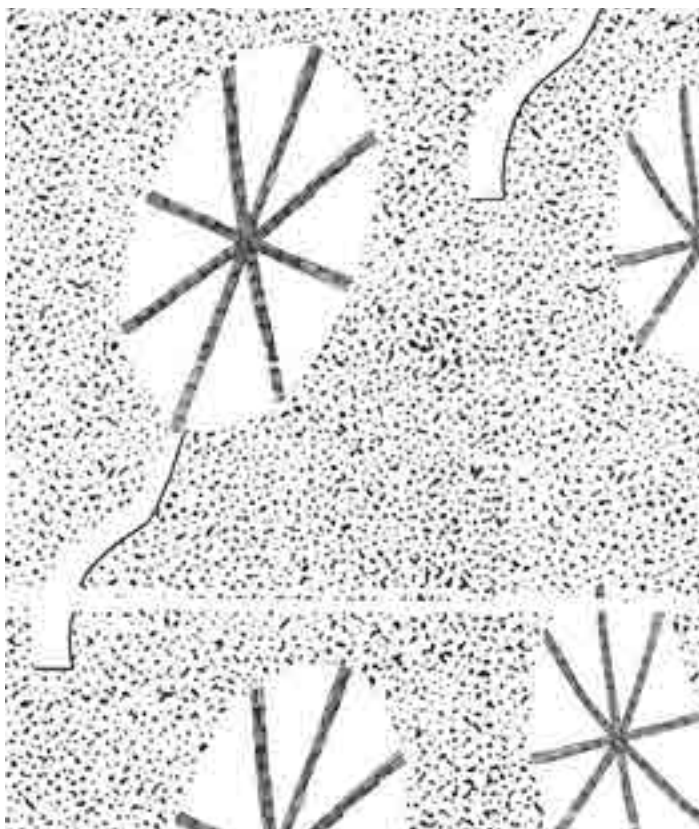
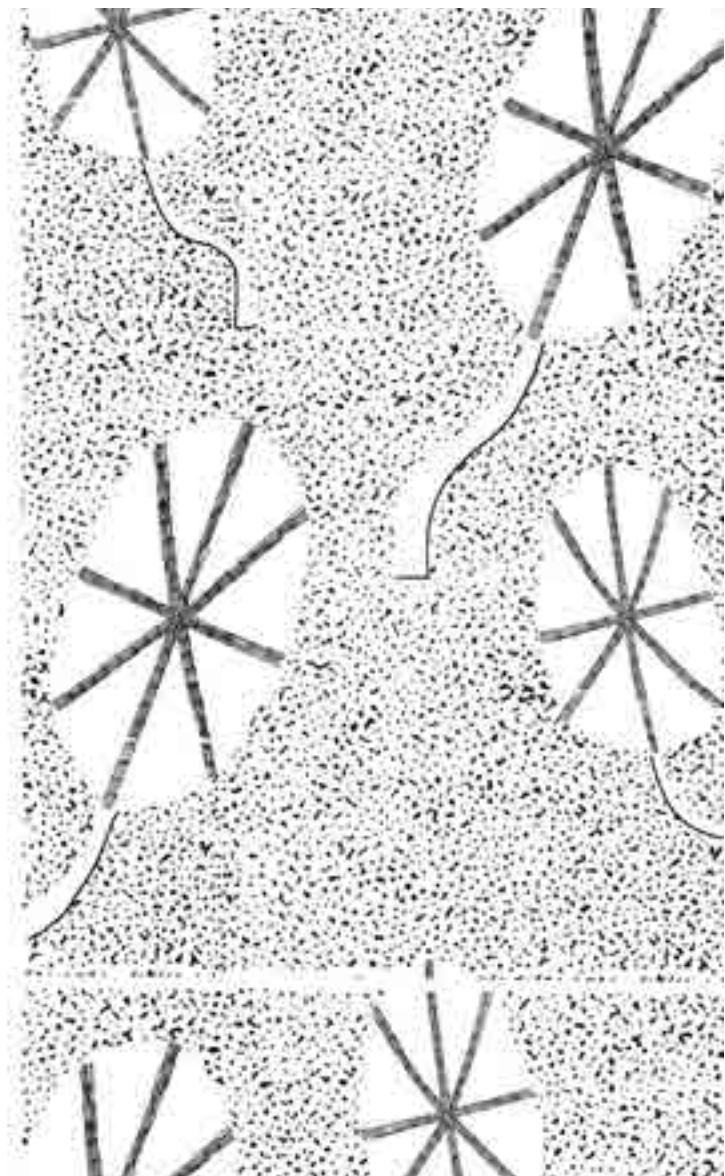
— ...

Chciało mi się płakać, ale się powstrzymałem. Przypomniałem sobie chwile, kiedy nie mogłem spać w nocy, bo wydawało mi się, że nie ma innego wyjścia, kiedy przewracałem się z boku na bok, martwiąc się, czy mnie nie uzna za potwora, jeśli zaproponuję, żeby wykorzystać te pieniądze.

— Słyszysz? Musimy to zrobić.

Wyrównałem oddech i odpowiedziałem spokojnym głosem:

— Dobrze.



Starannie wygładziłem powierzchnię tapety, przesuując po nierównej powierzchni ściągaczką do wody. Pomyślałem w duchu: „A więc dziś nadszedł dzień, kiedy Mi-jin odbiła się od dna, chce się odbić od dna...”. Że to dzień ważny dla mnie i dla Yōng-u. Poczujęm, jak w moje ręce zmęczone trzymaniem tapety na nowo wstąpiła energia.

Kiedy wyrównując tapetę ściągaczką od wody, zjechałem na środek ściany, żona ponownie wycofała się za mnie i zrobiła mi miejsce. Gdy umieściłem tapetę tam, gdzie trzeba, znowu przetarła mokrą ścierką klej na jej powierzchni i wytarła wszystko suchą szmatką. — Cieszyłam się, kiedy się tu wprowadziliśmy. A ty? — Ja też. — Prawda, że tutaj najlepiej nam się mieszkało?

Prawda. Tak się cieszyłem, że w nocy nie mogłem zasnąć. To uczucie, że po wielkich trudach wreszcie dotarłeś do celu. Wzbierała we mnie ulga, że nawet jeśli to nie centrum, to przecież i nie peryferie. Że dużo osiągnęliśmy jak na nasze możliwości. Jeszcze tak niedawno obiecywałem sobie przecież, że zrezygnujemy z chorych ambicji i będziemy żyć wdzięczni za to, co mamy. Lecz teraz, kiedy staliśmy w tym niewyobraźalnie cichym po śmierci Yōng-u mieszkaniu, trzymając tapetę, która wyglądała, jakby się miała zaraz podrzeć, ogarnęły mnie wątpliwości, czy właśnie tutaj był nasz dom. Na pewno tutaj, pod tą stromą jak urwisko ścianą? Miejsce, w którym z ulgą się osiedliłem, w którym z trudnością zapuściliśmy korzenie po dwudziestu latach koczowania w wynajmowanych pokojach, wydawało się teraz puste i nietrwale. — Kochanie, papier się marszczy z tamtej strony. Czy nie powinniśmy zrobić tego jeszcze raz? — Gdzie? — Tam, wysoko. — Nie jest źle. Po kilku dniach samo przylgnie. — A tam? Czy nie jest krzywo? — Gdzie?

Zrobiłem krok do tyłu, żeby sprawdzić, czy wzory na tapecie pasują do siebie w miejscach styku. — Nic nie widzę? — Nie tu, tam jest trochę na skos. — Uhm, rzeczywiście.

Delikatnie oderwaliśmy drugi arkusz tapety i po wyrównaniu przykleiliśmy go na właściwe miejsce. Na szczęście klej nie wysychał od razu, więc można to było zrobić.

Teraz wystarczyło już tylko przykleić trzeci arkusz. Wzięliśmy z żoną ostatnią tapetę samoprzylepną i zanieśliśmy ją do łazienki. — Mogliśmy to wszystko od razu namoczyć i złożyć w jedno miejsce. — Nie wiadomo było, czy klej nie wyschnie. — Poczekaj, niech się tylko tego pozbędę.

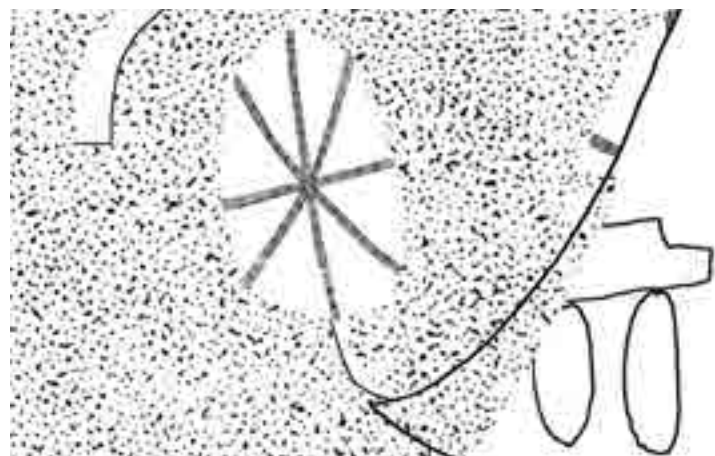
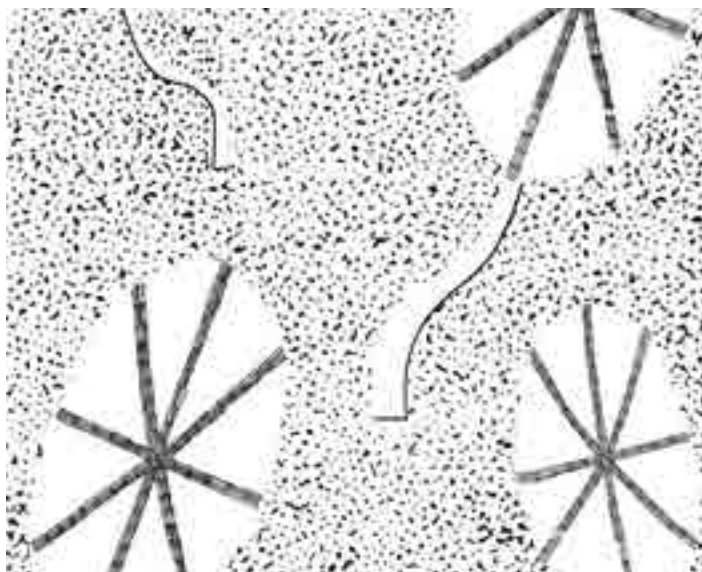
Żona przeniosła do tyłu stojący przy ścianie pojemnik. Była to kwadratowa skrzynka bez ścianki z jednej strony.

Trzymaliśmy ją w pobliżu krzeselka do karmienia Yōng-u i używaliśmy jako pojemnika oraz dodatkowego siedziska. Mieliśmy ją wynieść do salonu razem ze stołem, ale zostawiliśmy, myśląc, że może się przyda, jeśli trzeba będzie gdzieś sięgnąć w trakcie tapetowania. Po przestawieniu pojemnika na podłogę zauważyliśmy siwy kurz, który ułożył się w kwadrat. W czasie gdy żona namaczała ścierkę, przyłożyłem trzecią tapetę obok drugiej. Spojrzałem na drobne plecy żony, która jeździła ścierką w tę i z powrotem. Czekałem, aż szybko wytrze kurz i wejdzie pod mnie, aby chwycić dolną krawędź tapety. Jednak żona, która w pośpiechu wycierała podłogę, niespodziewanie zastygła. — Kochanie? — ... — Mamo Yōng-u? — ... — Mi-jin, co się stało? Co się z tobą dzieje? — Spojrzałem w dół na żonę, trzymając tapetę, której nie mogłem puścić. — Tutaj... — Co takiego? — Tutaj... Yōng-u coś napisał... — Co napisał? — Yōng-u napisał tu... swoje imię. Drżącą ręką wskazała na dół ściany. — Ale... nie do końca...

Jej ramiona zaczęły nieznacznie drżeć. — Tylko nazwisko... — ... — I pierwszą literkę imienia... — ... — Pierwszą literkę i... to wszystko...

Żona dziwnie załkała, a potem wybuchła płaczem. Nigdy nie widziałem, żeby Yōng-u napisał swoje imię. Wiedziałem tylko, że czasami na podłodze albo w bloku do rysowania kreślił jakieś gryzmoły: ni to rysunki, ni to litery. Naszła mnie ochota, żeby pogłaskać po głowie mojego synka, który kiedyś nie umiał nawet usiąść ani rączkować, a wyrósł mi taki duży, że umie napisać nazwisko „Kim” i pierwszą literkę imienia. Jakże błyszczące i miękkie były kruczoczarne włosy Yōng-u. Chciałem jeszcze raz, jeden jedyny raz przytulić go do siebie. Byłem gotów zapłacić jakąkolwiek cenę, żeby tylko móc to zrobić. Przez okno w kuchni gwałtownie zawiął listopadowy wiatr. — Coś mi się przypomniało. — Co? — Oczywiście. — Oczywiście naszego synka, który patrzył na płonące świece. — ... — Na urodziny kupiłeś mi tort. Wspólnie zapaliliśmy świece tutaj, przy tym stole. Yōng-u po raz pierwszy w życiu zobaczył wtedy płonące świece. Patrzył na nie jak urzeczony. Tamtego dnia zapytałam dla żartu tego niespełna dwuletniego brzdąca: „Yōng-u, co masz dla mamy w prezencie?”. I wiesz, co wtedy zrobił? Nasze dziecko, które jeszcze nie potrafiło dobrze mówić, chwilę się zastanawiało, aż wreszcie zaczęło bić mi brawo. Że się urodziłam...

## ŻONA DZIWNIE ZAŁKAŁA, A POTEM WYBUCHŁA PŁACZEM. NIGDY NIE WIDZIAŁEM, ŻEBY YŌNG-U NAPISAŁ SWOJE IMIĘ. WIDZIAŁEM TYLKO, ŻE CZASAMI NA PODŁODZE ALBO W BLOKU DO RYSOWANIA KREŚLIŁ JAKIEŚ GRYZMOŁY: NI TO RYSUNKI, NI TO LITERY.



Żona płakała jak pianistka, która po zakończonym koncercie otrzymała owację na stojąco od kilku tysięcy widzów. Jak gdyby ludzie obsypali ją kwiatami. Jakby ją w tych kwiatkach pogrzebali. Zapłakała pod trzymaną przeze mnie tapetą jak człowiek, który ucieka pod okap przed deszczem. Pod opadającą na jej plecy kremową tapetą w drobne białe kwiatki, których nazwy nie znałem. Nagle odniosłem wrażenie, że to kwiaty żałobne rzucane bezmyślnie na głowę mojej żony. Przypominały chryzantemy, którymi ktoś złośliwie obrzuca żyjącego człowieka. Zdawaliśmy sobie sprawę, jak nas traktują sąsiedzi, którzy początkowo wyrażali swoje ubolewanie i smutek. Unikali nas i szeptali między sobą, jakbyśmy mogli zarazić ich nieszczęściem. Gdy więc spojrzałem na żonę, siedzącą na ziemi pod tapetą w białe kwiaty, wyobraziłem sobie, jak nasi sąsiedzi chłoszczą ją kwietną różgą. Jak gdyby wielu ludzi wołało: „Przestań płakać, przecież już dość się z tobą napłakałem!”, smagając ją kwiatami o długich łodygach.

— Ludzie nic nie wiedzą.

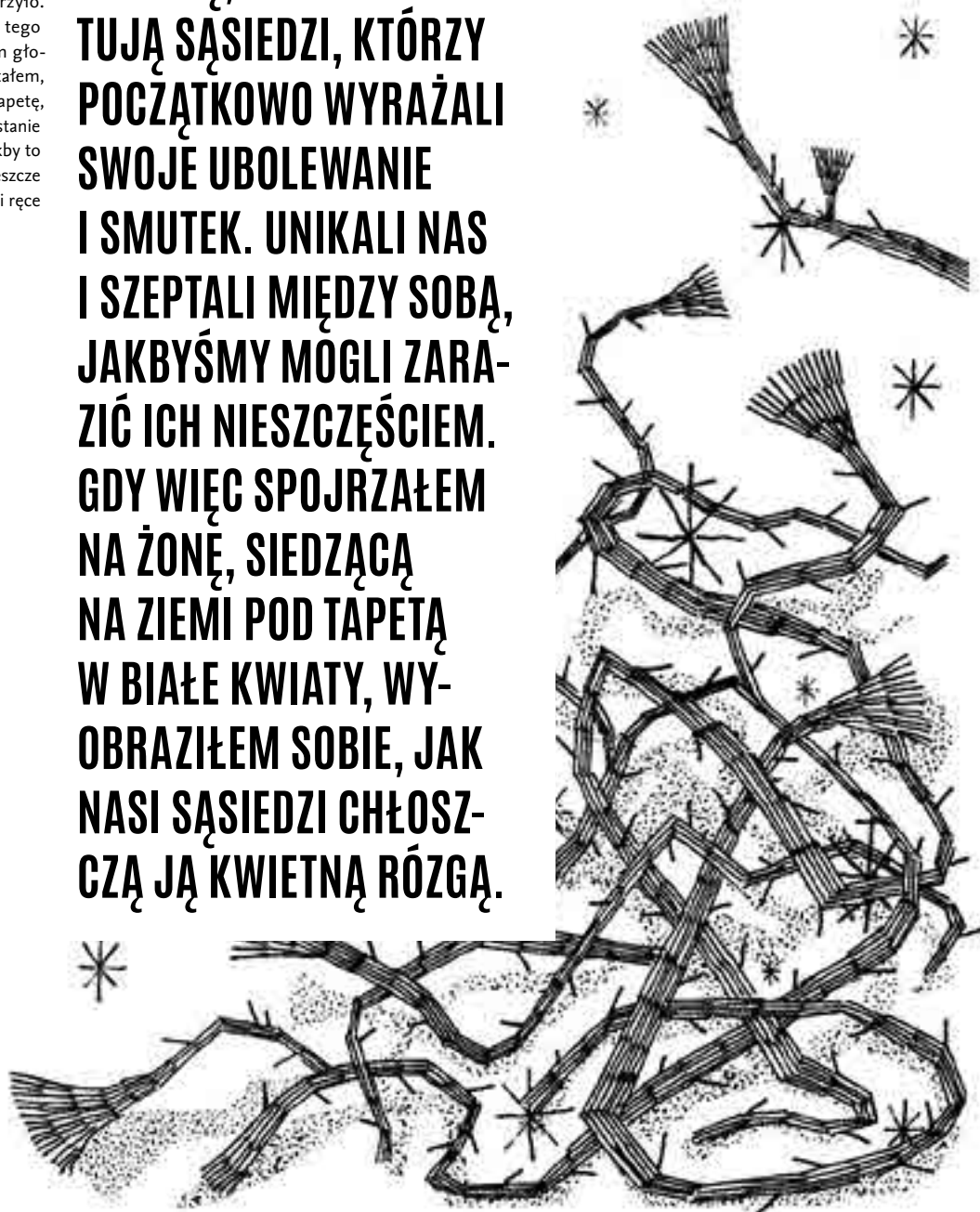
Bezwidnie powtórzyłem jej słowa:

— Ludzie nic nie wiedzą.

I właśnie wtedy uświadomiłem sobie, że dobrze rozumiem, o co jej chodzi. Żona spojrzała na mnie nieprzytomnym wzrokiem. Jej puste źrenice były ciemne jak zgaszone świetlówki. Pogłaskała imię zapisane na ścianie przez Yōng-u, imię, którego nie zdołał dokończyć. Miałem wrażenie, że Yōng-u przybiegł skądś z hałasem i otoczył moją nogę swoimi rączkami. Zdawało się, że bez słowa poklepuje plecy swojej mamy, jakby ktoś go tego nauczył. Nic takiego się jednak nie wydarzyło. Nigdy, przenigdy się nie wydarzyło. Oczywiście tego faktu boleśnie przeszły moje serce. Spuściłem głowę. Na podłogę zaczęły kapać moje łzy. Nadal stałem, trzymając ręce w górze, jak za karę. Trzymając tapetę, której nie mogłem wypuścić i której nie byłem w stanie utrzymać. Rozpuszczony klej spływał obficie, jakby to była ropa ciekająca z mojego ciała. Nie nadeszła jeszcze fala zimowego mrozu, ale cały drżałem. Drżały mi ręce

PRZEKŁAD POWSTAŁ  
DZIĘKI WSPARCIU  
ARTS COUNCIL KOREA (ARKO)

**PRZYPOMINAŁY CHRYSANTEMY, KTÓRYMI KTOŚ ZŁOŚLIWIE OBRZUCA ŻYJĄCEGO CZŁOWIEKA. ZDAWALIŚMY SOBIE SPRAWĘ, JAK NAS TRAKTUJĄ SĄSIEDZI, KTÓRZY POCZĄTKOWO WYRAŻALI SWOJE UBOLEWANIE I SMUTEK. UNIKALI NAS I SZEPTALI MIĘDZY SOBĄ, JAKBYŚMY MOGLI ZARAZIĆ ICH NIESZCZĘCIEM. GDY WIĘC SPOJRZAŁEM NA ŻONĘ, SIEDZĄCĄ NA ZIEMI POD TAPETĄ W BIAŁE KWIATY, WYOBRAZIŁEM SOBIE, JAK NASI SĄSIEDZI CHŁOSZCZĄ JĄ KWIETNĄ RÓZGĄ.**





# PROZY

ARANTXA  
ITURBE

PRZEŁOŻYŁA ALICJA JANKOWIAK

layout

Gabriela Golińska

ilustracje

Olga Kawacińska

liternictwo

Gabriela Golińska

## INES

TA INES TO MA TUPET! CAŁY CZAS POWTARZAM Txelo, żeby tak o nikim nie mówiła. Tym bardziej o kobiecie, która ma ponad pięćdziesiąt lat. Chodzi do niej trzy razy w tygodniu, na dwie godziny. Wywoskować podłogę i wyczyścić srebra. Umówiły się, że będzie wykonywać te dwie prace.

Ines mieszka sama w czterystumetrowym domu. Może nie sama. Gdy skończyła osiemdziesiąt cztery lata, przyznała dożywotnią pensję sąsiadce Loli za to, że codziennie zostaje u niej na noc. W ciągu dnia miewa do pomocy kogoś innego, kto zajmuje się pracami domowymi i posiłkami. Przez większość czasu nie ma nikogo, dopóki nie znajdzie następnej osoby na miejsce tej, którą właśnie wyrzuciła.

Ines nie należy do łatwych w obejściu. Wszystko musi być tak, jak ona chce. I to nie tylko właściwie dosolone czy przysmażone, o odpowiedniej temperaturze czy zapachu. Oznacza to również przekonania, odpowiedzi, wygląd, sposób mówienia i postawy. Wszystko tak, jak ona chce, i wtedy, kiedy ona chce. I zamiast nacieszyć się tym, że udało jej się znaleźć kogoś, kto prawie wszystko robi tak, jak by chciała – a było kilka takich osób – Ines skupia się na szukaniu ich niedociągnięć.

Txelo to bawi. Albo przynajmniej bawiło. Zawsze przynosi od Ines jakąś ciekawą historię do kawy. Nie taką opowiedzianą przez Ines. Ines nic jej opowiada. Tylko rozkazuje. I zastawia pułapki.



*Tak, pułapki. Chyba że chowanie dwudziestu euro za fotelem to nie pułapka?*

Txelo mówi, że Ines można sobie łatwo podporządkować. *Od razu jej powiedziałam: Następnym razem, gdy schowa mi pani dwadzieścia euro za fotelem, wezmę je sobie i już więcej nie wrócę. Sama pani zobaczy.* Ines oczywiście zaprzeczyła. Że nie chcący zgubiła, że jej pewnie spadło. *Wiesz, jak to z wiekiem...*

*Z wiekiem robimy się paskudni – śmieje się Txelo. Śmiała się.*

Jedyny syn Ines mieszka dziesięć godzin jazdy samochodem od niej. Txelo dowiedziała się o nim sześć lat temu, gdy krótko po tym, jak zaczęła pracować u Ines, znalazła ją na podłodze obok łóżka. Telefon od Txelo nie bardzo go wzruszył. Powiedział, że zapyta Loli, czy ona by mogła się nią zająć, a jak nie, to wyśle ją do domu opieki, żeby wyzdrowiała. Txelo wyjaśniła mu, że to raczej nie jest nic poważnego, że zaraz ma przyjść lekarz i że zostanie z nią, gdyby Loli się nie pojawiła. Syn jej podziękował. Poprosił o wieści na bieżąco.

Lekarz przyszedł przed Loli. Potwierdził podejrzenia Txelo: brak złamań, niedyspozycję spowodowało wahanie ciśnienia. Pacjencie zaleca się odpoczynek, a nazajutrz będzie jak nowo narodzona. Txelo zadzwoniła ponownie do syna Ines, żeby przekazać mu wiadomość, na co odparł, że go to nie dziwi. Mniej więcej raz na dwa miesiące matka tak miała. *Chodzenie do lekarza to nie w jej stylu – dodał.*

Ines była już w trzech domach opieki. Wszystkie trzy luksusowe. Ze wszystkich trzech ją odesłali i nie chcieli jej więcej widzieć.

Syn znalazł osobę do całodobowej pomocy na miejscu. Matka skutecznie ją odstraszyła.

Jedynym celem Ines było robienie tego, na co miała ochotę: a to *mam umówioną wizytę u specjalisty w Benidormie, innymi razem muszę porozmawiać z adwokatem w Madrycie albo jest sprawa w Tarancón bądź coś do załatwienia w Talavera de la Reina*, co zlecała Loli. Zawsze przejazd taksówką w obie strony. Wszystkim płaci gotówką.

Loli płaci też za posłuszeństwo.

Od czasu do czasu syn Ines dzwoni do Txelo, aby zapytać, czy jego matka jeszcze jej przypadkiem nie wyrzuciła z domu, i śmieje się z opowieści o najnowszych perypetiach. Śmieje się tak głośno, jakby go tam mieli usłyszeć. Txelo nie ma nic do stracenia. Zarówno Ines, jak i jej synowi

mówi to, co myśli, i spokojna przychodzi i wychodzi. Przychodziła i wychodziła.

Czasami, gdy wydaje się jej, że w środku wszystko jest już na wysokim poziomie, zabiera Ines na zewnątrz, aby zaczerpnęła świeżego powietrza. Zabierała. Z przyjemnością zabierała ją do tego sklepu, co zwykle, kupić te czarne rajstopy, co zwykle, albo też do tego banku, co zwykle, żeby wypłacić pieniądze, aby kupić te czarne rajstopy, co zwykle, w tym sklepie, co zwykle, po tym, jak w tej kawiarni, co zwykle, wypili kawę z mlekiem, *prawdziwą kawę, do pełna, z kapką zimnego mleka, bez pianki, w czystej jak należy filiżance.*

*Ta Ines to ma tupet!* – tymi słowami zaczęła, gdy się pojawiła, dziś późno. Nie tracąc czasu, żeby poprosić o kawę albo wysłuchiwać, że nie należy tak o nikim mówić. Śmiejąc się przez łzy, opowiedziała mi, że gdy szła do Ines, z progu pobliskiego banku skinął na nią jego dyrektor. Że nie wie, czy dobrze robi, ale chciał ją poinformować, że Ines była w banku. Z samego rana. Czekala, aż otworzą. *Ines?* – pyta Txelo. *Przecież ona nie jest w stanie sama chodzić!* Pieszko. Ines. O świcie. A z nią dwóch nieznanym. I najważniejsze: *Ines sprzedała dom. Za jakiś milion. Niecały milion.*

Ten milion utknął Txelo w gardle. Przełknęła. *Euro* – dodał dyrektor banku, zdając sobie sprawę, jak ważne jest dookreślenie kwoty, jakby ta mogła kogoś urazić. *To jedyna właścicielka.* Ines, oczywiście. Zdaje się, że przysłała z pośrednikiem i kupującym. *Nie wiem, czy dobrze robię, ale sumienie kazało mi o tym komuś powiedzieć.*

Sumienie Txelo kazało jej zadzwonić do syna Ines. Wbiegła do jej domu. Gwałtownie otworzyła drzwi, a tam wielmożna pani w koszuli nocnej, włosy w nieładzie, usiłuje wstać z łóżka. *Dzisiaj też spóźniona, Txelo...?*

Ma tupet, ta Ines!

*Z potarganymi włosami, rozumiesz? Zadała sobie trud, żeby potargać włosy! Jakby dopiero co wstała! I w koszuli nocnej! Przebrała się, zanim przyszałam. Uwierzysz?*

Nie zadzwoni do syna Ines. Tym razem nie. Choćby miała wywoskować sumienie na wysokim poziomie, tym razem nie. Nie zadzwoni do niego.

Powiedziałam jej, żeby się uspokoiła. To ona zna Ines lepiej niż ktokolwiek inny. Znowu sobie ją podporządkuje. A do syna zadzwoni później.

Zanim wstała, powiedziała do mnie: *Twoja córka już pewnie znalazła opiekunkę do dziecka...*



# TAJEMNICA NIE KRYJE SIĘ W SŁOWACH

PAMIĘTAM, JAK BABCIA ROZMAWIAŁA Z ROŚLINAMI. Przez te lata, gdy ogrodowe królestwo należało do niej, skradaliśmy się tam po kryjomu. Chcieliśmy usłyszeć jej sekretne słowa. Słuch miała ponadprzeciętny. Jak i doświadczenie.

Pamiętam ją, jak rozmawiała z roślinami, bo widzieliśmy ją z oddali, jak z roślinami rozmawiała. Zawsze w rogu ogrodu.

Chociaż z czasem traciła wzrok, sprawność i bystrość umysłu, nigdy nie przestawała dbać o rośliny. Wydawała nam polecenia, które przypominały rady. Co, jak, kiedy. Ale ani słowa o tym, jak należy z nimi rozmawiać.

*Tajemnica nie kryje się w słowach* – wyznała mi tuż przed śmiercią. *Tajemnica kryje się pod ziemią* – powiedziała z uśmiechem. *Tam, gdzie jej miejsce.*

Po latach ja przejęłam zajęcie babci. Tak żyzna gleba zasługiwała na to, aby się nią zająć, i choć czasu miałam mało, chwyciłam za graczę, przekonana, że dam radę zadbać o kilkadziesiąt sałat i drugie tyle porów. Wszędzie były chwasty. Najbardziej wybujałe w ulubionym rogu babci. Chyba rosły od jej nudnej gadaniny, pomyślałam. Rozkopując ziemię, zrozumiałam to, co powiedziała babcia. Spojrzały na mnie puste oczodoły czaszki. Zasypałam ją ziemią. Tajemnica tam, gdzie jej miejsce.

Przez pewien czas, kierowana ciekawością, próbowałam odnaleźć dziadka. Rozpytywałam ludzi.

Skoro uciekł daleko, wydaje się, że coś go do tego zmusiło, a skoro uciekł na zawsze, na pewno miał powód. *Tak, tchórzostwo* – odpowiedziała mi matka. *Trzeba być tchórzem, żeby zostawić żonę z sześciorgiem dzieci i zniknąć.* Dodała, że nigdy nie zdoła wystarczająco podziękować babci za wysiłek, jak ta włożyła w samodzielne wychowanie tak licznej rodziny. Nie dowiedziałam się niczego sensownego. We wsi spotkałam przyjaciela dziadka, człowieka o szorstkim usposobieniu. *Ktoś, kto umawia się na polowanie na gołębie następnego dnia, sam z siebie nie ucieka* – oznajmił. *Dość ci powiedziałem.* Każdy miał swoją teorię, ale wszystkie zostały we wsi. Podobnie jak nasza babcia z sześciorgiem dzieci, nie dając pożywki dla podejrzeń, jakie krążyły po okolicy, zbierając owoce litości.

*Kochali się?* – zapytałam matkę. Tym razem mi nie odpowiedziała. Boi się, że znowu zacznę rozgrzebywać bolesne wspomnienia, co do których była przekonana, że są dawno pochowane. Najmłodsza ciocia stwierdziła: *Ten, kto kocha, dba, a nie ucieka.* Obie utkwily wzrok w ogrodzie: *Podczas gdy nasza matka dbała o najpiękniejsze miejsce.*

Wiem, w której części ogrodu rośliny będą najłatwiej dawać owoce.

Rozmawiając z nimi, przypominam sobie babcię. *Tajemnica nie kryje się w słowach* – mawiała.





# TO NIE OD CHŁODU

BABCIA PŁAKAŁA, GDY PRZYSUWALIŚMY JEJ DO TWARZY wentylator zabawkę.

Mysleliśmy, że to od chłodu.

Matka nakazywała nam zostawić babcię w spokoju. Bo denerwujemy ją naszymi eksperymentami. To była jednak dla nas za duża nowość, że mamy się zachowywać, jakby jej nie było. Pokój Eneko przystosowano dla babci, przez co musieliśmy radzić sobie we dwójkę w jednej sypialni. Mój brat nie wybaczył matce, że odebrała mu pokój. *To nie na zawsze* – powiedziała, ale on nadal był zły i postanowił mścić się na babci, która nawet nie wzięła udziału w tej decyzji. Bo babcia wcale nie chciała u nas zamieszkać. W domu na wsi żyła sobie spokojnie. Aż za spokojnie – dopiero gdy długo nie dawała oznak życia, sąsiedzi odważyli się wejść do jej domu. O tym, że babcia chyba umarła, zawiadomili matkę, nie przyszedł im do głowy nikt inny. Babcia nie umarła. Ale żywa też nie była.

Matka powiedziała: *Bierzemy ją do nas*, nie pytając nikogo o zdanie. Wynosząc rzeczy z pokoju Eneko, a w moim rozstawiając łóżko polowe, powiedziała też: *Wy we dwójkę tutaj*. W parę dni przystosowała dom do potrzeb babci. Łącznie z tym, że załatwiła opiekunkę Marisę.

Babcia była u nas trzy i pół roku. Pewnego ranka nie zapłakała jak zwykle, chociaż Eneko przysunął jej do twarzy wentylatorek.

W wejściu do domu jest gorąco. Od dawna wszędzie jest mi gorąco. A jeszcze bardziej w nagłych sytuacjach. Dlatego w torbie zawsze noszę wentylatorek. Za każdym razem, gdy po niego sięgam, przypomina mi się babcia. I jej zrezygnowany płacz.

To nie było od chłodu.

Nie zauważyłem, jak podszedł do mnie lekarz. *Musi zostać kilka dni na oddziale intensywnej terapii. Konieczna jest obserwacja. Nie wiedział pan, że ma alergię?* Potrzebuję powietrza. *Uwaga na śmigła, proszę sobie nie zrobić krzywdy.* Ból twarzy to nic w porównaniu z tym, jak boli zranione serce.

Gdy babcia naprawdę odeszła, zacząłem zadawać pytania. Matce. Nie żakując, że nie pytałem wcześniej. Gdy się dowiedziałem, babcia już nie była w stanie odpowiedzieć.







Matka też nie. Pogodzenie się z tym było dla niej bolesne. Nie wiedziała nic o przeszłości mężczyzny, którego oczarowała w tak młodym wieku. O naszym ojcu. Że jego matka staruszka mieszkała sama w domu na wsi. Że ojca nie poznał. Że miał samotne dzieciństwo. *Nie chciał o tym rozmawiać. A ja nie chciałam go naciskać. Wszystko wydarzyło się zbyt szybko.* Miała nadzieję, że pewnego dnia dowie się, jak było. Poznali się, pobrali, urodziliśmy się my, a potem zdarzył się ten przekłety wypadek. Eneko i ja mieliśmy roczek. Już nie było „pewnego dnia”. *Pojechałam na wieś do jego matki, do waszej babci, żeby jej o tym powiedzieć.* Z litości. Czuję, że jeśli ona jej tego nie powie, babcia umrze, nie wiedząc, że straciła syna. *Jeśli chce go pani zobaczyć... ale trudno go rozpoznać.* Podobno babcia utkwiała wzrok w oddali. Ani żadnego *jak się macie, ani może czegoś wam potrzeba.* Nic. Nic poza pojedynczym cichym szlochem.

– Nie pojawiła się na pogrzebie.

– Dlaczego wzięłaś ją do domu?

– Była matką waszego ojca. Wydawało mi się, że tak powinnam zrobić.

I tak zrobiła. W ten sposób z dnia na dzień zamieszkała w pokoju Eneko kobieta umarła za życia. Wiedzieliśmy, że nadal żyje, bo zaczynała popłakiwać i łkać, gdy przysuwaliśmy jej do twarzy wentylatorek.

Volker pojawił się w domu na wsi, podążając śladami dziadka. Opowiedzieli mu o mnie sąsiedzi. Kiedy się o mnie dowiedział, zadzwonił pełen nadziei. Nie. Nie poznałem babci. Spędziła u nas w domu trzy i pół roku. Nigdy nie usłyszałem od niej ani słowa. Nie, nie. Ani słowa. Kompletnie nic. Dom na wsi, tak. Należy teraz do mnie. Nie. Jest pusty, odkąd babcia umarła. Nie. Nie wiem, co z nim zrobię. Tak. Otworzę mu drzwi. Tak. Będzie mógł się rozglądać po kątach tyle, ile zechce. Nie. Nie ma problemu.

Volker jest pewien, że jego dziadek o tym samym imieniu spędził jakiś czas w babcinym domu na wsi. Na dowód ma rysunki. Chce iść na poddasze. Nie ma wątpliwości. Mieszkał tu kiedyś rysownik. Rysunki dziadka są jak zdjęcia strychu. W ciągu dwóch lat wysłał je do domu siedem razy. Jakby mówił: *Jestem tutaj*. Za siódmym razem – twarz. Młodej dziewczyny. A później już nic.

Volker znalazł rysunki w papierach ojca. Miał wtedy ze dwadzieścia parę lat. I nie zaznał spokoju, dopóki nie ustalili pochodzenia tych rysunków. Nagle wybuchnął płaczem. *To trudne* – mówi. To trudne, gdy poszukiwania całego życia do niczego nie prowadzą. Nawet gdy już dotarł do właściwego miejsca. *Przykro mi*. Przykro mi, że nie mogę pomóc.

– Co to za dźwięk? – zapytał nagle Volker, zaniepokojony.

– To pszczoła. Bzyczenie pszczoły.

Błady podszedł do wyjścia.

– Zadzwoń po pogotowie. Proszę.

Zmieniła mu się twarz. Nie ze strachu. W ten sposób wreszcie wszystko zrozumiał. Jakby ogłuchł. Jego marzenia zagłuszyły pszczołę. Chciał usłyszeć, że to zbieg naszkicował miejsca widoczne na rysunkach. Chciał usłyszeć, że dziewczyna z portretu to nasza babcia. Czterdzieści lat poszukuje niezbitego dowodu. Dotarł do kryjówki, a tam nie było nic poza pszczołą.

W poczekalni jest gorąco. Od dawna wszędzie jest mi gorąco. A jeszcze bardziej w nagłych sytuacjach. Dlatego w torbie zawsze noszę wentylatorek. Za każdym razem, gdy po niego sięgam, przypomina mi się babcia. I jej zrezygnowany płacz.

Zobaczyłem, jak dziewczyna zbiera pranie. Po między wiszącymi prześcieradłami nieznajomy młody żołnierz prosi o pomoc. Dziewczyna nie zastanawia się dwa razy. Wszyscy są przy sianokosach. Na strych. Gdy może, przynosi mu coś do jedzenia. To słodki chłopak. Dogadują się za pomocą gestów. W ten sposób on tłumaczy jej też, o co chodzi z kartką papieru i ołówkiem. Zdobywa je dla niego. Od czasu do czasu siada obok niego, gdy ten rysuje. Uśmiechają się do siebie. Tajemnica ich łączy. Dziewczyna pomaga mu, kiedy tylko może. Wysyła także rysunki. To nie może być zły chłopak. Jego oczy nie kłamią. Nie było ich widać, kiedy znalazła ciało. W tym napuchniętym ciele, pożądłym przez pszczoły, nie ma ani śladu jej słodkiego sekretu.

Nie wiem, jak babcia poradziła sobie z ukryciem zwłok żołnierza. Nie wiem, czy może coś komuś powiedziała. Nie wiem, jak bardzo to było dla niej bolesne wtedy i później. Nie wiem, czy to wówczas, czy już wcześniej przestała mówić.

Eneko odparł z niedowierzaniem:

– Wszystko zmyśliłeś.

– Jasne. Ale czy ta opowieść nie brzmi wiarygodnie?

– Wszystko brzmi wiarygodnie, jeśli się dobrze opowie. Nie masz dowodów.

– Ale inaczej jak wyjaśnić to, że ojciec nie chciał nic opowiadać, że babcia tak zobojętniała, że przez ostatnie lata płakała...

– ...i niebieskie oczy tego, który był naszym ojcem?

Wybuchnął śmiechem.

– Nie masz wyjścia.

Eneko jest realistą.

Volker jest jeszcze w łóżku.

– Tak sobie myślę... – odezwał się.

Opowiedziałem mu o tym, jak babcia płakała.

– To nie było od chłodu. Może od hałasu?

Wyjąłem z torby wentylatorek, włączyłem i przyłożyłem mu do twarzy.

Przymknął oczy. Z wdzięczności.

Przekład powstał dzięki wsparciu  
Etxepare Euskal Institutua



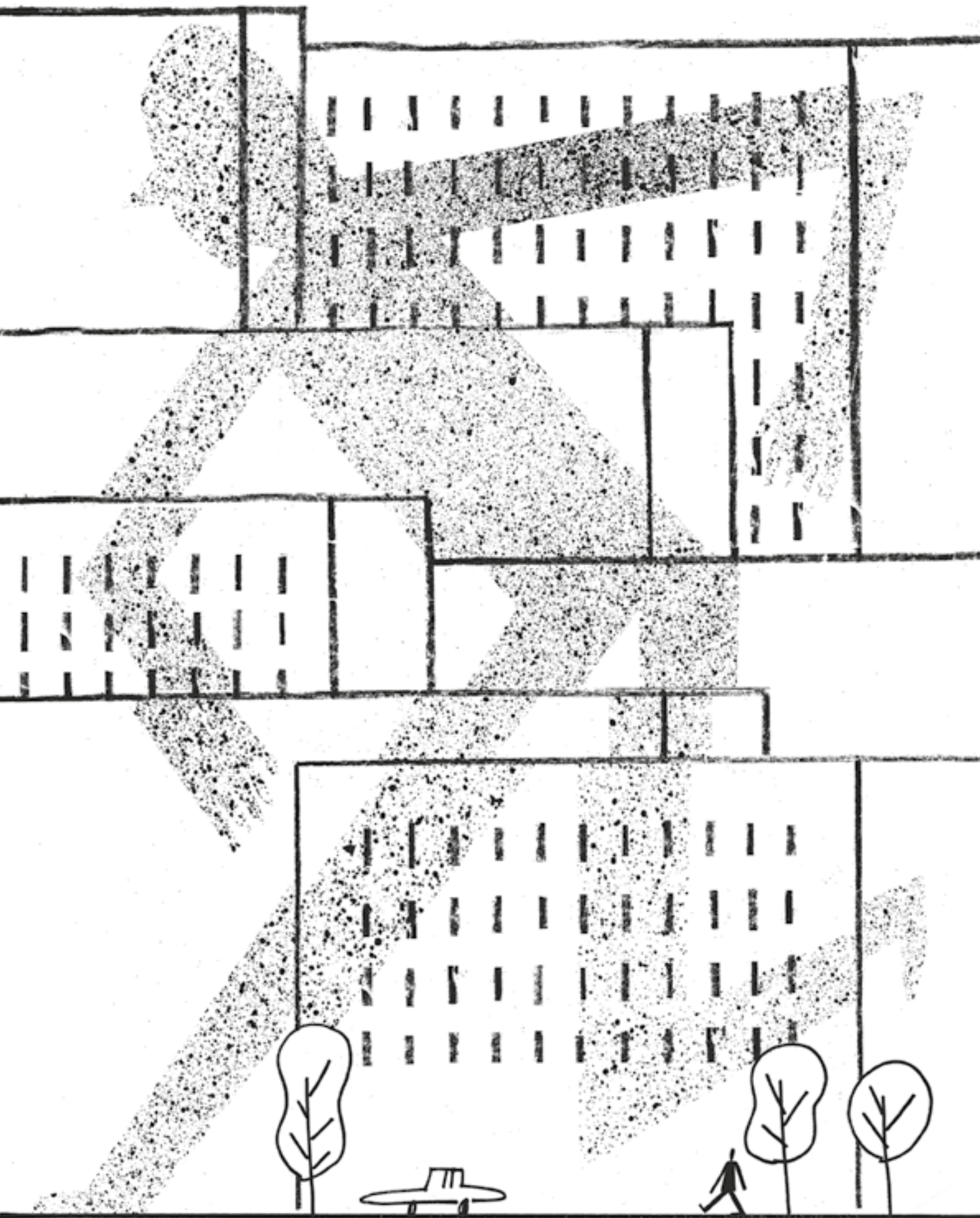
# PO KÓJ 112

MAREK VADAS

przełożyła Małgorzata Dambek

layout  
Agnieszka Pięta  
ilustracje  
Kinga Bartnicka

W hotelu pracuję dwa miesiące. Dyżur w recepcji zaczynam o szóstej po południu, a kończę o szóstej rano, siedzę za kontuarem i oglądam telewizję. Najchętniej historie z życia wzięte, w których grają prawdziwi ludzie.



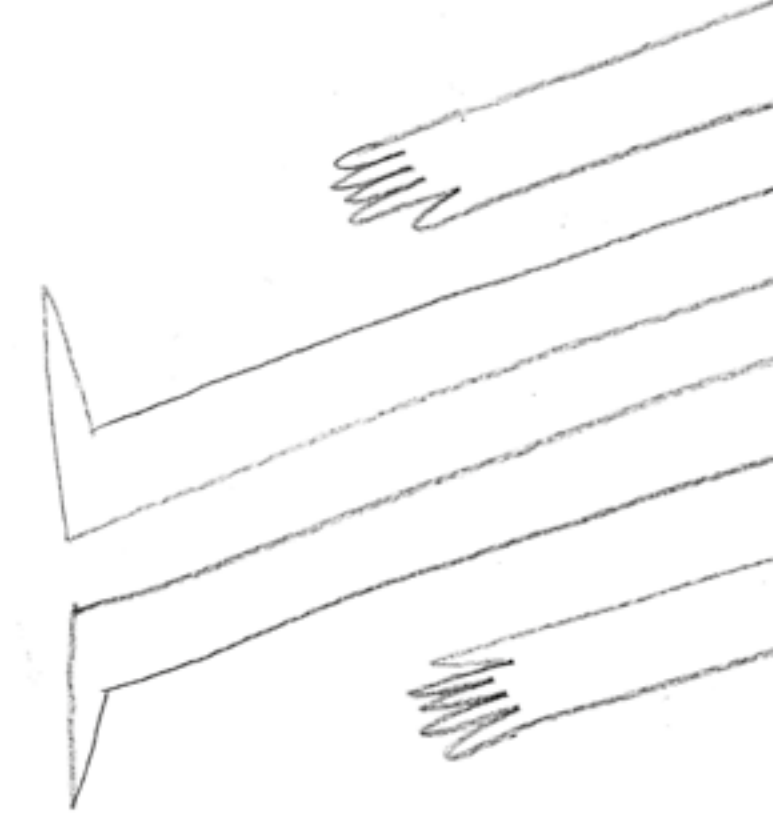
# w naszym mieście nie ma nic ciekawego

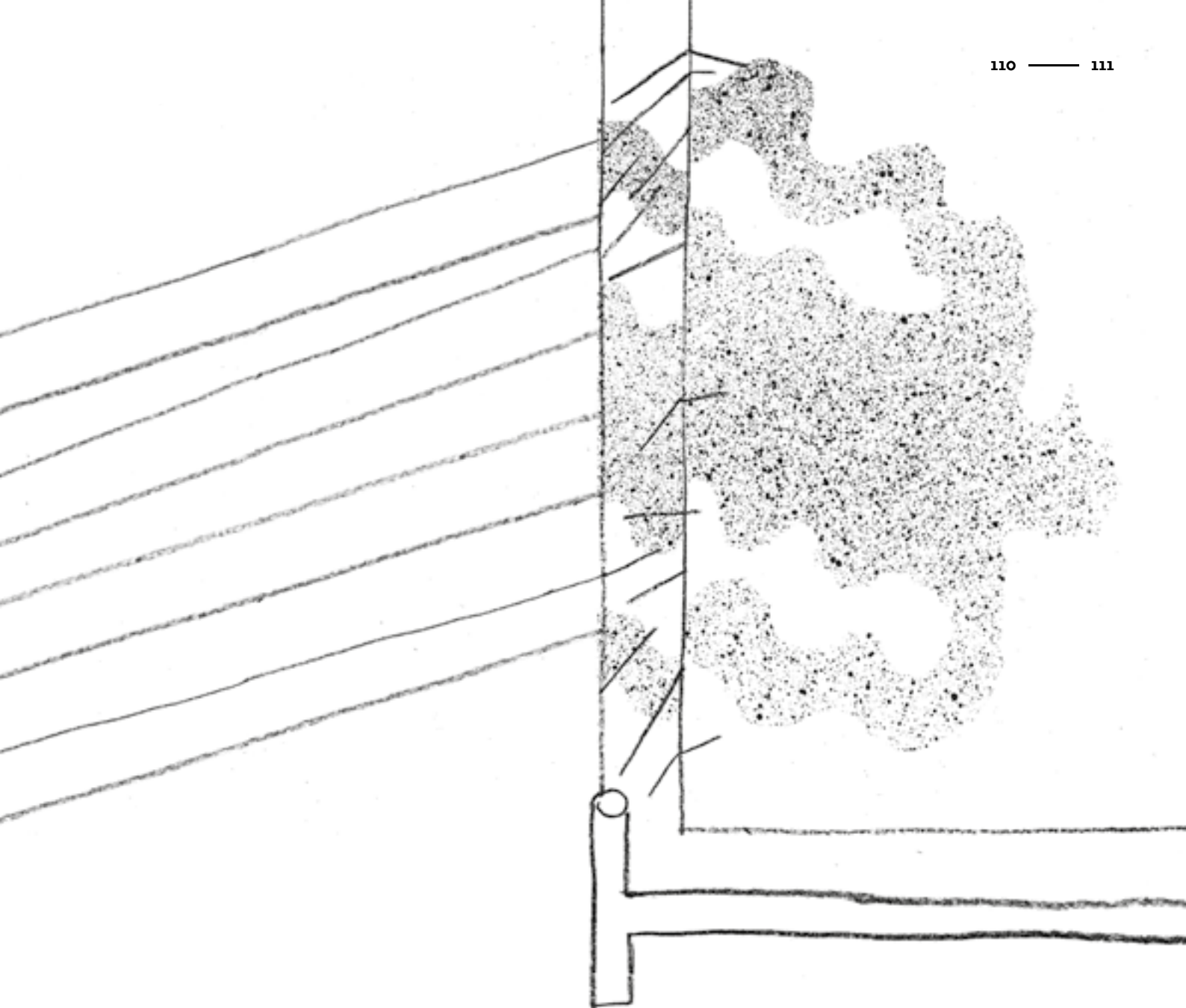
W naszym mieście nie ma nic ciekawego, pewnie dlatego tak mało mamy gości. Może boją się nas, nie wiem. Gdy około północy dotrze ostatni gość i gdy przestanie straszyć pod prysznicem, wtedy zasuwam kratę na bramie i obchodzę puste pokoje. Z grubsza rzucam na nie okiem, ścięram z prześcieradeł mysie gówna — te cholery najbardziej brudzą pod poduszkami. Wycieram kurz z ekranów telewizorów, choć w pokojach i tak nie ma sygnału. Czasem kładę się i patrzę na sufit.



# któregoś razu zatrzymał się u nas cudzoziemiec

Od czasu do czasu wieczorem ktoś przychodzi do recepcji. Oglądamy *Prawo pożądania*, rozmawiamy o życiu i śmiejemy się. Kiedy jest przerwa na reklamy, wówczas ten człowiek spogląda na mnie z taką dziecięcą śmiałością, że nie potrafiabym mu odmówić. Wysłuchuję więc zajmujących historii wędrownych handlarzy, słucham o planach obiecujących menedżerów, rysuje się przede mną wprost wspaniała przyszłość. Słowa mieszają się z serialowymi dialogami, a ja widzę siebie na ekranie, jak przymykam oczy i przyjmuję propozycję zamążpójścia. Jest mi tak dobrze, stoję w marmurowym pokoju, w ręce trzymam kieliszek szampana, a wystrojeni ludzie biją mi brawo. Potem ten ktoś dopija piwo, odstawia butelkę na ladę, beka i mówi „dobranoc”. Znika w ciemnym korytarzu. Dopijam swoje piwo, już nawet nie wiem, o czym mówią w telewizji, ale jeszcze oglądam, aż do napisów końcowych, słowa aktorów są jak muzyka.





Któregoś razu zatrzymał się u nas cudzoziemiec. Dałam mu klucze od stowunastki. Po chwili wyszedł z pokoju i zapytał mnie, jak się włącza telewizor. Wzięłam zapasowego pilota i baterie. Na łóżku leżała tylko mała walizka, zupełnie taka, jaką zabierają dzieci do szkoły. Ekran był ciemny, nawet nie śnieżył tak jak zwykle. Nie wiedziałam, co robić. Zaproponowałam, że zadzwonię z recepcji do menedżera. Mężczyzna odmówił, kazał mi usiąść. Posłuchałam, siedziałam połówką tyłka na brzegu łóżka i kiwałam się. Nie żądał ode mnie tego, czego się spodziewałam. Przez kilkanaście minut miałam po prostu siedzieć. Stał przede mną w milczeniu, oparty o stół. Czułam się niezręcznie. Potem oznajmiłam mu, że muszę iść, i zniknęłam.





Rano znalazłam tylko klucze w drzwiach, musiałam się chyba zdrzemnąć w recepcji. Jego pokój wyglądał na nietknięty, nie posłał nawet łóżka. Przetarłam ścierką umywalkę i ubikację, sprawdziłam mydło i kosz. Potrząsnęłam poduszką, żeby przybrała pierwotny kształt. Jeśli się tam położę, pojawi się obok ten cudzoziemiec i zacznie mnie obejmować. Sama nie wiem, dlaczego przyszło mi to do głowy.

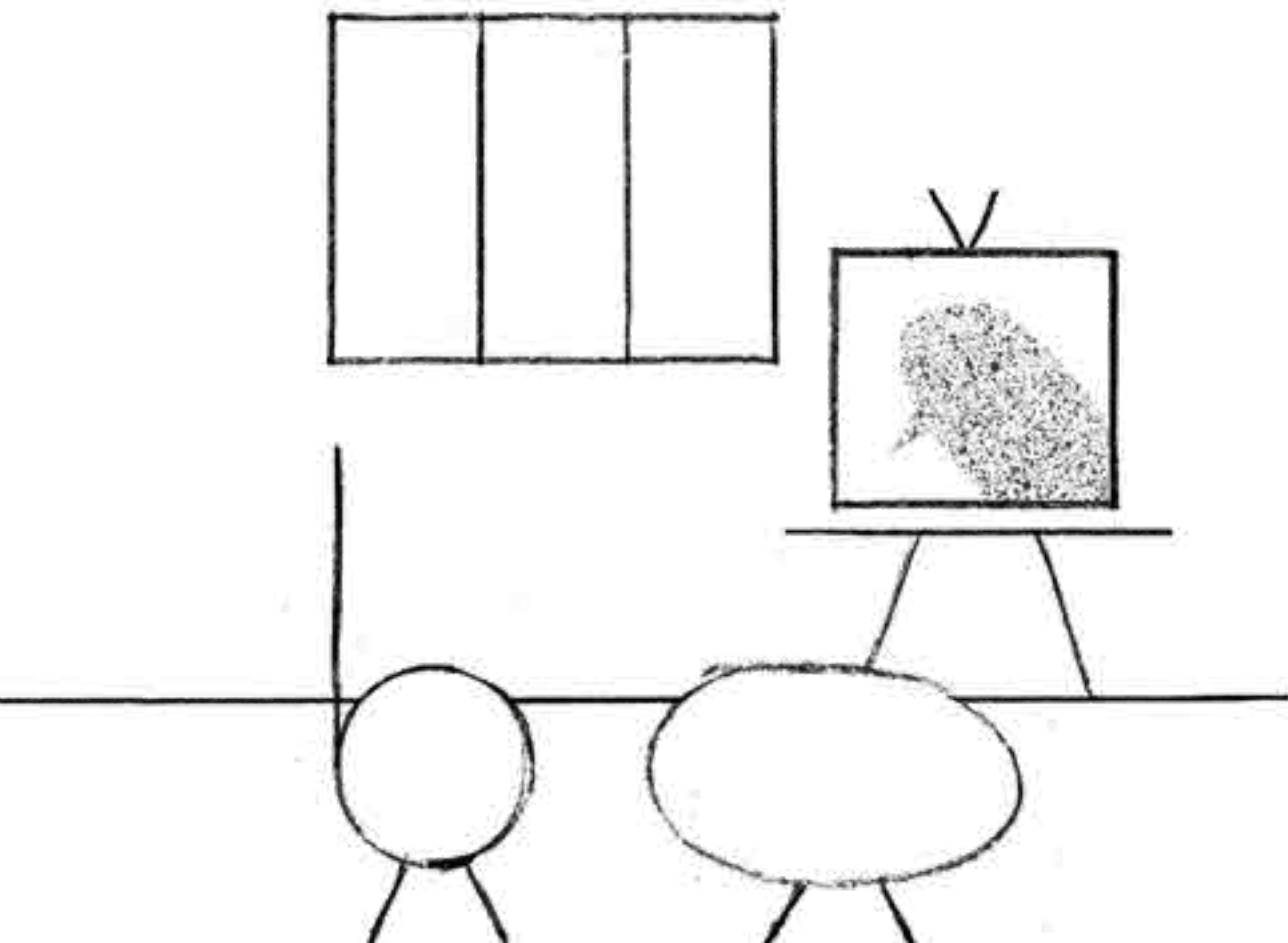
Zadzwoił telefon, więc pobiegłam do recepcji. Klient przecież zawsze musi się dodzwonić. Zarezerwowałam trzy pokoje dla grupy z katolickiej organizacji dobroczynnej. Zasłużyłam na nagrodę. Otworzyłam piwo i wróciłam do tamtego pokoju. Był pusty, przygotowany na przyjazd kolejnych gości, lecz wydawał mi się teraz jakiś inny. Położyłam się, ale nie było nikogo, kto by mnie objął. Następnego dnia zajrzałam tam jeszcze dwa razy. Potem przyjechali wierni, śpiewali, bębnilo, w recepcji przełączali mi programy. Rano tuż przed odjazdem autobusu klaskali.

Gdy tak biegam z miotłą po korytarzach, zawsze zaglądam do pokoju cudzoziemca. Pomieszczenie jest ciemne, mimo że jest dzień, a zasłony są odślonięte. Nagle wiem, że muszę usiąść i spoglądać na ekran wyłączonego telewizora, a ktoś się na nim pojawi, pewnie ten obcokrajowiec, będzie coś do mnie mówić. Po omacku podchodzę do krzesła, siadam i wpatruję się w ciemność. Zасыpiam, bez snów.

Postanawiam sobie, że muszę skończyć ze słuchaniem głosów, które mówią mi same głupstwa. Włączam telewizor i ustawiam głośność na maksimum. Do końca serialu zostało już tylko dziesięć odcinków. Postaciom nigdzie się nie spieszy, mają czas, w dialogach udaje mi się odpowiadać szybciej niż Melanii. Potem ucinam sobie drzemkę, ale nie czuję się zbyt dobrze.

Nikt nie chce mieszkać w pokoju numer sto dwanaście.

Rozeszło się, że tam, w nocy, siedzą przed ekranem telewizora dwie postaci, mężczyzna i kobieta, bez słów. I że po prostu nie można z nimi wytrzymać.



# Pod nogami i nad głową



Vanda Rozenbergová  
przełożyła Katarzyna Dudzic-Grabińska

115

– Pochodzę z dość liberalnej rodziny, ojciec był alkoholikiem, matka sprzątaczką i naprawdę nigdy ich nie interesowało, gdzie jestem i co robię – powiedział dziś, gasząc pierwszego papierosa na nowej posadzie, ten, którego przyjęli na miejsce Jula, i zrobiło to na mnie ogromne wrażenie. Wyobraziłem sobie siebie, jak siedzisz na skraju fotela, noga założona na nogę, kolano wysoko, i obejmując je dłońmi, upominasz mnie, żebym nie ślinił sobie palców, bo dotykam nimi wszystkiego, a naprawdę niedobrze jest łąpać coś zaślinionymi dłońmi. Kiwając się w przód i w tył, żądasz, abym kilkakrotnie powtórzył to, co powiedziałeś, i muszę się z tobą zgodzić: rzeczywiście to zapamiętałem. Do dziś, po dziś dzień nie liżę palców, i to dzięki tobie, ojcze.

Już się zdenerwowałeś i chcesz do mnie zadzwonić? Oczywiście nie ma miejsca na ironię w relacji syn – ojciec, chyba że w odwrotnej kolejności, wtedy jest nawet pożądana, czyż nie? Zatem jeśli masz zamiar do mnie dzwonić, to tego nie rób. Jestem twoim synem i pomiędzy dwiema kupami dunajskiego żwiru mam trochę czasu, żeby się zastanowić, z jakiej rodziny pochodzę. Unikamy rozmów ze sobą,

layout  
Joanna Synowiec

ilustracje  
Anna Sztromwasser

**Już się zdenerwowałeś i chcesz do mnie zadzwonić? Oczywiście nie ma miejsca na ironię w relacji syn – ojciec, chyba że w odwrotnej kolejności, wtedy jest nawet pożądana, czyż nie?**

uważam, że to błąd – twój, naturalnie. Nie masz czasem poczucia, że chciałbyś wiedzieć, jaki jestem naprawdę? Wiesz, nietrudno znaleźć psa, który większość swojego życia spędza na łańcuchu. Na wsiach są ich setki, a ja, będziesz się śmiał, kilka z nich oswobodziłem. Trzech niewolników już nie musi szczekać piskliwym głosem uwiązanych, nie, nie mów, że im tego brakuje, że już się przyzwyczaili, łańcucha nikomu nie brakuje. Pierwszego psa, którego ukradłem, znałem, pozostałe dwa wybrałem, bo ja dostrzegam każdy kawałek ziemi, po której chodzę, patrzę, co jest po prawej, a co po lewej, co pod nogami i nad głową, zmysły mam wytężone, uwagę skupioną na wyfapywaniu dźwięków, a najbardziej przeczulony jestem na zawodzenie. Odróżniam zawodzenie od wycia. Pierwszy pies, którego zabrałem, był suczką. Jej państwo trzymali ją daleko od domu, na końcu ogrodu, żeby jej szczekanie słyszeli tylko ci, którzy chcieli przejść przez płot albo sięgnąć po ich czereśnie (czerwona krucha Thorn Taxis) i śliwki (węgiarki Zimmera). Nie jestem pewien, czy w jej wyglądzie przeważał niemiecki szpic, czy jakiś seter, w każdym razie nie było w nim nic wspaniałego. Właściciel raz mi się pochwalił, że psa w ogóle nie wypuszcza, łańcuch jest ponoć wystarczająco długi, żeby sobie pobiegał, na moje oko miał dwanaście metrów. Buda wielkością odzwierciedlała rozmiar zwierzęcia i ja osobiście bym ją ocieplił, ale właściciel nigdy nie słuchał moich rad i powstrzymał mnie machnięciem ręki.

Więc to był pierwszy raz – zatrzymałem się pod ich kwitnym drzewem, białe gałęzie zwiślały nad ulicą i świecił księżyc. Chodnikiem przeszła kobieta, a ja stałem oparty o płot, czekając, aż zniknie ostatnie światło na końcu ulicy. Lubisz fakty, a ja przynudzam, przepraszam. Wszedłem do ogrodu, kieszenie miałem pełne karmy. Wiedziałem, jak długi jest łańcuch psa, czy raczej jak krótki, musiałem dojść do samej budy. Oczy mu błyszczały, szczeknął tylko raz, poczuł karmę, dałem mu jeść. Odpiąłem obrozę i wziąłem go na ręce, łańcuch został w trawie. Wyobraź sobie taki moment – grobowa cisza, ciemność, niesiesz w ramionach kogoś, kto wciąż ma dość energii, żeby się wyrwać i zostać tam, gdzie był, ale on ci wierzy i jego sierść, ta sierść na twojej szyi, pachnąca zgniłą trawą, wznosi cię ponad wszystkie inne istoty tej nocy. Wróciłem na drogę tak, jak przyszedłem, przez płot. Przełożyłem psa nad sterczącymi



metalowymi prętami. Samochód zostawiłem zaparkowany ulicę dalej i było osiemnaście minut po północy, kiedy do niego wsiedliśmy. Jechaliśmy niemal dwie godziny, do celu dotarliśmy przed świtem, na postoju przed miastem dałem suczce wody, odciąłem kawałek psiej kiełbasy, pokroiłem ją na kawałki i położyłem na starej gazecie. Adrenalina powoli we mnie gasła.

Czasami najważniejszą rzeczą, jaką mogą nam dać rodzice, jest to, że nie chcemy być tacy jak oni. Nigdy nie chciałem być taki jak ty, ojczu. Nie chciałem być taki jak ty, wpajać dziecku zakaz ślinienia palców, kiedy ma dwa lata, i wydawać gazetę reklamową, w której po lewej stronie widnieje reklama szkoły średniej, a po prawej gołe kobiety z gwiazdkami na sutkach. Ale wysyłałeś dobre alimenty i mama niekiedy nawet chwaliła sobie tę gazetę. Ja nigdy jej sobie nie chwaliłem, jest tak śliska, że nie da się nią nawet wyczyścić butów. Mnie nic do tego, to twoje życie. A to z kolei jest moje, mam dwadzieścia lat i nie przysparzam ci radości, ani odrobiny, cholera. Jestem pomocnikiem w sklepie ogrodniczym, pracuję za niewielkie pieniądze, nie uczyłem się tak, jak tego chciałeś, nie miałem celu w życiu ani nie mam go teraz. A właściwie mam – będę kraść psy, które zawodzą, i szukać im domów, gdzie nie muszą merdać ogonem jak nienormalne, tylko po to, żeby je na chwilę wypuścili ci, którzy i tak tego nie robią.



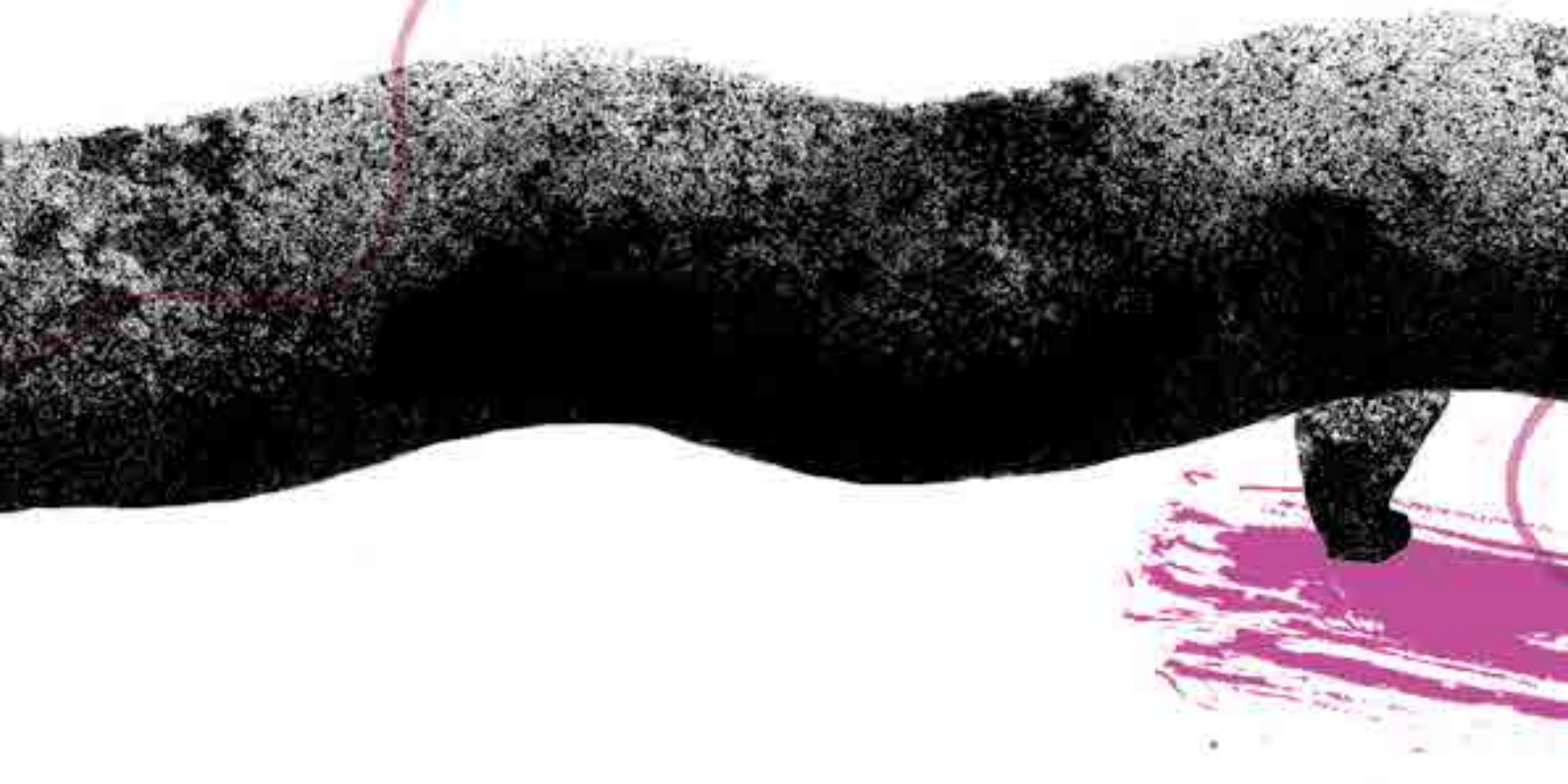
Mam inne wspomnienie. Raz, kiedy byłem naprawdę mały, wchodziłem z mamą po schodach do naszego mieszkania, było otwarte i okazało się, że mamy gościa, ale takiego tylko w drzwiach. Cicha kobieta, która mieszkała naprzeciwko, stała z torbą na zakupy, taką na kółkach, i ze swoim jamnikiem, przyszała spytać, czy nie zaopiekowalibyśmy się jej psem, ponieważ przeprowadza się gdzieś na emeryturę. Ewidentnie chodziła od mieszkania do mieszkania. Stałaś w tych drzwiach, wysoka postać w czarnym pulowerze i czarnych spodniach. Podbiegłem do psa i spojrzałem w jego rodzynekowe oczy. Bardzo mi się podobał. Jeszcze bardziej podobało mi się, że jest u nas.

– W naszym przedpokoju jest pies! Niemożliwe! – zawołałem radośnie, drapałem jamnika pod szyją, a ty na mnie fuknąłeś:

– Nie brudź sobie rąk, Roman.

Jak umierają zwierzęta?

– Jak umiera tygrys? – spytała mnie kiedyś mama.



**Czy jak byłem mały,  
to już wtedy się mnie  
wstydziliś? Wtedy nie,  
prawda? Słyszałem,  
kiedy ostatni raz  
mówiłaś mojej mamie,  
że nic nie potrafię  
i że jest ci jej żal, bo  
ty oprócz mnie masz  
jeszcze dwójkę innych  
dzieci, a ona nie.**

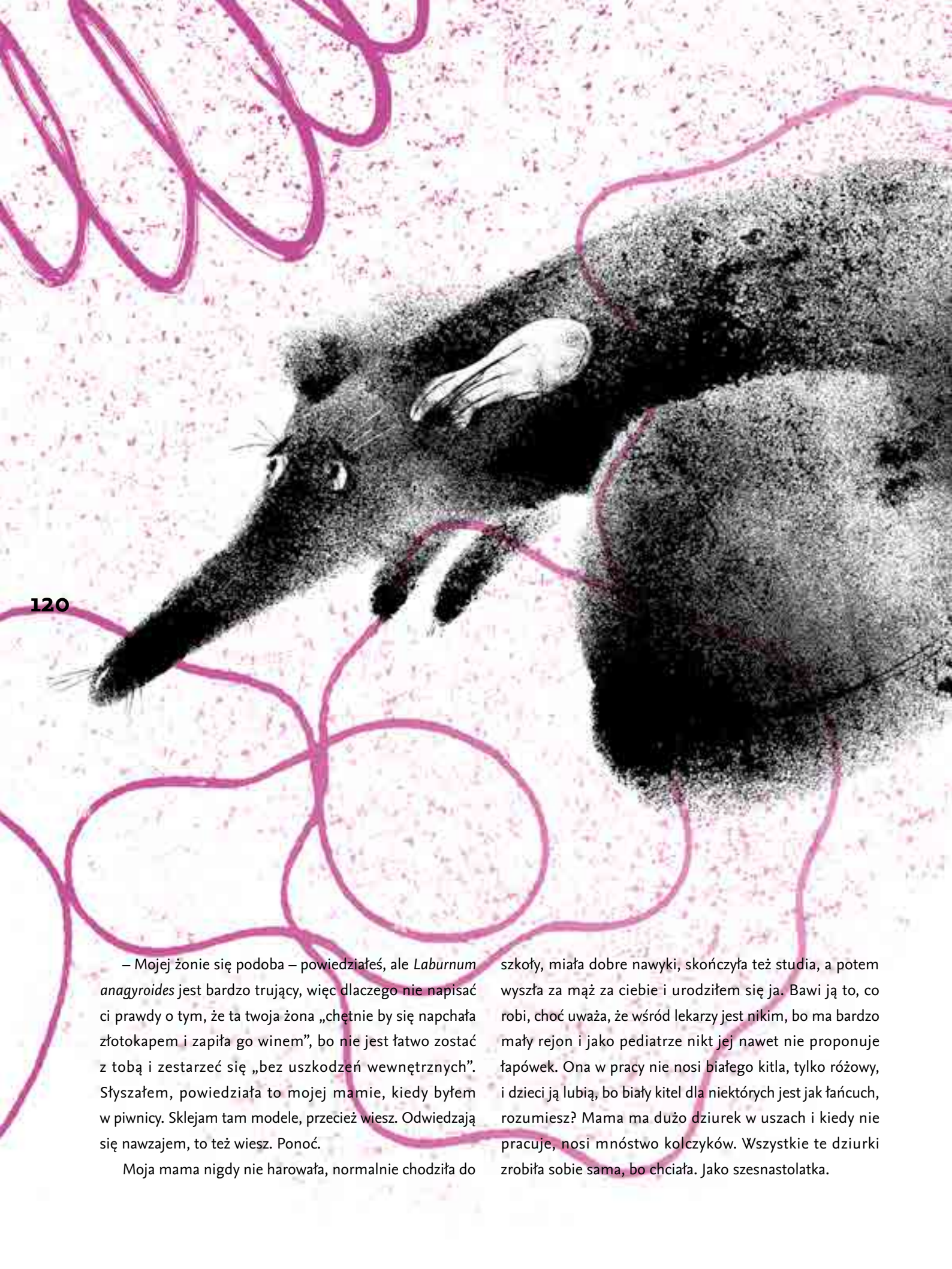


– Nie wiem – powiedziałem, pocałowałem ją zmieszany i wyszedłem z pokoju. Nie wie, jak umierają zwierzęta, ale wie, jak umierają ludzie, bo już kilka razy widziała, jak umierali, i były to dzieci.

Jeśli chodzi o kradzież kolejnego psa, zastanawiam się nad jednym domem na naszej ulicy. Ma wysoki płot obrosnięty winoroślą i bramę, przez którą nic nie widać, stare okna i drzwi, jest w nim ciemno i nietrudno zauważyć, że choćby nie wiem kto w nim mieszkał, o nic nie dba. Wydaje mi się więc, że właściwie to nikt tam nie mieszka, człowieka póki co nie widziałem, ale słysząc stamtąd wycie. Mają tam psa, który pilnuje, i tylko noszą mu żarcie, nie umiem tego inaczej wyjaśnić, i na sto procent jest na łańcuchu. Dranie. Już kręciłem się po okolicy, psa słysząc z daleka i nikomu oprócz mnie to nie przeszkadza, tak, powinienem raczej wezwać policję, ale wiesz, ja go zabiorę stamtąd też bez ich pomocy, może już jutro.

Czy jak byłem mały, to już wtedy się mnie wstydziliś? Wtedy nie, prawda? Słyszałem, kiedy ostatni raz mówiłaś mojej mamie, że nic nie potrafię i że jest ci jej żal, bo ty oprócz mnie masz jeszcze dwójkę innych dzieci, a ona nie. Słyszałem to, byłem w piwnicy i sklejałem model z papieru. Robię to czasami. Ty całe wakacje zmywałaś naczynia w restauracji, myłaś sedesy i podłogi, wystawiałaś krzesła i znów je składałaś, przносиłaś worki z ziemniakami z przyczepy do magazynu, skrzynki z piwem, winem i mineralną, worki z mąką, cukrem i torfem, i zrywałaś wszystko, od winogron aż po szyszki z sosen, nabierałaś ważnych nawyków, każdy tego potrzebuje. Nawyki, młody człowiek potrzebuje nawyków. Dlatego żyjesz tak, jak żyjesz, bo miałaś nawyki. Wiesz, najchętniej ukradłbym wszystkie psy łańcuchowe na świecie. Uczucia zerwania się z łańcucha nie da się z niczym porównać, zwłaszcza jak jest się psem. I nie mów mi, proszę cię, że niektóre psy są niebezpieczne i powinny być uwięzione. Oczywiście, że niektóre psy są niebezpieczne. Wiem o tym. Ale takie psy mnie nie interesują. Do nas do pracy też przychodzi różni ludzie i psy nie mają zakazu wstępu, więc przychodzi różni ludzie z różnymi psami. I wśród krzewów ozdobnych są również takie, które mogą cię otruć, drogi ojciec. Przed twoim domem rośnie złotokap zwyczajny, cały trawnik masz obsadzony złotokapem.






– Mojej żonie się podoba – powiedziałaś, ale *Laburnum anagyroides* jest bardzo trujący, więc dlaczego nie napisać ci prawdy o tym, że ta twoja żona „chętnie by się napchała złotokapem i zapłała go winem”, bo nie jest łatwo zostać z tobą i zestarzeć się „bez uszkodzeń wewnętrznych”. Słyszałem, powiedziała to mojej mamie, kiedy byłem w piwnicy. Sklejam tam modele, przecież wiesz. Odwiedzają się nawzajem, to też wiesz. Ponoć.

Moja mama nigdy nie harowała, normalnie chodziła do

szkoły, miała dobre nawyki, skończyła też studia, a potem wyszła za męża za ciebie i urodziłem się ja. Bawi ją to, co robi, choć uważa, że wśród lekarzy jest nikim, bo ma bardzo mały rejon i jako pediatrze nikt jej nawet nie proponuje łapówek. Ona w pracy nie nosi białego kitla, tylko różowy, i dzieci ją lubią, bo biały kitel dla niektórych jest jak łańcuch, rozumiesz? Mama ma dużo dziurek w uszach i kiedy nie pracuje, nosi mnóstwo kolczyków. Wszystkie te dziurki zrobiła sobie sama, bo chciała. Jako szesnastolatka.





– **Mojej żonie  
się podoba  
– powiedziałaś,  
ale *Laburnum  
anagyroides* jest  
bardzo trujący, więc  
dlaczego nie napisać  
ci prawdy o tym, że ta  
twoja żona „chętnie  
by się napchała  
złotokapem i zapła  
go winem”, bo nie  
jest łatwo zostać  
z tobą i zestarzeć  
się „bez uszkodzeń  
wewnętrznych”.**

– Uszkodziłaś ważne punkty, ważne drogi w ciele! – krzyczała na nią jej mama, moja babcia – naruszyłaś sobie włókna nerwowe, centrum energetyczne, sploty!

Jeszcze niedawno nie rozumiałem kobiecych spraw. Te stare babki z fioletowymi włosami to chcą tak wyglądać czy im odwala? – zastanawiałem się. Ale teraz znam odpowiedź – tak, chcą tak wyglądać. I moja mama wtedy, podczas tego przekłuwania uszu w domu, w łazience, rzeczywiście coś sobie uszkodziła: według mnie zlikwidowała ośrodek wkurwienia. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale ona prawie nigdy nie parska, nie denerwuje się, nie krzyczy ani nie obraża nikogo, nawet ciebie. Rzeczywiście, widziałem ją splecioną, ale nie obwiniającą, widziałem ją smutną, ale nie skrzywdzoną, i musiało się to stać wtedy, kiedy w domowych warunkach przekłuła sobie uszy. Zamiast całej tej harówki też mogłaś sobie sam przekłuć uszy, najlepiej jeszcze przed tymi wszystkimi pracami, i byłby spokój. Wiesz, ojczu, mam swoich ludzi na północy, na południu, na zachodzie i na wschodzie, kradniemy psy z łańcuchów. Dobra – na północy, zachodzie i wschodzie nikogo nie mam. Ale ukradłem te psy, przysięgam, i wywozłem. Wszystko, co zarobię w tym ogrodniczym, wydaję na benzynę, na telefon i na karmę. Myślę, że właśnie przyszło ci do głowy, a co, jeśli te uratowane psy tuż po tym, jak odjadę, ktoś z powrotem uwiąże na łańcuchu, czy nie daj Bóg zabije, albo że schroniska są pełne psów, które chciałyby mieć takie prawa. Ukradłem tylko trzy zwykłe psy, kundle, trzy brzydkie psy ze zlepioną sierścią i z karkiem otartym od wiecznego wyciągania głowy na łańcuchu, od węszenia w poszukiwaniu ręki, która je odwiąże i powie: uciekaj. Taki pies, gdy go puścisz po długim czasie, lata niczym diabeł, robi wielkie kółka i nie nadążasz z obserwowaniem, jak przebiera tylnymi nogami. Taki pies ma w sobie tysiąc koni. Cieszyłem się, gdy się dowiedziałem, że spaliła wam się altana z częścią drewna na zimę, powiem ci, dość dokładnie potrafiłem sobie wyobrazić twoją minę, kiedy się okazało, że twój najmłodszy syn pochował martwą mysz i zapalił jej świeczkę tam, gdzie ją znalazł, tuż obok ślicznie poukładanych polan. Pomagałem wam wtedy po pożarze i pokłóciliśmy się, mówiłem ci, że Brutus oczywiście nie był bratem Cezara, ale ty się wściekłaś i twierdziłaś, że był. No to był, skoro ci na tym zależy. Spaliły ci się maliny (chyba Rubin, nie mam pewności), miały tam świetne miejsce, dobrze



nasłonecznione, dwie jabłonie, a potem już tylko to drewno. Umówiliśmy się, że wpadniesz do nas do ogrodniczego i wybierzemy jakieś piękne odmiany malin, jeżyn i może morelę, później jednak przekazałeś mi przez mamę, że zamiast drzew i krzewów będzie tam wyłącznie trawnik, co ja popieram. Trawnik najdłużej się pali. Wiesz, ojcze, w szkole średniej miałem kolegę, Marka, miał siódmkę rodzeństwa, podczas nauki mieszkał w internacie, ale potem znalazł sobie pracę w mieście i przez jakiś czas mieszkał u nas. Mama już taka jest, nie potrzebuje specjalnie prywatności.

Dobra, ojciec, pytasz, kiedy przyszło mi do głowy, żeby zacząć kraść psy? To było u ciebie, na końcu waszego ogrodu. Pierwszy pies, którego ukradłem, ten pierwszy, o którym cały czas ci tu piszę, to był twój pies. Pamiętasz dzień, kiedy zniknął? Teraz biega u starszej siostry Marka, ona mieszka w Austrii, ma dobrą rodzinę i trzy hektary trawy wokół domu. Już na to wpadłeś, tak, ten pierwszy pies to była wasza Czikita. A w zeszłym tygodniu wieźliśmy tam z Markiem krzewy ozdobne, sami je sadziliśmy i przerabialiśmy ogród, czyli w zeszły piątek widziałem Czikitę. Bez obaw, to szczęśliwe stworzenie. Mam nadzieję, że po roku już nawet nie pamięta tego cholernego łańcucha na końcu waszego ogrodu.

Lubię wspominać ten dzień. Przywiozłem ją do nich, był chłodny i czysty poranek, siostra Marka wybiegła na zewnątrz, już na nas czekała, za nią wyszła mała dziewczynka, obie kłęczały w szlafrokach i kapciach, a pies był podenerwowany i powoli obwąchiwał im ręce, wąchał ziemię i powietrze. Po chwili weszliśmy do domu i kobieta zostawiła drzwi otwarte, żeby pies wiedział, że jesteśmy w środku. Pokazała mi nową budę Czikity. Potem na schodach pojawił się jej mąż, podaliśmy sobie ręce i nalał nam kawy. Siedzieliśmy w kuchni, rozmawialiśmy o psach i jabłoniach, o tym, jakie odmiany smakują ich dzieciom (Idared i Ontario, to jabłonie, nie dzieci).

Pies wszedł do sieni, długo coś wietrzył, wąchał. Chcieli, żebym został na obiad, odmówiłem. Na schodach słychać było kroki, w kuchni pojawił się chłopiec, wysoki i chudy. Zobaczył psa.

– To jest Czikita – powiedzieli mu – nasz pies.

Głośno się zdziwił, kłęknął przy nim.

– Skąd się wziął? – Odwrócił się do pozostałych.

– Spadł z nieba – odparł jego ojciec. – Jak gwiazda.

Pomyśl życzenie.

# KO ZIO ŁEK

Maciek  
Bielawski

Doglądasz, jak myje zęby, stoisz za nią, w lustrze obserwujesz, z jakim przejściem szczotkuje, bo wie, że patrzysz, wzrok unosi, widzicie się, czeszesz jej włosy, wyciągasz zaplątane spinki i pachnącą odprowadzasz do pokoju, a druga córka już tam jest, ziewa, i zaczynasz czytać na dobranoc. I kończysz, i jeszcze poszukiwanie koziołka, bo młodsza córka bez koziołka nie zaśnie, bez koziołka bez nogi, bez koziołka, który w ogóle nie jest koziołkiem, a czymś między koniem i krową. Masz jeszcze zostawić światło w przedpokoju i drzwi do dzieci uchylone, sprawdzasz drzwi na klatkę, czy zamknięte, jeszcze zajrzysz do dziewczynek, przykryjesz rozkopane, uśmiechniesz się na widok spokojnego snu i poczujesz ich zapach dziecięcy, nachylając się, by sprawdzić, czy oddychają, choć wiadomo, że oddychają, bo czas śmierci łóżeczkowej masz już za sobą. A potem wrywa cię głucho tąpnięcie za oknem i czerwona poświata i wydaje ci się, że to sztuczne ognie, przewracasz się na drugi bok i słyszysz walenie do drzwi, słyszysz krzyk na klatce, kroki szybkie, i zrywasz się, bo pamiętasz ten pożar sprzed lat, żona biegnie do drzwi, zrywasz się i kalkulujesz, jak wtedy, co

wziąć, żeby nie spłonęło, myślisz o komputerze ze wszystkimi zdjęciami, o telefonie, i wreszcie o dzieciach sobie przypominasz, ale o dzieciach żona pamięta, i wybiegacie na klatkę, ty z jedną, żona z drugą córką, ale pożaru nie ma, więc zatrzymujesz się, i sąsiadka mówi, że aresztują, że strzelają, że wojsko na ulicy, a ty boso, w piżamie, spodnie z luźną gumką, spadają, trzeba podciągać co rusz, i te nocne koszule liche dziewczynek, a grudzień już, tego ranka szron z szyb w samochodzie zdrapujesz, pierwszy raz w tym roku, tego ranka, gdy wyjeżdżacie do szkoły, a teraz macie zbiegać po schodach, choć się nie pali, bo aresztują, wojsko na ulicy, dzieje się to teraz, to, o czym myślisz, o czym rozmawiasz z żoną, bo ona snuje te wizje i zaraża cię nimi, choć żonie zaprzeczasz, że siatka interesów, że nikomu się nie opłaci, że nikt tego nie chce, i widzisz żołnierza wbiegającego po schodach z pistoletem: strzela, i ten huk wcześniej niesłyszany na żywo, ten huk na filmach brzmiący inaczej, ten huk, po którym córka wtula twarz w ciebie, tak mocno jak wtedy, gdy odprowadzasz ją po raz pierwszy do szkoły i mówisz: idź do kolegów, idź do koleżanek, i idzie, i odwraca się, i biegnie do ciebie, zasłania się rękami, żeby nie uderzyła w brzuch, jak wtedy, gdy uderza głową, i prawie mdlejesz, i wtula się w ciebie i mówi: będę dzielna, a teraz nie mów, że będzie dzielna, bo nie rozumie tego, tak jak my nie rozumiemy, że trzeba uciekać, ale mówi: koziołek, koziołek został w łóżku, musimy uciekać – odpowiadam, koziołek!, krzyczy: sama wrócę po koziołka, nie będę uciekać bez koziołka, więc wracasz po koziołka i widzisz żołnierza wchodzącego do twojego mieszkania, w głąb mieszkania idzie, a pokój z koziołkiem zaraz przy drzwiach wejściowych, więc wchodzisz cicho, z córką na ręku, i nie widzisz



kozyłka, i córka mówi, że pod poduszką, i jest tam, mądra córeczka, pamięta, gdzie jest koziołek, zabierasz go, wybiegasz z pokoju, a córka, że noga koziołka, że nie można zostawić nogi, bo czeka na przyszycie, dlaczego nie przyszyłeś?, miałeś przyszyć!, miałeś, ale nie przyszyłeś, bo robiliście kaligrafię, pamiętasz, jakie ładne literki ci wychodziły, a najładniejsze wielkie A, gdzie jest noga?!, nie ma nogi, żołnierz wychodzi z mieszkania, nie widzi cię, nie widzi, jak szukasz nogi, wychodzisz bez nogi, zbiegasz po schodach, już dobrze, koziołku, mówi córka, jesteś bez nogi, ale bezpieczny jak co wieczór, gdy przytula go na dobranoc i razem słuchają bajki, a teraz nie ma już tych książek, tych zaśnięć, tych włosów szczotkowanych i zębów mytych dokładnie, bo dentysta drogi, lepiej książkę kupić, nie ma łóżka z ciepłą kołdrą poprawianą nocą, nie ma tych nocy, nie ma sprawdzania drzwi, czy zamknięte, ale jest ciężarówka przed domem i widzisz żonę z córką na tej ciężarówce przerażone, w koszulach nocnych, w środku nocy, i ty z drugą córką chcesz wejść do ciężarówki, ale żołnierz zatrzymuje, nie ma miejsca!, ale dziecko, to jest jej dziecko, pokazujesz córkę i żonę wskazujesz, nie ma miejsca!, dokąd jedziecie, nie ma miejsca!, co tu się dzieje, nie ma miejsca!, podajesz córkę żonie, nie chcesz podawać, chcesz podawać, żona wyciąga rękę i bierze córkę z koziołkiem, wrywasz się, żeby do nich dołączyć, nie ma miejsca!, ciężarówka odjeżdża, puste spojrzenia żołnierzy, i widzisz żonę, widzisz córki, widzisz koziołka bez nogi, widzisz je i nie chcesz myśleć, że widzisz po raz ostatni, bo wierzysz, że to, co się dzieje, dzieje się przypadkowo, że to ćwiczenia, że to dla naszego dobra, bo trzeba ewakuować ludność, bo smog, tłumaczysz dzieciom, bo smog jest zły, że trucizna, jak to zły?, dopytują,

przecież jest dobry, który?, wawelski, nie, to inny smok, to smok przez k, a ten zły przez g, biedny smog, mówi córka, który?, pytasz, przez k czy przez g, smog, odpowiada i zasypia, i zamykasz książkę, i drzwi uchylone zostawiasz i światło w przedpokoju, i jesteś w łóżku, jeszcze sprawdzisz drzwi na klatkę, czy zamknięte, jeszcze dziewczynki przykryjesz, bo rozkopane, i zasypiasz, i budzi cię czerwona poświata i strzały za oknem, i walenie do drzwi, zrywasz się, pamiętasz pożar, kalkulujesz, czy wziąć komputer, i otwierasz drzwi, i dostajesz cios, i przewracasz się, uderzasz głową w szafkę, miałeś wynieść wczoraj, przedwczoraj i tydzień temu, bo już niepotrzebna, trzeba kupić nową, większą, nie mieścimy się w tej szafce za małej, i głowa boli, a oni wbiegają i szukają, lodówka, ser kozi biorą, dziś kupiłeś w lidlu, córka nie może krowiego, masz zrobić kanapki z tym serem jutro rano, i pomidorem, nie kroić grubo, i bierze żołnierz ten ser, rozrywa opakowanie, gryzie i wypłuwa, nie każdy lubi kozie produkty, ty nie lubisz, więc zgadzasz się z żołnierzem, żółty chcesz zaproponować, nie ma żółtego, zapomniałeś kupić, nie ma takich zakupów, na których byś czegoś nie zapomniał, choćbyś robił je z kartki, i córka podbiega do swojego sera, i już ma chwycić ten ser, gdy żołnierz odpycha ją butem. Stoimy. Strzały za oknem. Żona patrzy na żołnierza. Córka na ziemi, płacze, nie możesz podejść, nie możesz się ruszyć, bo on patrzy, i młodsza córka mówi, że musi po koziołka, bo koziołek został, i idzie do pokoju po koziołka, a żołnierz łapie ją za rękę i cofa, a ona, że koziołek został, że musi go zabrać, bo nigdy go nie zostawiła, chyba że na czas szkoły, i wtedy ten żołnierz krzyczy, że nie ma koziołka i nie będzie koziołka, bo teraz stoimy tu i czekamy, i wbiega jeszcze dwóch do mieszkania, i jeden zatrzymuje cię

w piżamie, w spodniach, co spadają, z luźną gumką, i boisz się, że zaraz ci się zsuną i będziesz tak stał nagi od pasa w dół przy żołnierzach, więc wypinasz brzuch i puszczasz bąka, na co żołnierze śmieją się, bo myślą, że spierdziałeś się ze strachu, i wtedy zabierają żonę, i córki zabierają i wychodzą, a ty zostajesz, przytrzymywany przez tego żołnierza, który wreszcie puszcza cię i wtedy spodnie zsuwają się, a żołnierz patrzy na ciebie i ściąga flegmę, i spluwa, i odchodzi, a ty nie masz siły, żeby się ruszyć, siadasz i słuchasz tych kroków na klatce i płacz córki słyszysz, krzyk słyszysz, że tatuś został i koziołek został, próbujesz przeczołgać się do pokoju, żeby wziąć tego koziołka, z tym koziołkiem przynajmniej niech idzie, bez ciebie, ale z koziołkiem, zasypiasz, zaraz budzisz się, widzisz na podłodze buty wojskowe i żołnierza, który grzebie w lodówce, otwiera słoik z ogórkami i wypija sok, a żona prosi cię wiele razy, żebyś nie wypijał soku z ogórków, bo wysychają, ale nie potrafisz się oprzeć, wypijasz w tajemnicy przed nią i zjadasz ogórki na siłę, bo z ogórków lubisz tylko sok, a ogórków nie lubisz, bo są ciężkostrawne te ogórki, szczególnie na noc, a córka, wieczorem, po zjedzeniu ogórków do jajecznicy, żeby złamać smak, wymiotuje tymi ogórkami, więc nawet nie słucha, jak czytasz, przewraca się w łóżku i mówi, że brzuszek boli, siadasz obok i dalej czytasz, masujesz po brzuszku, przysypia i jęczy przez sen, brzuszek twardy, wychodzisz z pokoju, nie zapalasz światła, bo przecież już śpi, drzwi zostawiasz uchylone, żeby nasłuchiwać, trzeba wstać rano i jeśli ból nie przejdzie, zarejestrować do lekarza, bo grypa żółdkowa, kładziesz się, nie czytasz, sprawdzasz drzwi, czy zamknięte, dziewczynki przykrywasz, bo rozkopane, brzuszek córki dotykasz, czoło – rozpalona, gorączka, to dobrze – mówią – jak gorączka,

organizm walczy, wszystko przez te ogórki, kładziesz się, zasypiasz i budzi cię głuchy huk za oknem i czerwona poświata, i podchodzisz do drzwi i cisza jest na klatce, żona staje za tobą, czujesz jej oddech na szyi, pojedyncze strzały, sprawdzasz brzusek, gorączkę, ciche pukanie do drzwi, sąsiad, wchodzi do mieszkania, czy widzieliśmy, co się dzieje, nie widzieliśmy, co się dzieje, wojsko na ulicy, skoty, czołgi, czołgi? skoty? żołnierze? Jest operacja, trzeba się zamknąć, czy mamy chleb, bo nie kupił, nie masz chleba, miałeś kupić rano, nie lubisz kupować rano, wychodzić z ciepła na mróz, stać w kolejce, nie mieć drobnych, nie mają wydać, dopiero zaczynają, ktoś wbiega po schodach, zamykasz drzwi na dwa, przysuwasz krzesło, potem drugie, trzecie i jeszcze szafkę, od tygodnia masz wyrzucić, bo za mała, trzeba większą kupić, żona płacze, a córka woła z pokoju, że brzusek nie boli, że może pójść jutro do szkoły, mówi, gdy siadasz obok niej na łóżku, pani odda sprawdzian, zrobiła dwa błędy, ale przecież to nie szkodzi, prawda?, każdy może popełnić jakiś błąd, tak, to twoje słowa, nie popełnia błędów, kto nic nie robi, mówi starsza córka – budzi się, bo światła zapalane i ta czerwona poświata za oknem, i strzały. Masz jeszcze obiecać, że jutro przyszyjesz koziołkowi nogę. Dzisiaj – poprawia ją siostra.



# JA I MÓJ WRÓG

**Marcin  
Hamkało**

Mocniejszy w gębie jest hejt. Właściwie mogliśmy się domyślić, że ogłaszając konkurs na opowiadanie akurat pod hasłem „Ja i mój wróg”, pobijemy frekwencyjne rekordy. 892 teksty, które nam przysłano, to w prawie dziesięcioletniej historii wrocławskiego konkursu liczba bez precedensu. I klęska urodzaju, oczywiście. Jako kurator/juror czytałem je z rosnącym niepokojem, że mam do czynienia z badaniem statystycznym, nie z konkursem literackim. Bo dostałem do lektury olbrzymią amorficzną powieść wielopokoleniową, z regularnie powtarzającym się refrenem pomysłów i wątków. Prawdę mówiąc, w pewnej chwili na serio się przestraszyłem, że niechcący sprowadziliśmy na siebie wrak konwencji opowiadania, że w tej hurtowni nie będzie czasu docenić detalu sprzedanego lekko, pomyslowo, z talentem i wstrzemięźliwie.

Najbardziej męczącą z powtarzających się formuł było chyba uporczywe definiowanie wroga. Rozprawki zawiązane na amen imperatywem wyjaśniania, co autor zrozumiał z zagadnienia opisanego w temacie. Łopatologiczne suspensy i mechaniczne emocje. Histe-

ryczne punkty zwrotne, natchnione psychologizmy, strzeliste gesty moralne itd. O większości z tych tekstów warto by pewnie z autorem/autorką osobiście porozmawiać, ale to innym razem.

Na szczęście trafiło do nas też kilkadziesiąt opowiadań, które czytało się z przyjemnością. Pozwolę sobie poniżej wymienić nazwiska ich autorów, a przy okazji szerokiej publiczności dać radykalnie pobieżny wgląd, w jakim duchu nasz wrogi quiz był przez autorów rozwiązywany. Skąd brali pisarze wroga swojego? – spytacie. U Agnieszki Białek („Kto nie pracuje, ten nie je”) za wroga robi powszechny system wyzysku pracownika. W podobnym duchu, ale przy zastosowaniu nieco innej ekspresji, zwarcie klas społecznych opisuje Igor Skórzybót („W obronie doradców kredytowych”). Iwona Banach („Wtedy zawsze jest teraz”) prezentuje nam z kolei emocjonalną siekierozadę rodzinnego terroru (podobny wątek spotkamy u Pauliny Rezanowicz). Rewersem tej sytuacji zainteresowała mnie Barbara Woźniak („weź ten talerz”), która przegląda się gorzko we wspomnieniu o swoim ojcu. Maciej Bartyński („Dorastanie”) pisze o tym, jak przekazywana z ojca na syna nienawiść do sąsiada i uwolnienie się od tego dziedzictwa stają się początkiem dorosłości. Adam Bednorz („zapisz jako”) pokazuje zadziwiająco dotkliwą lekarską perspektywę anatomii gnicia ludzkiego ciała. Krzysztof Bryła („h”) przedstawia zagadkową formułę człowieka-krzesła; podobnie, choć wokół innego przedmiotu, rozgrywa się dramat w „Niewidzialności” Marii Leończuk. Maciej Gadek („Śniadanie”) z kolei bardzo plastycznie pokazuje piekło dzielenia się codziennością z kimś, kto powinien być najbliższą nam osobą, a jest źródłem powtarzalnych, niekończących się, małych fru-

stracji. Ahsan Ridha Hassan („w jądrze ciemności”) jedno ze źródeł nienawiści rasowej odnajduje we frustracjach towarzyszących korporacyjnej, międzyszczurzej konkurencji. Nina Igielska („trans”) próbuje zmierzyć się koncepcją nieśmiertelności poprzez genetyczne utożsamienie się z toczącym narratorkę rakiem, podobnie skonstruowany wątek współlistnienia z nowotworem pojawia się u Mileny Orłowskiej. Urszula Jakubowska pokazuje psychologiczną niewygodę reakcji na pojawienie się w sanatoryjnej nadrzeczywistości intruza z innego świata. Bohaterka Klaudii Kadłuczki idzie na tory rozliczyć się ostatecznie ze swoją prawą nogą (z miłości). Katarzyna Kędzia w „Korytarzu” testuje w sobie swojego wroga i ten nieco banalny pomysł kultywuje z zauważalną wrażliwością.

Nie wszystkie opowiadania napisano w konwencji short-short story, zdarzało się, że teksty sygnalizowały potencjał większej całości (na przykład Joanna Łępicka w „Prawdziwym”). Jakkolwiek część autorów dobrze radziła sobie ze zwartą konstrukcją wymuszoną przez niewielką (10 tysięcy znaków) objętość tekstu, o którą prosiliśmy w regulaminie. W tym departamencie :- ) wyróżniło się szczególnie bardzo ciekawe opowiadanie Bereniki Lenard („Rozbieranie”), w którym wszystkie puzzle motywów, skojarzeń i wątków dają poczucie dobrze przemyślanej struktury o nieszablonowym rytmie i zapadającej w pamięć symbolice. Monika Wasilewska („Ja, niesyn”) tymczasem dowcipnie poradziła sobie z kłopotliwością kulturową płci. Wątki zwierzęcia jako przyjaciela/wroga i ograniczeń wynikających ze starości pojawiają się też w opowiadaniu Mateusza Witczaka (i w wielu innych). Bardzo ciekawie pokazana została relacja człowiek – zwierzę w tekście Elżbiety Przepiszowskiej.

Aleksandra Caban („Schody”) zmaterializowała wroga w barierze architektonicznej, która jest tu symbolem izolacji starzejącej się matki. Innego rodzaju ograniczenia (ciała, miasta, ekonomii) stanowiły oś tematyczną nadesłanych opowiadań nader często (ciekawie pokazał introspekcję jąkania Maciej Wnuk w prozie „Powiem”). Lęki, przeczuwane i realne choroby (Bartek Zdunek i jego całkiem efektowny „guziczek”) to również zakres tematów o dużej popularności. Magda Chmielewska w „Bliźnim” obcuje z figurą znienawidzonej egzystencji, w której lustrze odbija się codziennie narrator, żeby ostatecznie pogodzić się ze swoim niechcianym sobowtórem, wypracowując coś na kształt relacji wzajemnego współczucia. Sylwester Dąbrowski („Niemili ludzie”) ciekawie urządza symultanę punktów widzenia, w której wszystkie strony drobnego blokowego konfliktu chcą dobrze i mają rację. Mikołaj Denderski („Berserker”) rozbawił mnie zapowiedzią przyszłego serialu o ambiwalentnym rewolucjonście, który atrapami granatów zmienił najnowszą historię Polski. Sławomir Domański („Pani z rusa”) zapisał nostalgiczną balladę o klasowej bójce z nauczycielką, która (bójka) skutecznie nauczyła ją (nauczycielkę) fonetycznej empatii (podobny jest wątek międzypokoleniowej konfrontacji i edukacyjnej traumy u Sebastiana Lepianki), a Asia Flisek spróbowała pokazać, jak destabilizujące i przykre może być nagłe zniknięcie wroga, do którego już się przyzwyczailiśmy.

Przez kalejdoskop wspomnianych tu prób narracyjnych przewijał się wątek rywalizacji, na przykład sportowej (choćby u Martyny Macul), pojawiła się też erudycyjna proza poetycka (Katarzyna Maćkała). Marek Mardosewicz przysłał tekst, w którym eksperymen-



menty formalne rymują się z futurystyczno-programistycznym światem przedstawionym i algorytmiczną wręcz akcją. Blisko tych rejestrów pozostała Marta Mitek („Popatrz w dół”), budując zimną dramaturgię alienacji bohatera spowodowanej uzależnieniem od gier komputerowych. Tomasz Szymański („Związki przyczynowo-skutkowe i ich zagrożenia”) bawi się formą absurdałnego raportu policyjnego. Barbara Sadurska w swoich „Dwunastu godzinach” intrygująco zagląda w świat zaburzonej świadomości. Krzysztofa Sochala („Czwarta ściana”) zajęły z kolei wątki autotematyczne/autonarracyjne. Dowcipnie na polu zabaw literackich wypada też „Propozycja wydawnicza” Kamila Szuszkiewicza.

Szanowni, mam świadomość, że czytelnika nieznanego wspomnianych tu tekstów tak prezentowane zestawienie może razić efektem stroboskopowo-ogłuszającym, zależało mi jednak, aby oddać choć chwilę sprawiedliwości autorom, na których podczas lektury zwróciłem uwagę. Chciałbym też przy okazji zapowiedzieć, że na stronie [opowiadanie.org](http://opowiadanie.org) od połowy roku 2018 regularnie publikować będziemy premierowe opowiadania. Na pierwszy ogień pójdą właśnie niektóre z tekstów przysłane na konkurs „Ja i mój wróg”.

Proszę Państwa, kilka stron wcześniej przeczytaliście tekst, który wygrał konkurs „Ja i mój wróg” – „Koziołka” Macieja Bielawskiego. Zapewne nie potrzebujecie do niego żadnego komentarza. Dla porządku napiszę więc tylko, że nagrodziłem go: za tempo i precyzję, za wyobraźnię, spostrzegawczość i prostotę, za czułość, której jest emanacją, i lęk, którego jest podpowiedzią, za znalezienie właściwych słów.

OPOWIADANIE  
NR 7, maj 2018  
ISSN 2299-4874

REDAKCJA

Agnieszka Wolny-Hamkało,  
Dobromiła Jankowska,  
Marcin Hamkało (red. naczelny)

REDAKCJA TEKSTÓW

Dominika Cieśla-Szymańska

KOREKTA

Marcin Grabski, mesem.pl

PROJEKT OKŁADKI

Pillcrow, Paweł Mildner

Copyright by the authors  
Copyright for this edition by  
Towarzystwo Aktywnej Komunikacji 2018

Publikacja w ramach festiwalu  
Opowiadania



TOWARZYSTWO  
AKTYWNEJ  
KOMUNIKACJI



WYDAWNICTWO  
IGLOO

WSPÓŁORGANIZATOR



Pillcrow

Wrocław

Za dofinansowanie przekładów  
opowiadań Kim Ae-ran, Arantxy Iturbe,  
Dimitriego Verhulsta i Daniela Wissera  
dziękujemy:



민족문화유산위원회  
2018년 5월 18일



FLANDERS  
LITERATURE



Flanders  
State of the Art

„ausbiaczkę forum kultury”

www.opowiadanie.org  
e-mail: redakcja@opowiadanie.org  
Adres redakcji:  
ul. Popowicka 34/11  
54-237 Wrocław  
tel. 783 783 100

FESTIWAL OPOWIADANIA WSPÓŁFINANSUJE:



W WARSZTATACH KOPUBLIKACJA UDZIAŁ WZIĘLI

LAYOUT

Agata Bajorska, Malwina Domaradzka,  
Gabriela Golińska, Ewa Kielar,  
Patrycja Kucik, Agnieszka Pięta,  
Ewelina Pulka, Joanna Synowiec,  
Bruno Szenk, Emilia Wesółowska,  
Magdalena Zawiaślak

PROWADZENIE

Edgar Bąk, Darek Bieniek,  
Grupa Projektor, Robert Oleś,  
Zosia Oslislo, Pillcrow,  
Syfon Studio, to/studio

ILUSTRACJA

Kinga Bartnicka, Marta Bielska,  
Karolina Domańska, Mateusz Kaufhold,  
Olga Kawacińska, Katarzyna Kręcicka,  
Sabina Manikowska, Sonja Marczewski,  
Iga Nawara, Anna Osewska, Karolina  
Pierchała, Wanda Pietrzak, Weronika Reroń,  
Anna Sztromwasser, Monika Źródłowska

PROWADZENIE

Jan Bajtlik, Paweł Mildner,  
Patryk Mogilnicki, Ola Niepsuj,  
Otecki









## O ustawianiu seansu

„Opowiadanie” jest zawsze nieoczywistym echem festiwalu Opowiadania. Zostawiając materialny ślad po czymś tak ulotnym jak zawieszony na słowach egzorcyzm chwili, wiszący na cienkiej nitce wygłaszanego w ciemności zdania spotkanie autorów i czytelników – jest to pismo jednocześnie festiwalu apoteozą i zaprzeczeniem. Przyzwyczailiśmy się myśleć o naszym festiwalu jako o takiej ustawce ze światem, podczas której wszystkie chwytliwy są dozwolone. Bawimy się myślą, że proces budowania relacji, jakim są Opowiadania, może być jednocześnie hołdem oddawanym przez nas tradycji opowieści ustnej, teatralnym półproduktem z dyktatorsko narzuconą dominacją tekstu, seanssem hipnotycznym leczącym z jednoznaczności znaczeń, wielomiesięcznym warsztatem z układania ludzkich i artystycznych puzzli w sytuację, z której będzie wynikać coś więcej. Coś, czego nigdy nie jesteśmy do końca pewni, i czego za każdym razem od nowa szukamy.

Materializując to poszukiwanie w przedmiot, który zawiera teksty, zamykając je w konwencji antologii czy czasopisma, robimy sobie zbiorowe selfi, zatrzymujemy ruch w kadrze i każemy tej pośpiesznej stopklatce przez chwilę udawać panoramę dziejów. Inaczej mówiąc, wyrzekamy się siebie, kwestionujemy całe to jakże uroczne, eteryczne festiwalowe dziedzictwo. Co gorsza, gdyby kiedyś jakiejś wysokiej komisji przyszła ochota (oby!) nas w tej sprawie przesłuchać, musielibyśmy przyznać pod przysięgą, jaką radochę z tego mamy. Czystą i narcystyczną jednocześnie.

„Opowiadanie” jest bowiem nie tylko materialnym dowodem, że bawiąc się konwencją spotkania literackiego nie utraciliśmy kontaktu z rdzenną materią literatury. Przede wszystkim jest zapisem procesu współpracy artystycznej i deklaracją możliwości swobodnej interpretacji. Popisem autorstwa rozumianego jako spotkanie, symbioza i suma umiejętności i talentów. Najpierw jest tu bowiem sam autor i jego tekst, potem autorski wybór pisarzy z całego świata i przebieganie w ich tekstach przez zespół programujący, potem jest twórcza praca tłumaczy literackich, na koniec warsztaty projektowania graficznego, których efektem jest przedmiot, który właśnie trzymasz w ręku. A ostatecznie i tak wszystko prowadzi do tej nikomu innemu nie znanej, wyłącznie twojej ekranizacji, którą sobie wyświetlisz w głowie, czytając zapisane tu opowiadania. W imieniu połączonego bezprzewodowo autorskiego proletariatu wszystkich krajów i w duchu porozumienia kiełkującego pod podziąkami – życzę ci sensownego seansu.

**Marcin Hamkało**

**Opowiadanie**  
**nr 7, maj 2018**

**ISSN: 2299-4874**